ADOLF NOWACZYŃSKI

SZKICE LITERACKIE

POZNAŃ 1918
NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ OSTOJA




OSTOJA

TŁOCZNIA: J. GOZDZIEJEWSKIEGO W POZNANIU

ADOLF NOWACZYŃSKI

SZKICE LITERACKIE

POZNAŃ 1918
NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ OSTOJA

SATYRA STAROPOLSKA

Dobyta orężem Grecya, opowiada Horacy, pomściła się na swym zwycięzcy „kładnąc nań więzy swego ducha“; „tylko *Satura* jedna“, dodaje ku temu Quintylian, „cała jest z nas“. I rzeczywiście tylko Satyra jako rodzaj, jako formalny przejaw literackiej treści jest niezaprzeczalnym stworem i owocem ducha rzymskiego. Kolebą jej i podłożem były ludowe zabawy już 400 lat przed Chrystusem, pomysłowe i barwne, wymyślne i artystyczne. Dziś jeszcze, t. j. w początkach XX wieku lud w Europie, nawet Zachodniej, bawi się w sposób znacznie gorszy, bardziej barbarzyński, niźli się bawił kiedyś prastary naród Quirytów w swych Fascemunach, Atellanach, mimach i pantomimach, z których to ostatnich właśnie i według T. Liviusza wykiełznać się miała *satura.*

Etymologicznie wywodząc jej prapoczęcie, musimy zgodzić się na stanowisko Teodora Mommsena, genialnego twórcy „Historyi Rzymu“, który treść pojęcia *satura* tłomaczy małżeńskiem skojarzeniem się dwóch pojęć, greckiego *σατυρος*, rozwiązłego koźlęco owłosionego półbożka, z łacińskiem pojęciem *satura*, t. j. pełnia, np. *satura laux,* pełna misa. W sumie złączone te pojęcia dają obraz: „zuchwałego baraszkowania człowieka sytego“. W konsekwentnem zaś rozwinięciu terminu staje się *satura* wesołem, śmiałem i dowcipnem prześmiewaniem się z wszelkiego autorytetu zdolnych ludowych aktorów — trybunów, którzy przy uroczystościach religijno-publicznych, po dosytnem nakarmieniu się i piciu baraniemi i koźlemi skórami okryci, w dość rozwiązły sposób wyprawiali krytykujące „Theatrum Mundi“ harce. Tak tedy pełna misa *satura* jak i pełna kiełbasa *farcina,* ze starorzymskich zabaw ludowych wzięte, dały początek typom twórczości, które do dziś dnia, jako satyra i farsa, żyją i żyć będą.

Rozmyślnie po bakalarsku przypomniałem tu genezę słowa satyry, zaczynając *ab ovo*, t. j. od samego zalążka satyryckiego rodzaju, ponieważ nasza twórczość w tej ducha dziedzinie cała opiera się mocno na fundamentach łacińskiej satyry, tak jak i nasze oficyalno kulturalne życie starodawne powiedziećby można było romańskiego lechickiem powtórzeniem, parafrazą czy odbiciem. Szczególniej utwierdzić się można w tem przekonaniu o przepojeniu całego życia staropolskiego pierwiastkami pramacierzy Romy, studyując dzieje satyry polskiej, czyli przemian i faz obyczajowości naszej, oglądanej przez pryzmat więcej lub mniej utalentowanych pesymistów. Przedewszystkiem bowiem wychodzi w toku studyów na jawę ten fakt, że, w analogicznych stosunkach prawnopaństwowych przy pewnem podobieństwie struktury administracyjnej i w pewnych podobnych rzymskich sytuacyach politycznych, obyczajowość staropolska kształtowała się tak podobnie do rzymskiej, że nasi zoile i rezonerzy, prawdzice i ganiciele, z całą swobodą względem swoich sarmackich spółziomków posługiwali się taktyką rzymskich talentów, walczyli bronią z ich arsenału duchowego pobraną, a często nawet i oczywiście błędnie, utożsamiali swoją ojczyznę pod berłem Wazów czy Sasów z emporyum Nerona i Domicyana, o którem się z pięknych satyr potwornie brzydkich rzeczy dowiadywali.

I dlatego, wpatrując się kolejno w pięć wieków naszej egzystencyi historycznej przez szkła satyryków, należy po odtrąceniu ze siebie pewnego odsetka zgrozy, ze względu na ich przyrodzony, konieczny, a ogólny w piśmiennictwach *furor satyricus*, odtrącić z siebie następnie i pewien odsetek w uczuciu przygnębienia ze względu na tę romańską kulturę omal wszystkich polskich weredyków i ideowo bogacących się zbyt czasem sumienną i żarliwą lekturą Juwenala, Persyusza, Horacego, Lukyana, Cycerona. Po odtrąceniu tych odsetek zostanie jeszcze obraz wcale niepocieszny, będący niejako odwrotną stroną kobierca heroiczno-tragicznych dziejów, zaprzeczający mocno mesyanicznemu podchlebstwu romantyków, jakoby Polska była Chrystusem ludów. Zostanie zato w każdym razie wizerunek przeszłości męski, realny, istotny i tem sercu mą-

drzejszych „po szkodzie“ pokoleń droższy, że od panegirycznych, makaronicznych, romantycznych i dziennikarskich — prawdy bliższy.

Kiedy się ze stanowiska dzisiejszego spojrzy retrospektywnie w te sześć wieków i ogarnie je jednem spojrzeniem duszy, widzi się jakby olbrzymie, niezliczone milionowe tłumy i krocie naszych zmarłych, naszych protoplastów i praszczurów biegnące w rozpędzie fatalnym lub wprost staczające się bezmyślnie ku zionącej przepaści niewoli narodowej. A w tym obrazie tu i gdzieniegdzie podniesione i wyciągnięte kurczowo ręce ludzi wybrańszych, jasno-widzących, wołających z krzykiem o opamiętanie, grożących, perswadujących, każących i wyklinających. Nic nie pomagają te przestrogi, wołania, lamenty, piorunowania jednostek, ponad tłumy ino mózgiem wystających; wszystko roznamiętnione, rozpasane, ślepe i głuche, biegnie po spadzistych upłazach ku katastrofom rozbiorów; cały naród, „z pijanym hałasem“ i maniakalicznymi krzykami o wolności! wolności! złotej wolności! stacza się ku niebytowi.

I taką wobec tego była we wszech czasach rola naszej satyry: alarmować i ostrzegać, grozić i przestraszać i kassandrycznie upad wszystkiego przewidywać w głębokiem przeświadczeniu, że równoczesne każdemu satyrykowi zło jest ino zjawisk formą przejściową, zmienną, a kastowych i stanowych przywar, błędów, zbrodzieństw wypominanie z czasem wszystkich poprawi i Macierzy życie ocali. I w tem już przedewszystkiem leżała różność naszej satyryckiej twórczości od twórczości romańskiej i w tem już obie rozchodzą się w rozbieżnych kierunkach, że tak Juvenal, Persyusz, Horacy, jak i dawniejsi jeszcze Ennius, Terentius i G. Lucilius wychodzili z filozoficznego przeświadczenia o nieprzemiennej nikczemności natury ludzkiej i wiekuistości wszelkich „wielebnych głupstw“, podczas gdy nasi satyrycy, zwęziwszy poprzód cały świat w granicę obywatelskiego żywota i wewnętrznej polityki swej ojczyzny, pisali i gromili w przeświadczeniu, że libelle ich poprawią naturę ludzką, przyśpieszą przyjęcie Królestwa Bożego na ziemi, a w każdym razie u Sarmatów podniosą ducha obywatelskiego, poczucie socyalne i zapał patryotyczny. Staro-

rzymska satyra nie miała żadnych celów, tem mniej jakichś umoralniających, lecz konstatowała mniej lub więcej obojętnie hegemonię zła w jej charakterystycznych objawach, przypisując wagę i wartość tylko mocy deskrypcyjnej, a absolutnie lekceważąc pisania skutki. Nasza zaś w obywatelskim zapale i młodej rasowo naiwności przypisywała sobie moce przetwórcze odwieczne, stawiała przed się przeróżne cele, potrzeby, doktryny, obowiązki, tendencye i pełna nadziei reformowała, pedagogowała i peroryzowała, jak z kazalnicy.

Kiedy więc Horacy deklaruje się, że jego do wierszy satyrycznych t. j. do spokojnie nazwanych „rozmów“ lub „swobodnych“ pogadanek o ludzkich przywarach pchnęła bieda *(paupertas)* „matka śmiałości“, kiedy Juvenal oświadcza, że skoro tylko z występków i zbrodni można mieć bogactwa, a „natura ci ich odmówi“, to „zgroza wiersz twój rymuje“ a Persyusz już wprost odsuwa od siebie daleko nizki świat realny i, opierając się na najsurowszej rygorozalności stoickiej filozofii, uczy i przekonuje o zwycięskiej wszechzłości i zwycięskiej wszechgłupocie, na które nie masz żadnego lekarstwa poza absolutną i tryumfującą „wzgardą życia“, wszyscy oni, rzymscy satyrycy — arystokraci duchowi, tylko w bujnem bogactwie tematów, we własnej dyspozycyi organicznej, a więc w satyryckiej pobudliwości i sprawności wierszowania znajdują satysfakcyę twórczą, ani myśląc o złagodzeniu kolorytu lub tonu i nie puszczając w swe utwory ani promyka nadziei w możność lepszej przyszłości. I w tej pozornej bezcelowości starorzymskiej satyry leży właśnie jej piękna siła i jej artystyczna doskonałość.

Na takie jednakże filozoficzne stanowisko nasi przecznicy i satyrycy wspiąć się nie byli w możności z powodów wielorakich, między którymi niepoślednie miejsce zajmuje przed wszystkimi niezdolność i niechęć do jakiegokolwiek filozoficznego światopoglądu. Wzgarda ogólna do abstrakcyjnego myślenia, jako do „niemczyzny“, i pokrewny jej *horror meditationis* z starożołnierskiem lekceważeniem pracy czystego rozumu na benefis impulsów czystodusznych, poetyckiego wyczerpującego marzycielstwa i na benefis niehamowanej imaginacyjności,

ta wzgarda do poza-praktycznego myślenia (otwarcie później manifestowana nawet przez takich ludzi jak ks. Adam Czartoryski, Kołłątaj, Libelt i innych) była jednym zaledwie z symptomatów pochodnych od plemiennej myślowej ociężałości obok takich i innych wad złowróżebnych, jak przewaga despotyczna wyobraźni nad refleksyą, ustawiczna nieścisłość myślenia i brak krytycyzmu przy gorącej w sądzeniu pohopności. Już satyryk Starowolski, człowiek kulturalnego zapału a encyklopedycznej wiedzy, — piętnował to starannie przez kler pielęgnowane kalectwo rozumu polskiego w słowach: „Lecz my, grubi Sarmatowie, nie znając się na tych drogich perłach nauk wyzwolonych, jednem słowem filozofię błazeństwem, a filozofy i wszystkie ludzie uczone żakami, dominusami i rybałtami zowiemy“.

Od czasów Starowolskiego w psychice ogółu naszego mało się zmieniło. To samo nieznanie się „na drogich perłach nauk wyzwolonych“, to samo, krótko powiedziawszy, lenistwo mózgu doprowadziło do tego, że w czystej teoryi, t. j. w tem co tworzy jądro twórczości ludzkiej, polski intelekt nie stworzył wiele wiecznotrwałego. Co więcej! Ile razy jeno nad wegetacyą naszą słońce „oświecenia“ wschodziło, nie dotykając swoimi promieniami jeszcze ani milionów, ani kroci, a tylko najwyższe dziesięć tysięcy cywilizowanych, tyle razy spontanicznym ruchem ogółu całego zarzucano słońce czapami. Tak się działo za obu Zygmuntów, za Stanisława i tak się stało w naszej dobie wykpanego pozytywizmu. Nadto co jakiś czas urządzano partyzanckie kampanie przeciw rozumowi, jako bezbożnemu uzurpatorowi tronu duszy, czerpiąc hasła ot, nawet z marazmatycznego lirnika Zaleskiego i jego wersetu o „rozumie, służce duszy lichym“.

Zgodnie zaś i harmonijnie z tą wygodną wzgardą dla „parweniusza, rozumu“, będącą w istocie rzeczy tylko zaspaniem mózgu, szło lekceważenie obowiązków ogółowych, społecznych i narodowych, tych obowiązków „zdrowych synów rozumu“, jak mówi Carlyle, na rzecz znowu idealnego i poezyami reklamowanego „poświęcenia“ t. j. efektownego, ale przygodnego stanu spółczucia z ogółem, tego „poświęcenia“,

które paralelnie do Carlyla nazwaćby można tylko anemicznem „dzieckiem egzaltacyi“. I jak na podłożu społecznego, codziennego i systematycznego lekceważenia obowiązków ogółowych i obywatelskich wystrzelał od czasu do czasu kwiat odświętnych poświęceń, ślepych porywów i ofiarności kolektywnej, konwulsyi sumienia obywatelskiego, tak też i na dziedzinach intelektualnych gorączkowo mobilizowało się oświecenie polskie w chwilowe, niestałe nawet nie akcye, a ruchawki czy erupcye, by wnet po klęskach, w zniechęceniu składając broń, ustępować miejsca wiekuistej reakcyi zoologicznej miazgi narodu.

Dziwnie tragiczną wydaje się też skutkiem hypertrofii imaginacyjnej, a co za nią idzie rozumowej atrofii, historya kulturalnego postępu w Polsce: dwa kroki naprzód, jeden w tył, oto było tempo intelektualizmu polskiego. Zdecydowane wykreślenie nas z rzędu cywilizacyjnie twórczych ludów, było tej hegemonii nad rozumem „parweniuszem“ „wielkiej pani“ duszy ostatnią konsekwencyą. I w tej izolacyi nieświetnej jeden tylko katolicyzm jeszcze pociesza północnych hiszpanów na romantycznych ruinach i zgliszczach wielkości Jagiellońskiej.

Te się więc przedewszystkiem narzucają badaczowi kultury obserwacye, które trzeba uwzględnić jako przesłanki dla dziejów satyry: ociężałość większości narodowej, pogrążonej stale w konserwatywnym nastroju, omal islamski *kismet* t. j. coraz łatwiejsze poddawanie się nieprzyjaznym okolicznościom wraz z paralelnemi zjawiskami: umysłowem wyjałowieniem, niekosztownem marzycielstwem; zaczem druga przesłanka panowania ponad wszystkiem przepotężnego ospalstwa myślowego.

Widzimy z tego, na jaką rolę skazani byli satyrycy polscy: oto na rolę budzicieli z odrętwienia, wskrześców z wegetacyi ziemiańsko-rycerskiej, na rolę koniecznie czynnych, w życie narodu wprost interweniujących, na rolę z konieczności nie tylko głupotę złego konstatujących *artystów*, ale i złość szkodliwą biernego głupstwa zwalczających *działaczy*. Wobec zaś przewlekłego stanu ogółowej ospałości nie mogli się ograniczać wyłącznie na dyagnostyce złego, ale musieli zająć się i terapią, musieli teoretyzować w kwestyach etyki, stawiać własne

programy socyalne i polityczne, działać i pozytywnie. Nie można się tedy dziwić, że w niektórych wypadkach akcya satyryczna zmieniała się w walkę mózgu o znacznie większej ilości ganglii z móżdżkami bardzo zbliżonymi do cielęcych; przykładem stanowisko Ostroroga i jego Monumentu; przykładem satyra farmazonów, a afrykański poziom ich spółcześników. Zawsze zaś prawie była to wojna ludzi o kulturze europejskiej, w zagranicznych uniwersytetach czerpanej, walka uczniów Bolonii, Paryża, Erfurtu, Wirtembergi, „peregrynantów“, „zachodniczków“ z tłumami niemających żadnej idei o świecie, nieokrzesanych słuchaczy monitora Bockowskiego, Alwara i O. O. Jezuitów.

Koleją wieków idąc, obskurantyzm rdzenia narodowego wykpiwał w pierwszych oświeconych satyrykach „włoskie kortezye“ (Galileusz, Torricelli), nazywał ich następnie Szotami (Locke, Newton, Collins, Shaftesbury, Foland), by wreszcie urządzać naganki na libertynów, t. j. czytelników Kartezyusza, Woltera, Diderota, d'Alemberta. Podróżnicy po obczyźnie, powróciwszy w rodzinne pielesze, zastawali naokół egipskie ciemności, a w ziomkach pelazgijski stan mózgu i dzikość pierwotną a uporną; satyra stawała się wtedy naturalnym odruchem i reagowaniem na ciemność ludzką i złośliwość głupstwa; tak najstarsi Cricius, Janicius, Bielski, Kochanowski, jak w ośmnastym wieku Krasicki, Zabłocki, Naruszewicz — musieli się czasami czuć jak łódki kruche w zburzonej toni bałwanów szlacheckich, broniących z zaślepieniem swoich tradycyi, zabobonów i często święconych, a zawsze świętych egoizmów klasowych. Satyra nasza w przeważnej części swych przedstawicieli chciała wszelkiemi siłami naprawiać nasze stałe półwieczne opóźnianie się w pochodzie cywilizacyjnym, nasze ociąganie się i maruderstwo, nasze niezaprzeczalne i dziś jeszcze żywe przywiązanie do pierwotności, a niechęć do wyszukańszych, złożeńszych form bytowania. Niektórzy satyrycy są wprost rozkochani w ładzie, czystości, przemyśle, sztuce i społecznych instytucyach obczyzny; chcieliby wszystko, co tylko widzieli w Holandyi, w Lombardyi, we frankońskich i „auzońskich“ krajach, przenieść i wkorzenić na naszym żyznym zagonie, „na

którym (mówi, mijając się z sprawdą Klonowicz) siadła Polska jako u Boga na łonie“. Tymczasem oświeceni peregrynanci z mózgami, pełnymi czarownych obrazów życia i siedzib narodów cywilizacyjnie twórczych, natrafiali dokoła na opór, na twardy agresywny opór masy, szlacheckiej miazgi. Ognisty zapał młodego, wrażliwego Sarmaty „zachodowca“, jego żądza przyswajania ojczyźnie wszystkich wynalazków, kunsztów, mądrości, darów i cudów Zachodu, spotykały się z czujną, tępą, nieubłaganą frondą hałastry, wegetującej głupio i haniebnie pod patronatem opiekuńczym księżej kliki polskiej. Czytał swój *Monument* o naprawie Rplitej na Sejmie sokratyczny mędrzec Ostroróg, a przyjęto go przemilczeniem, czytał swe programy młody senator, entuzyasta europejskiego oświecenia Opaliński, a tłum szlachty wyśmiał go i wyszydził. A po nich tylu, tylu! innych, „że nie po polsku myślą“, że „obce rozumy pojedli“, „że się nowinami opili“... I stąd się lęgła w tych satyrykach wyprzedzaczach i prekursorach cywilizacyjnych gorycz ludzi czujących się właściwie obcymi i osamotnionymi — zaczem potępianie w czambuł wszystkiego, co polskie, i stąd absolutne nieporozumienie, rozdział między nimi a społecznością, a wreszcie i chybiony cel ich zamierzeń satyrycznych: wieczny *status quo ante* w jednych dziedzinach, a w innych, idąc od 16 wieku np. coraz większe przyciemnienie i coraz zażartszy egoizm stutysięcznej kasty, gniotącej kolanami cały naród. Czytano sobie satyryków i przepisywano nawet, ale nikt tych alarmów, że „giniemy, giniemy!“, że „Rplita nieboga się chwieje“, że „rozwieją nas wiatry jako w lecie plewy“ — nie brał do serca zbytnio; często zaś zasypiano przy nich dobrze, jak Sułtan przy kazaniach Daniszmendy, widząc w satyrze tylko „świeckie kazanie“, wychodzące ze wspólnego z duchownem założenia teologicznego, że każdy człowiek grzesznik i kłamca, *omnis homo mendax*, więc i Polak „stworzenie ułomne“. I tu zatrącamy właśnie o zasadnicze kwestye w satyrze polskiej, o kwestyę jej dynamiki. Otóż tak w twórczym pesymizmie naszym, jak i każdego innego narodu, stopień samodzielności satyry, jej odwagi i jej siły, stopień miłości prawdy w niej jest zawsze proporcyonalnym do stanów tych w społeczeństwie, z którego

wyszła. Inaczej, utartym frazesem to wyraziwszy, każdy naród ma taką satyrę, na jaką sobie zasłużył. Z góry można wyjątkiem potwierdzić tę regułę: naród polski miał lepszą satyrę, niż na nią zasłużył, bardziej o prawdy socyalne wojującą, obywatelsko odważniejszą i silniejszą w indygnacyi, aczkolwiek równie mało samodzielną myślowo, niezbyt buntowniczą i z żadną z satyr narodów cywilizacyjnie twórczych nie mogącą iść w porównanie.

Przewiele na to składało się powodów, że naród o temperamencie tak krewkim i gwałtownym zdobył się na satyrę letnią, temporyzowaną, nie wulkaniczną. Kilka z nich trzeba zarejestrować. Najfatalniejsze wynająwszy pomieszkanie w gmachu Europy, skazaną była Polska na ciągłe konflikty, kłótnie i wojny z sąsiadami, co poprostu nie dawało czasu na różniczkowanie się narodu ideowe i duchowe; Turcy, Szwedzi, Moskwicze, Kozaczyzna i hydra prusacka, która od nas odnajmowała pokoik skromny, a dziś zajmuje apartamenta pierwszego piętra gmachu Europy, nie dawały dziesięciu lat bezprzerwnych pokoju, w którychby mogły przyjść do głosu pełnego nauki, sztuki, krasopisarstwo, a między niemi i satyra bezwzględna, przeciw prądowi i przeciw środowisku ostrzem stalowem zwrócona, a nie działająca destrukcyjnie na naród, już i tak dość (poza wojennym i sejmowym czasem) zatomizowany i nigdy nie za solidarny. Poprostu tedy z obywatelskiego obowiązku, ze względu na mus ustawicznego powoływania złych i głupich, ale zawsze najbliższych pod oręż, ze względu na ciągłe „zaciemnione horyzonty polityczne“ nie mogli satyryczni pisarze prowadzić kampanii dosłownie odśrodkowych, czyli pisać z całą prężnością swych temperamentów, na zabój walcząc z otoczeniem, ze środowiskiem, ze społeczeństwem. Weźmyż np. takie bujne, krwiste kreatury ludzkie, jak Grochowski, Kochowski, Twardowski, i przypomnijmy sobie ich czasy, okres Piławiec, Korsunia, Żółtowodów, Sicińskich, Radziejowskich, klęsk ognia i miecza, okres potopu, nieszczęść i czarnej śmierci.

Jednym z następnych powodów letniości i względnej, zgoła nie mefistofelicznej siły satyry staropolskiej było także

socyalne stanowisko jej produktorów, rekrutujących się (z trzema tylko wyjątkami) z jednej warstwy społecznej t. j. szlachty, i to albo z ziemian, mocno wieszających się pańskich klamek, albo też z magnatów całą gębą, biskupów i wojewodów. Nie było u nas satyryków z *profesyi,* ale było kilkunastu satyryków *posesyonatów,* „lwów Lechistanu“, panów koronnych. Tymczasem zaś satyra już z samego genetycznego założenia swego jest i winna być twórczością z ludu i dla ludu w najszerszem oczywiście tego słowa znaczeniu, jest bowiem w istocie swej, jak była w prapoczątkach, reagowaniem, przeciwdziałaniem na egoizm pogański górnych warstw kapitalistycznych, jest hamulcem na oportunistyczną etykę sfer rządzących, jest możliwie artystyczną krytyką i wizerunkiem *della bestia triomphante,* satysfakcyą maluczkich, wydziedziczonych i nieaktywnych. W zaraniach satyrze pokrewnej bajki twórcami gromowładnymi byli genialni *niewolnicy:* Bidpaj, Ezop, Fedrus, w rzymskiej satyrze Horacy był synem wyzwoleńca, Juvenalis Junius Decimus szedł z ludu, a boski Persyusz, co zmarł tak młodo, był nędzarzyną i nauczycielem w ludowej szkole. W pokrewnej satyrze komedyi greckiej Arystofanes, antidemagog, pochodził jednak z ludu, Herondas, autor Miriambów, również. Cała satyra angielska, ta najmocniejsza i najzuchwalsza twórczość liberalnej negacyi, jest mieszczańską z pochodzenia, antikastową, republikańską i zwalczającą wszelki despotyzm; wyjątkiem hańbiącym w niej jest tylko jeden Dryden, katolik, przekupiony do wielbienia absolutyzmu przez Jakóba II. U nas zaś mieszczański stan, w szesnastym wieku wcale imponujący i kulturalnie płodny, w wieku XVII zwolna gnieciony i mimo alarmów satyrycznych odsuwany i gnębiony, dał protestującej literaturze zaledwie kilku mężów i to przez pół szlachty, jak Janicius, Wolan, Klonowicz, Gawiński, Minasowicz. W to miejsce zaś mamy wyłącznie polski typ satyryka magnata i matadora, jak wojewoda Ostroróg, biskup Ciołek z Żelechowa, biskup Krzycki, prałat Grochowski, wojewoda Opaliński, Jabłonowski, prałat Bohomolec, biskupi Naruszewicz i Krasicki, jenerał Jasiński, minister Potocki, satyrycy oczywiście z dobrodziejstwem całego inwentarza magnackich przywar, niespeł-

nionych ambicyi „karmazynowych“, obrażonych but i „szarych“, pyszek, prywatnych animozyi i stanowych przesądów i interesów. Tej satyrze, przez posesyonatów reprezentowanej, trzeba dobrze patrzeć w palce, czy w swych produkcyach miała istotnie dobro publiczne na celu, czy też załatwianie porachunków z konkurującemi „familiami“, z królem, rozdawcą „starostw“, i z ciżbą szlachecką, rozdawczynią sejmikowych kresek. Typ ten jednakże satyryka senatora u nas powstać musiał, gdyż tylko te sfery, „peregrynujące“ często po Europie, miały możność dokładnego przypatrzenia się wyższemu, szlachetniejszemu bytowaniu ludzkości, szczególniej ludzkości w pięknych miastach włoskich i holenderskich, a zatem posiadały w ręku probierze porównań egzystencyi Zachodu z egzystencyą ziemiaństwa w domu wzrosłego, a zazdroszczącego już szczypty komfortu krakowskiemu, lwowskiemu, warszawskiemu, no i gdańskiemu mieszczaństwu. Niestety jednak, kpiąc z pańska z nieokrzesania szerszych kół „rycerskiego stanu“, szydząc ostro z takich panaceów niemyślącej tłuki, jak złota wolność, którą jeden zwał „proszkiem na wymioty“ (Lubomirski), a inny (Grochowski) „wykiełznaną szkapą“, drwiąc z mizernej i niezasobnej egzystencyi chodaczkowych megalomanów, równających się po kieliszku wina panom koronnym, doprowadzili satyrycymagnaci tylko do skutku wprost przeciwnego temu, jaki zamierzali. Wszyscy oni prawie bez wyjątku, począwszy od Ostroroga i Modrzewskiego, przemawiali za rozszerzeniem praw mieszczaństwa, a ciemna szlachta prawie wszystka, dźgana i irytowana tem wyśmiewaniem jej wielmożnej „dzikości“ i troglodyckiej wegetacyi, zaczęła zawistnie ścieśniać i okrawać prawa miast, aż dopięła celu po części, bo zubożyła i wynędzniła mieszczaństwo, a sama pozostała nadal jeno mierzwą dla jednostek reprezentujących rasę, bezmyślną mierzwą, ubraną w altembasy i atłasy, forboty i robrony, wewnątrz niechlujną i pustą, jak pod wiosnę stodoły.

I jeszcze jeden z powodów, gwoli których satyra narodu szumnego i rogatego nie była wcale tak rogatą i „nie bodła nieba gęsiem piórem“, jak o Swifcie mówi Sheridan. Pochodzenie to z jednej sfery naszych satyryków, i to ze sfery,

która była raczej jedną wielką stutysięczną rodziną szlachecką, wpłynęło też z konieczności życiowych bardzo stępiająco na ostrze stali naokół tnącej. W 16 już wieku mieliśmy, jak widać ze świadectw drukowanych, doskonałą dworską ogładę towarzyską i „szlif kortegiański“, który zacierał kanciastości i chropowatości natur obozowych i wszystko oblekał pokostem edukacyi i obyczajności. Aczkolwiek siedemnasty wiek znowuż zbarbaryzował i zbrutalnił szerokie masy szlachty, kształcąc je tylko w „piwniczkach“ i zakrystyach, to jednak wyższe warstwy ziemiańskie i mieszkańcy większych miast zachowali już to kortegiaństwo i względną delikatność w obcowaniu. Jeżeli teraz uwzględnimy jeszcze warcholską obraźliwość szlachty, poza pół-wiekiem humanizmu w Polsce nieznoszącej urąga, żadnego szyderstwa i dochodzącą w tej nadczułości o swój klejnot, cześć, honor, „zacność“, do bezwzględności cezarycznej Tyberyusza czy Napoleona (nieznoszących, jak wiadomo, ni cienia wyśmiechu), to i dziwić się nam nie wypadnie temu bardzo charakterystycznemu rysowi naszej produkcyi t. j. jej ogólnemu adresowaniu satyr, bezimiennemu karceniu i tak zw. uszanowaniu osobistości, a mówiąc rzetelnie, uszanowaniu próżności w jednostkach, mających pieniądz, władzę i siłę. I pod tym względem kurtuazyjność naszych plewców złego i trzebicieli głupstwa miewała, szczególnie u niektórych z nich z czasów jezuickich rządów, wszelkie znamiona braku odwagi, taktyki połowicznej, kompromisowej, zgoła obcej i nieznanej delikatnym, ale szczerym kulturom, francuskiej, włoskiej, a wprost wzgardzonej w Grecyi i w Anglii, gdzie tak komedya satyryczna, jak i satyra, celowały wprost w osobistości, karcąc w nich i tępiąc chwilowo, przygodnie najsilniejsze krystalizacye złości i głupstwa. Pod tym względem satyra staropolska, przeważnie jeszcze do tego polityczna, nie psychologiczno-obyczajowa, a więc obracająca się w kwestyach najogólniejszej obywatelskiej natury, miała w tej bezosobowości może wielką dozę tego, co Horacy nazwał *urbanitas* t. j. wielkomiejskiej, wielkoświatowej dyskrecyonalności, ale skutkiem tego wiele rozwałkowanego, nieistotnego gderactwa i wiele omawiania i okrążania miasto bezpośredniego, śmiałego atakowania brzydactwa moralnego w jego plastycznych i widomych choć przemijających reprezentantach. Dopiero bliższe zapoznanie się ze satyrą angielskich Monitorów, Spektatorów i Guardianów, dopiero lektura Younga, Churchilla, Johnsona, Steelego i Addisona podniosła nieco agresywność tonu satyryków Stanisławowskich, wskazała im dzieła bardziej zachodnio-europejskiej odwagi cywilnej wobec mandarynów i oligarchów i pchnęła do samostwierdzenia się satyry w jej jestestwie. Pamflet osobisty, który w zaraniu dziejów naszych, w czasach humanizmu uprawiali z powodzeniem biskup poznański Stanisław Ciołek z Żelechowa (przyjaciel króla Jagiełły) i prymas Jędrzej Krzycki (przyjaciel królowej Barbary), przyszedł w dobie oświecenia z powrotem do praw obywatelskich. Wartość zaś i ważność jego doskonale ocenił jeden z najmilszych ludzi w naszej literaturze, Zabłocki, w wierszu:

„Przed wszystkimi zalecam ci trzymaj Boala:
On, kiedy gromi zbrodnie, imion nie ocala.
Inaczej nic nie zdołasz! Satyra nie taka,
Zamiast poprawić jeszcze zabawi łajdaka.“

Przytoczyć nadal wypadnie jeden z następnych powodów, gwoli których satyra narodu szumnego i rogatego nie była wcale tak rogatą, nie zostawiła nam typów absolutnie heroicznych, nie miała pośród siebie ani jednego męczennika za prawdę, za gejzerowe jakby wybuchy nienawiści do złego. Brak u nas i takiego typu, jak spółczesny Homerowi Archilochus, który, że wszystkich i wszystko ganił, zabity sztyletem, nawet w niepamięci jest pogrążon; brak u nas i takiego Boccaliniego, który za satyrę na Hiszpanów został kiedyś w Wenecyi workami z piaskiem na śmierć zatłuczonym; brak w tej satyrze Woltera, którego za paszkwil ciężko pobili posiepaki smarkacza de Rohan; brak i takiego Swifta, którego Irlandya katowana witała jak swego Anioła Pocieszyciela, zbawcę i obrońcę. Powód tych braków również leży w klerykalnej psychice ogółu i również absolutnie nie należy do jej rysów zaszczytnych, to bowiem polska: *odmieńcowość*. Pierwszego St. Orzechowskiego nazwała w 16 wieku opinia polska *odmieńcem*, z genialną wy-

razistością zogniskowawszy w tem słowie psychę pierwszego polskiego publicysty, a zarazem utrafiwszy w samo sedno naszej duszy zbiorowej. Mówią biografowie Orzechowskiego, że po ojcu pochodził z rdzennie polskiej rodziny (krewnej i Rzewuskim i Chmielnickim), czyli zawierał w swej krwi już elementy oligarchicznego „reakcyonizmu“ i znowuż hajdamackiej anarchii. „Odmieniec“ Orzechowski, w jednej osobie i reakcyonista i rewolucyonista, to kto wie, czy nie symboliczna postać rzeczywistego Polaka. Kto wie, czy w każdym z nas, co na -ski się kończą, nie tkwi wielka, większa, niż przypuszczamy doza *odmieńcowości,* wiekuistej połowiczności, kameleonowej zmienności, ugruntowanej na kobiecym pierwiastku w charakterze wszystkich słabych Słowian wogóle. Wielką jest skala tej *odmieńcowości* w naszej psychice, bo zawiera w sobie i bezsprzeczną naszą genialność towarzyską, czyniącą nas wdzięcznym żywiołem salonowym, jak również i nasz, nie ulegający dyskusyi nawet w Potsdamie, zmysł do dyplomacyi, ale zawiera także i ujemniejsze nieco załamki i załamania charakterów naszych, to jest kobiecą kameleonowość w przekonaniach i zasadach.

Ta „odmieńcowość“ w psychice polskiej i związane z nią: wieczna gotowość ugody i kompromisów, układność czyli łatwość asymilowania się, dalej połowiczność w myślach, w czynie, w każdem dziele nawet, przywary fatalne, leżące w zalążkach w naszej miękkiej naturze od wieków, wyhodowało starannie dopiero wychowanie jezuickie, które też tak zatruło ducha narodu, że nawet katastrofy historyczne i romantyzm polski nie zdołały do cna wytrzebić jezuityzmu z naszych stosunków wzajemnych, z naszych enuncyacyi oficyalnych, z każdego charakterystyczniejszego faktu życia ogólnego.

Już Bona królowa zaczęła uczyć Lechitów obok *molezzy* i *grandezzy* włoskiej także i początków kunsztu hipokryzyi; ale dopiero biskup pruski Hose, zwany w Polsce Hozyuszem, wzmocnił tę całkiem zbyteczną, a często zniechęcającą do nas innych Słowian nutę w polskim impulsywnym, szczerym i dla włoskiej hipokryzyi trudno podatnym charakterze, sprowadzając nam na głowy całe falangi hiszpańskich i niemieckich mentorów a zelantów idei Ignacego Lojoli i patra Canissiusa. Gdy najtęższe głowy już z szesnastego wieku z genialnym Ostrorogiem i Fryczem Modrzewskim na czele radziły nam unarodowienie Kościoła, tak jak innych sfer i dziedzin socyalnego i politycznego życia, unarodowienie wzorem potężnych państw i narodów europejskich i wyemancypowanie się z pod patronatu Rzymu, teraz właśnie król szwedzki, ale z ducha Niemiec, z pomocą niemieckich patrów (którzy w warszawskim swym kościele przez pół wieku 17 tylko po niemiecku kazania głosili), z pomocą całej korporacyi kosmopolitycznych uniwersalistów Rzymu zdołał odeprzeć patryotyczny ruch wyzwalania się od Rzymu i owszem nawet z „oziębłych“ *freddo*-katolików, jak jeszcze donosił jeden nuncyusz do Rzymu, uczynić Polskę w 30 lat „najwierniejszą parafią Apostolskiej kuryi“, jak już donosił nuncyusz następny. Ćwierć wieku wytrwałej i konsekwentnej pracy uczniów Lojoli, cezaro-papistów, tych zatwardziałych wrogów nauk przyrodniczych i matematyki, historyi polskiej i filozofii greckiej, tych mistrzów obłudnego pochlebstwa i panegiryzmu, tych wielbicieli a podpór wszelkiego typu absolutyzmów, wystarczyło całkowicie, aby spaczyć mocno zbiorową duszę szlacheckiego narodu; aby ze słynnie w 16 wieku toleranckich i toleranckie idee apostołujących Lechitów uczynić zaciekłych pogromców wszystkich inne religie wyznających (z wyjątkiem jezuickich beniaminków: Żydów), wystarczyło do zatarcia śladów wszelkich zaczynów samodzielniejszej kultury narodowej i wystarczyło wreszcie do rozbudzenia takich instynktów tyranii w katolickiej większości narodu, że, przed ich przemocą chroniąc się, sprowadzać zaczęli bracia na braci, Polacy na Polaków falangi protestanckie — szwedzkie i hordy dyzunickie — ruskie.

Przypomnijmy sobie na tem miejscu jeszcze, że gdy różnowiercy wszyscy w krótkim czasie swego istnienia założyli przeszło 1 500 szkół elementarnych i w tem kilka świetnych uczelni wyższych aryańskich, zwanych Ateńskiemi, Jezuici nie założyli ani jednej szkoły elementarnej popularnej, a w konwiktach swoich i collegiach, ekskluzywnie szlacheckich, i w Akademii wileńskiej paczyli, psuli młode dusze mechanizowaniem praktycznej wiedzy, podręcznikami frazesów krasomówczych, judzeniem na

dyssydencyę oraz dewocyą, przechodzącą w jakiś pół meksykański kult dla fetyszów, w pół egipski dla skarabeuszów. Pokolenia, wychowane w tych wylęgarniach kastowego i religijnego egoizmu, wyszedłszy na świat dziejowy, zaczęły działać według Pisma Świętego: „wywiedź za bramy bluźniercę i niech go ukamienuje lud cały“ i wnet pchnęły nam różnowierców w objęcia szwedzkie, wnet rozdrażniły do stanu złowrogiego wschodnią schyzmę (intrygi t. zw. błogosławionego Józefata Kuncewicza), wreszcie rozpaliły straszny gniew i pomstę torturowanego i masakrowanego kozaczego ludu. Trzeba im jednak przyznać, że tylko oni uratowali byt katolickiego wyznania w Polsce i podnieśli je do godności pnia narodowego, pchnąwszy naród w kosztowną rolę „przedmurza chrześcijańskiego“, *antimurale Christianitatis.* Co prawda, uczynili to kosztem rzek polskiej krwi i strumieni polskich łez, zawsze jednak w myśl kardynała Hosego z Prus (który nie znał nawet języka polskiego, a mówił wyłącznie po łacinie), „że lepiej kraj oddać wrogom, niźli heretykom“ i w myśl maksymy kaznodziejskiej, „jeśli zginie doczesna ojczyzna, to przy wiecznej ostoim“.

Jakżeż tedy reagowała satyra, t. j. rzeczniczka opozycyi rozumowej na tę hegemonię absurdu, kryjącego się za maską absolutu? Możnaby powiedzieć, szła z biegiem czasów, nie zdobywszy się ni w jednym typie na protest przeciw ortodoksalności owej choć cokolwiek podobny do analogicznych śmiałych ataków na Rzym ze strony satyryków włoskich, niemieckich, angielskich i francuskich. Trzeba jednakże przyznać, że nie oszczędzała ani derwiszów, ni bonzów, rozgospodarowanych, roztyłych i rozzuchwalonych bezprzykładnie. Idąc koleją wieków, wszyscy niemal satyrycy polscy atakowali sybarytów, każących „w imię Chrystusa, a żyjących jak wieprze“, nieświadomych szarlatanów i augurów, rozpowiadających urocze cuda o królestwie niebieskiem, a podpierających ziemskie królestwo przemocy kastowego gwałtu. Począwszy od prastarej omszałej pieśni z czasów modrzewiowych horodyszczy i pierwszych feudalnych grodów i burgów, począwszy od tej z czternastego wieku:

„Kapłanie, chcesz polepszeć dusze swey
Nje mów często: piwa naley
Bocz piwo jest dziwny oley,
Więc z nich kłamają chłopi (z was się śmieją chłopi)
A rzekąc: szaleni popi...“

I odtąd już wszystkie zdrowe mózgi u nas krytykują „szalonych popów“ i ich polską gospodarkę. Nie zdobyła się nasza „wolna myśl“ satyryczna coprawda na tej kolosalności szyderstwa z mitologii, jak „Chmury“ Arystofanesa lub „Bajka o beczce“ Swifta, ale w każdym razie omal wszyscy nasi weredycy i przygańcy, począwszy od Ostroroga, biskupa Ciołka, spiżowego hetmana Tarnowskiego (w Sztuce Wojskowej), Bielskiego, Wolana, Reja, nie wykluczając wcale naszych prałatów i biskupów satyryków, a kończąc na Krasickim, St. Potockim, Zabłockim, — wszyscy sprawiali „wszetecznej księży“ nie ochotnie przyjmowaną flagellacyę pręcikami Jokusa. Pierwsze zaś czasy ich dorabiania się i wgryzania w zanadrze narodu i zaskarbiania sobie łask rządzących i potężnych sfer wywołały całą imienną i bezimienną satyrę demaskującą. I dlatego, przyszedłszy do absolutnej władzy i trzymania narodu na pasku różańcowym, zaczęli ją wycofywać z obiegu, wykradać, niszczyć, palić na stosach, wydzierać z niej karty kompromitujące, aż wreszcie solidarnym wysiłkiem całego duchownego stanu powołano do życia Cenzurę w roku Pańskim 1643. Dzięki jej rozbudzeniu zasnęła w drugiej połowie XVII wieku wraz z Satyrą i cała literatura polska i tak spała, aż póki Europą nie wstrząsnął smoczy śmiech Lewiatana Hobbesa, póki nie padło wielkie, całym światem wyższej ludzkości wstrząsające hasło: Wytępiać ohydę! i aż póki u nas nie wstąpił na tron król oświecony, „co to był niby z Polski, a po polsku nie myślał“.

I jeszcze zależy zarejestrować nam, ostatnio może, jeden z walnych powodów względnej tylko siły polskiej satyry i nie najmocniejszego akcentu prawdy w niej, nie-sięgnięcia jej w sam ośrodek, w jądro zła, nie-zajęcia absolutnie potępiającego stanowiska, opartego na granitowej rafie negacyi w tem morzu spienionego głupstwa. Powód ten — to kombinacya dwóch przesłanek przytoczonych już, t. j. przejęcia się, przepojenia

kulturą łacińską, z wyżej wspomnianą afilozoficznością polskiego intelektu. Kiedy więc w rzymskich autorach znaleźli nasi pesymiści gotową formę kontrastowania artystycznego przez zestawienia cieniów marnej teraźniejszości z jasnościami zapadłego złotego wieku *(aurea aetas),* kiedy w Cyceronie wyczytali zbożny kult dla zmarłych, cześć dla dziadów, a w Juwenalu nawet melancholijną tęsknotę do tych czasów, „gdy to ziemia była jeszcze młodą, a niebo nowem", wtedy szczerze polska niechęć do kontrolowania logiki argumentacyi i niezdolność do poza-przyziemnego stosunku do świata i jego zjawisk, wskazały satyrykom naszym w tem porównaniu ze starymi czasami i w tem chwalstwie czasów przebrzmiałych *(temporis acti)* doskonały i wypróbowany ideał, dla żyjących zawsze niedościgły. To powoływanie się na ongiś świetne, patryarchalne czasy (których w rzeczywistości nigdy nie było), poczęte przez pierwszych satyryków każdego narodu, t. j. przez teologów na kazalnicach, w naszej satyrze przeszło wprost w monotonną manię. Urodzeni progressiści, bojownicy ulepszania, udoskonalania i reformowania, apoteozowali jakąś przeszłość fikcyjną i niebywałą, byle tylko kłuć nią w oczy, i draźnić, i kompromitować swoich spółżyjących. W bezkrytycznym zaś i niefilozoficznem uwielbianiu rzekomej złotej epoki zacietrzewiali się nawet tak silnie, że jako lekarstwo i środki na wszelkie zło podawali reakcyę sarmacką, jako wzór, powrót do przestarzałych form i poglądów, to jeszcze Saskich, to za Sasów do błogich obyczajów Łokietkowych, Piastowskich, kmiecych. Stąd płynęła tej satyry czasem Janusowa dwulicowość, stąd szło, że lewa ręka mazała to, co prawa zaledwie napisać się ośmieliła. Stąd antyczny ton naszego przectwa, które w zestawieniu z Robespieryczną zuchwałością satyryków z ludu u np. najkonserwatywniejszego z najkonserwatywniejszych narodu, bo angielskiego, wygląda miejscami ledwie jak maruderska obstrukcya, jak kominkowe zrzędzenie z cybuszkiem w zębach.

I teraz, zsumowawszy te argumenty, konstatujące dość może jasno relatywną, specyficznie polską manię wzdychania do mirażów przeszłości (zresztą także tylko jeden numer z katalogu

naszej ospałości myślowej), konstatujące dalej słabszość, niesamodzielność i połowiczność satyry staropolskiej, chciejmy sobie zdać sprawę z tego, co znowu tworzy siłę, urok i nieśmiertelną wagę tej bądź co bądź *magna pars,* lwiej części całego piśmiennictwa staropolskiego, poczętej widocznie z bezwzględnych potrzeb i impulsów plemiennych, skoro pierwiastki satyryczne odkrywać można i w autorach z całkiem innych gałęzi piśmienniczych, przedewszystkiem obficie w historykach, ba, nawet w pierwszych historykach polskich, jak w Janie z Niedzielska, Długoszu i w Marcinie Kromerze. I oto z góry stwierdzić należy, że nawet ta nasza satyra, tak stale chodząca w chomątach polityki, tak niepsychologiczna, Muza forensis i Muza pedestris, rozwłóczona piechotnym rytmem w nieświetnej formie rynsztunku po sejmach, sejmikach, zjazdach, synodach, konfederacyach, obozach, rokoszach, kołach, bijatykach i pijatykach, zawiera w sobie całe encyklopedye obyczajowości polskiej, całe panoramy już nigdy niepowracającego życia, całe muzea drzeworytów, sztychów, obrazów, szkiców, sylwetek, sytuacyi, kreślonych czasem z niezrównaną energią plastyczną, czasem ze skrupulatnością holenderską, czasem z precyzyjnością lubujących się w swym przedmiocie kunsztarzy, czasem z impresyonistyczną wskroś werwą, a często z bajeczną szarżą karykatury. Można zarzuty czynić naszym piszącym zrzędom, że zbyt folgowali rycerskiemu stanowi i jego magnackim trymalchyonistom, albo znowu, że nie mieli zmysłu dla syntez historyozoficznych. Nikt im atoli nie zaprzeczy tego, co Francuz nazywa *sensem konkretu,* nie zaprzeczy, że posiadali prawdziwe poczucie realności i jakiś swoisty naturalizm, wprost podziwu godny u Reja, Klonowicza, Kochanowskiego, Krasickiego lub Zabłockiego. Są między nimi śledziennicy i wątrobiarze, którzy w posępnych i opłakanych czasach z łacińska po polsku, klecili tylko niezwykłej długości jeremiaszowe tasiemce, tnąc całe okresy z Juvenala, indziej z ciemnawego Persyusza, myśli temu wszystkiemu nadając Erazma z Czerwonej Grobli, a tylko kostyumy i dekoracye polskie. Ale są szczególnie w czasach humanizmu i encyklopedyzmu talenty z czarciej łaski, samorodne, o Bachicznym dechu, pełne krewkiej *„joie de vivre",* tryskające rzutkim mięsopustnym

dowcipem i wesołością jakby leśnych satyrów; są: Ciołek, Cricius, Janicius, Gawiński, Dzwonkowski, Miaskowski, a w Warszawie rokokowej miłe pokolenie farmazonów, libertynów, wyznawców Voltaire'a, Parny'ego, Crébillona, Diderota: Krasicki, Morski, Ancuta, Zabłocki, Naruszewicz i wreszcie Węgierski, na którego pamięci ciąży wciąż paszkwil krytykastracki Siemieńskiego, wkupiającego się w łaski stańczykowskiej parafii chwalebnem zohydzeniem pieśniarza Katarynejdy.

Wszyscy ci satyrycy różnych czasów to jedna wielka partya racyonalistów. U niektórych z nich ten racyonalizm w mniejszej dawce, przytłoczony balastem worków z ortodoksyą, u innych mocny, wyzywający, szukający zaczepek i rozbijający tak tablice Mojżesza, jak i tablice z drzewami genealogicznemi, a przedewszystkiem tablice złych, egoistycznych kastowych praw i przywilejów, przez samowładczą większość coraz bezkarniej uchwalanych.

Walczyć musi ta satyra czasem i na dwa fronty, przeciw stadowemu zasypianiu całego narodu szlacheckiego, tępocie zasklepiania się i grzęźnięcia w swojskiem, rodzimem, jedynozbawczem głupstwie. A na drugiem froncie znowu walczyć musi przeciw szałowi *xenomanii*, przeciw małpowaniu wszystkiego, co dekoratywne, szychowe, szykowne z obczyzny, przeciw temu, jak Kochanowski określa, *„postronnemu ćwiczeniu"*, które z Polaka czyni, znowu według Grochowskiego, *„wendetę wszystkich ludów"*, przeciw tej łatwości u polaków („żebraków na potrzeby, a w zbytkach dostatnich") oblekania się w cudze piórka z całego świata... we węgierski żupan, perski kontusz, hiszpańską krezę, włoskie płaszcze, w niemieckie pludry i w austryackie łańcuchy Złotego Runa oraz austryackie jezuitom poddaństwo.

A że niewielkim jest ten inwentarz „grzechów" polskich, jak i niezbyt różnorodnem i psychologicznie ciekawem było tworzywo tej satyry, oficyalne rycersko-Cyncynnatowe życie polskie, więc i przez ciąg wieków powracają ustawicznie te same wzory na kanwie twórczej, które dziadowie wnukom, a ojcowie synom dzierzgają: podobne „tańce grzechów" polskich, te same ronda przywar, kręgi zwycięskich i wiecznie powtarzanych

błędów, o których to już wawelski dzwon Zygmunta wedle starej legendy wydzwaniał: „wszędy błędy! wszędy błędy!..."

Powtarza się tedy konterfekt arcy-samca, Don Juan'a, zwanego kolejno: otrokiem, junochem, czuryłą, wietrznikiem, galantem, filutem, inwantem, dryganitem, gładyszem, fircykiem. Powtarza się u Kochanowskiego i Klonowicza lichwiarz, pieczeniarz, bajczarz, skąpiec, „łuszczybochenek". „Żona modna", jako motyw satyryczny, jest i w 15-tym i w 16-tym i w 18-tym wieku stale. Cudzoziemszczyznę, to przesadne i epidermalne naśladownictwo wszystkich z całego świata błyskotliwości, wykpiwa już Kromer, poczem Modrzewski (głęboko odczuwający efekciarstwo naszej *nobilitatis*, imponującej chodaczkom *vestitu splendore)*, Rej, Jurkowski, Grochowski, Zbylitowski, Gorczyn, Jagodyński, Twardowski, Naruszewicz, Zabłocki i inni. Na bakszysz polski i przekupne trybunały skarżą się Kochowski, Opaliński, Gawiński. Włóczęgostwo polskie po mody zagraniczne, nie mające nic wspólnego z angielską podróżomanią, zwalczającą niewygody i trudy, ryzykującą życie, inicyatywną, zdobywczą, nowe ścieżki cywilizacyi odkrywającą, to polskie wałęsanie się po Europie typu określonego nazwą *„ciconia ex Polonia"* chłoszczą Kromer, Rej i znowu Naruszewicz i Staszyc. Żeniaczka dla pieniędzy szpetna powtarza się jako zarzut bardzo częsty, począwszy od najstarszego wiersza rubasznego: „pojałbych i świnię z obory, byli miała złota pełne komory". Również często rozbrzmiewa skarga na sarmacką niechęć do książki, barbaryjne lekceważenie wszelkiego druku, obojętność dla skarbów umu ludzkiego, składanych w tych „trumienkach ducha", na półkach książnic, libraryi i „gabinetów lektury", jak je zwano za Stanisława. W dobie najpotężniejszej Polski skarżą się na to porówno dwaj sobie najwięksi wrogowie. Grzmi Skarga Pawęski na kazaniu: „nie radzi czytaniem się bawią, a pieniądze, które na zbytkach tracą, na księgi żałują i choć im księgi darujesz, w kącie je porzucają". A jego przeciwnik, kalwinista Wolan pisze:

„To jedno tu przydawam, że w Polsce przyjaźni
Poetowie nie mają i są mało ważni.

Prawda im to sprawuje, według mego zdania,
Która była na świecie, jako żywo, tania;
Póki im fraszki piszesz, to radzi czytają,
Pisz-że co statecznego, srodze się gniewają“.

Wiersz ten mimo 350 lat starości jest dziś tak samo chyba aktualnym, jak był nim za tego Grochowskiego, który pisał:

„Byś był Homerem lub wdzięcznym Maronem,
Ano wymownym rzymskim Cyceronem,
Nie przyniesieszli to i nie weźmiesz Maronie
I Cyceronie“.

Takie wiersze, skarżące się na „nikczemne dole literata“ w Polsce, często uciekającego i żegnającego się z ojczyzną „niewdzięczną“, pisali i Zabłocki i Węgierski już w czasach, kiedy to „był już August, ale jeszcze rzadkie Maecenasy“, kiedy bajką mityczną był w Polsce taki protektor literatury, jak np. kardynał du Bellay, który niegdyś tym gościom swoim, którzy zdradzili się z tem, że nie czytali np. boskiego pornografa Rabelais'go, kazywał siadać wraz ze służbą w izbie czeladnej.

Powtarzają się w różnych czasach karykatury obżartuchów bez cerebrum i opilczych gąbek. Bardzo często czysto-ludzka etyka każe satyrykom zaczepiać prerogatywy rycerskie i dumę z klejnotu, opiewać wyższość szlachetności cnoty nad szlachectwem rodu i kpać z tych, co się wywodzili od Abrahama (jak Abramowicze), od Adama (Adamowcy), od Abla (jak Rayscy), albo wprost od Chrystusa, jak Topór-Korycińscy, na tej podstawie, że św. Józef był z profesyi cieślą, a oni w klejnocie mieli przecież: Topór. Również często ci potomkowie w prostej linii Mahometa i Dawida, obstawiani przez Ojców Jezuitów pełnymi kubłami kadzideł za swe męstwo Cezarowe, geniusz wojenny Hannibala, odwagę Sulli, hart Mucyusza Scaevoli i t. p., dostają tęgie ciągi satyryczne właśnie za swe *zasiedzenie, zależenie* po dworach, za zniewieściałość, tchórzostwo, zniedołężnienie i dolcefarnientyzm w wiejskich Tusculach. Bardzo wielu satyryków, począwszy od Bielskiego (w „Seymie niewieścim“), Kochanowskiego (w „Satyrze“), Widawskiego (w „Exorbitancyach“), ciągle przypomina i grozi tureckiem niebezpieczeństwem, wykazuje tak sromotne zaniedbania kunsztu

wojskowego, że, jak to mówi uszczypliwie W. Potocki, „pod mieczem jako wyżły gną się ku ziemi“, „ledwie że nie z nogami włażą w szyszak przodka“. Wielu gromi zanik energii Marsowej, zaparcie się właśnie tego rycerskiego hartu i animuszu, który był niby kluczem do skarbu przywilejów rządzącego stanu. Ci sami odwodzą szlachtę z całą energią od handlu i industryi, w przekonaniu, że, po pierwsze, ziemiaństwo to jedyna militarna siła, broniąca państwa, a po drugie, wiedząc, że na tem handlowaniu i industryi rycerskiej milionowe straty ponosiłby skarb Rzeczypospolitej wobec istnienia głupich praw, że towary szlachty są wolne od ceł, że zatem miejsce płacącego wielkie cła mieszczaństwa zajęłaby szlachta, pod której płaszczem również Żydowie sprowadzaliby towary kontrabandą, a „Rzeczpospolita nieboga i w temby się chwiała“.

Dwa są z pomiędzy przewielu innych jednakże stałe generalne akordy, które przez ciąg wieków bierze prawie cała kapela satyryków polskich, mniej więcej czterdziestu męża licząca. Dwa powtarzają się motywy przewodnie, powracające upornie, dwie czerwone nitki, ciągnące się od omal kolebki narodu aż w czasy rozbiorów. A te są mianowicie: przygana kobietom, „płci subtelnej, piękniej jeno na wejrzenie“, i obrona chłopstwa, które było wedle Skargi „jako ziarno pod kamieniem młyńskiem pod pany swymi“. Na tym temacie „przygany białogłowskiej“ i potępienia niewoli włościaństwa schodzą się wszyscy satyrycy nasi, i księża, i wojownicy, i posesyonaci, i ziemianie, i żółciowcy, i wesołkowie, renesansowi i rokokowi, artyści formy i grafomaniacy, wszyscy! dając tem samem świadectwo przenikliwości wzroku i rzetelności swego przectwa. Jak już pierwsi kaznodzieje z chłopskiej Polski Łokietkowej i z niemieckich jeszcze miast krzyczą z czeska rubacznie na „zbytki białogłowskie“, na „córy fryjowne“, „jedwabie na plecyskach wycięte“, „szlepy na dwa łokcie, które służki dźwigają“, na „kapelusze wysokie na sześć łokci w górę“, podczas „gdy Chrystus tylko w cierniowej koronie chadzał“, tak i ostatni wykwintni monitorowcy i galantni espriforci potępiają to utracyuszostwo w modzie i wybryki luksusu u sawantek, u madam z redut, „żon modnych“, gwiazdek

baletu, metres kosztownych i rozrzutnych *„ficygernek* z fox-hallowych ensemblów“. Dużo jest w tych kampaniach i dyatrybach przeciw rządom kobiecym teologicznego ducha i starodawnej ascetyki chrześcijańskiej, potępiającej wszelkie wogóle *„caro foenum“* nieczystego stworzenia i napominającej o *„memento mori“*, dużo ogólnoludzkiej walki dwóch płci o supremacyę, bardzo wiele także i zwykłego wpływu skrupulatnie czytanego Juwenala, który w zaciekłości gorycznej przeciw zepsowanym obyczajom kobiet dochodził do siedmioset wierszowych furyi, ale wiele także słuszności lokalnej, gdy się uwzględni, jak polski temperament ognisty folgował zawsze zbytnio słynnym już w średniowieczu z urody Polkom, tym wedle słów satyryka z XV wieku, Łukasza z Koźmina: „karocom do nieba“. Najświetniejsze karty satyry polskiej poświęcone są wesołej wojnie z „paniami duszkami“ i z „pstrzącemi się sroczkami“. Bielski, Zbylitowski, Paprocki, Widawski, Twardowski, Gawiński położyli w swych „Seymach“ „Przyganach“, „Dziesięciorgu przykazaniach“, „Kamoenach“, „Groszach“ i „Dworzankach“ trwałe podwaliny pod tę wieżę próżności samiczek sarmackich. Grochowski, dowcipny mędrzec, doskonale odgadł związek, jaki zachodzi między tem lekkomyślnem poddaniem się rządców świata rządom kobiet a największem złem polskiem, na jakie i niemasz już usprawiedliwienia, a to we wierszu, dziś jeszcze żywym i świeżym:

„Ta jeździ czterma, owa poszóstnymi,
Ta świetna strojem, owa służbistymi,
A mąż nieborak często nie ma kopy,
Więc ściska chłopy“.

I oto przychodzimy do najciemniejszej strony życia niepodległej ojczyzny, do tej odwrotnej części pięknego, barwnego kobierca naszych dziejów, do kwestyi chłopskiej, oglądanej przez pryzmat *„prawdziców“* ostrzegaczy, nawołujących do opamiętania, przez pryzmat racyonalistów, protestujących, można powiedzieć, w niebogłosy, a w rezultacie skazanych jedno na rolę *„clamantis in deserto“*, krzyczących na pustyni, pustyni egoizmów, które pierwsze o trzy wieki przed Bismarkiem wynalazły maksymę: „prawa za mocą idą!“

Była Rzeczpospolita bez żadnej kwestyi *Paradisus Judaeorum*, Eldoradem Semitów niemieckich, hiszpańskich, holenderskich, węgierskich. Również atoli była, jak określił Modrzewski: *Infernus rusticorum*, piekłem włościaństwa. Temu nie zaprzeczą żadne maskujące sofisterye przygodnych skrybów, tańczących na dwóch łapach przed glinianonogiem kolosowem kłamstwem o humanitarnej Polsce, bo tego zatuszować nie zdołał i nasz mesyanizm, przeznaczający Polsce (jak Victor Hugo Francyi) wspaniałomyślnie szczytną, ale na mocnym pokładzie ignorowania faktów opartą rolę „rozdawcy sprawiedliwości ludom“. Nie, i potrzykroć nie. Przyznajmy sobie szczerze, że do tej roli jak nie przygotował nas i wiek XIX, tak i nie przygotowało nas pięć wieków państwowej egzystencyi, w których, przyswoiwszy sobie całkowicie etykę feudalizmu teutońskiego, pokochaliśmy ją tak serdecznie, że trudno nam się było z nią rozstać samym bez obcych bagnetów i armat pomocy. Zresztą sąsiadowaliśmy o ścianę z prusackim junkrem-nadczłowiekiem, którego kastowa etyka i potęga, tkwiąca żelaznymi korzeniami w krwawej ziemi krzywd i ucisków, działała przykładem swego powodzenia edukacyjnie zaraźliwie i niegodnie. Ale to zło, które Prusom dało siłę i zrobiło z nich szanowną i głodną zakałę całej cywilizowanej ludzkości, to samo zło zatruło, przegryzło i wyniszczyło nas, widocznie materyał ludzki organicznie już lepszy, etyczniejszy, do życia moralnego powołany.

Przerzucanie satyrycznych kart obyczajowości naszej oducza nas definitywnie od wiekuistych złudzeń o sielankowej patryarchalności szlacheckiej symbiozy z chłopstwem i przekonywa nawet po odtrąceniu odsetka przesady poetyckiej o tem, że było u nas istotnie tak źle, jak w one czasy omal w całej Europie.

Była kiedyś pół-chłopska Polska spokojną, pastersko-szczęśliwą i słowiańsko-etyczną. O tak, kiedyś. Ale odkiedy Bolesław Chrobry i jego witezie, odkąd rycerze runiczni zaczęli się solidarnie kumać i łączyć i odkąd pierwsze zwycięstwo europejskiej miary odniósł oręż lechickich drużyn nad nauczycielem swego militarnego kunsztu, nad prusackim Zakonem, odtąd, od Olbrzycha ciemnieje dola polskich *kmethonów*. Od traktatu To-

ruńskiego, jak opowiada Długosz, „wszystko się zmieniło"; zwycięstwo oręża i siła, jak każda przemocy wygrana, zdeprawowała zwycięzcę. Poznanie bogatszych i kulturalniejszych siedzib krzyżackich i miast handlowych uzyskanego świeżo Powiśla wzbudziło żądzę i potrzebę wyższej skali życiowej i komfortowniejszego, byle bez pracy, bytowania. I odtąd też zaczyna się wieczna walka o władzę i przemoc, wieczna emulacya ze sobą możnowładztwa i szlachty po skrępowaniu trzeciego: chłopa-autochtona (który tu siedział od Ptolemeuszowych może czasów), po obaleniu go na niziny roślinnego ledwo życia, w otchłanie *„plica polonica"* kołtuna... Trzy czwarte Polaków, rolników, siewców, włodarzy, żywicieli żyło przez pięćset lat w wydziedziczeniu. I oto wszyscy omal bez wyjątku satyrycy polscy, wszyscy omal krytycy naszego życia, satyrycznie je oświetlający, potępiali ten stan, nie mając dość mocnych słów indygnacyi w swym słowniku na wyrażenie zgrozy. Mówi magnat Opaliński, że „stu gęb i stu języków i to jeszcze mało potrzebaby na słuszne chłopstwa oppressyi wyrażenie". Pierwszy historyk, Długosz, ukrywany, zabroniony, przemilczany, z gorącem oburzeniem konstatuje niewolę *plebis rusticanae*. Modrzewski wątpi wprost, czy niewolnictwo w Egipcie mogło było być gorszem od niewoli kmieci naszych, i załamuje ręce nad tą *extrema miseria*, nad tą bezkarnością i okrucieństwem szlachty Ksiądz Warszewicki pisze: „sroższą niż babilońska jest niewola chłopstwa naszego". Klonowicz całe strony swych poematów i traktatów poświęca tyrańskiemu „odrzychłopstwu", widząc, jak, „podeptawszy zakon i naturę rzeczy, człek zwierzęco wysysa szpik z kości człowieczej", sam naocznie przypatrując się ekonomom, „jak pijawki krew ludu wysysającym", „jak lwy afrykańskie znęcającym się nad barankiem". Inny satyryk, *Starowolski*, sympatyczny staruszek, znany ze słynnej repliki szwedzkiemu Gustawowi, porównuje szlachtę do szarańczy, „trawiącej zarobki chłopskie", „prześladującej chłopstwo jak bydło nieme, jako łby skopowe". Inny znowu przyrównuje stan chłopski do wielbłąda, obładowanego tak ciężko, że na nogi nawet podnieść się nie może. A licznego tego i czcigodnego szeregu najmocniejszych mózgów polskich, a często

i serc gorących nie zamyka jeszcze i ksiądz Naruszewicz swoją zwięzłą syntezą tych stosunków socyalnych, tym dwuwierszem:

„Bo w Polsce złota wolność pewnych reguł strzeże:
Chłopa na pal! Panu nic, a szlachcic na wieżę".

Z prawdziwą dumą przychodzi w naszych czasach wyławiać z morza sarmackiego samolubstwa te perły chrześcijańskiej miłości bliźniego, które brać rycerska przezywała sobie „paskwilusami", „kiepskiemi chryjami". Z rzetelną satysfakcyą czyta się te często nieudolne, chropowate, kulejące strofy, klecone przez uczciwych tamtoczasowych pozytywistów, szlachciców, z weredyctwa znanych, a często „w gorętszych terminach" potężniejącej reakcyi z konieczności ukrywających się i pseudonimowych. Niekiedy ta pisana opozycya przeciw bezmyślnej tyranii wzrastała i potężniała do istnego zalewu druków, broszur skryptów, listów, „powstydzeń". Szczególnie, gdy w czasach bezkrólewiów magnaccy „demofagowie", głowy rodów, wychodziły na obławy, by fundować fundamenta dzisiejszych już resztek z pomocą florenów dworu austryackiego, kamer: śląskiej, pruskiej, francuskiej, z pomocą szwedzkiego, włoskiego i węgierskiego złota, gdy szli „panowie rada", by ofiarować stolec Piastów najwięcej bakszyszu dającemu kandydatowi, wtedy formalnie wzbierała powódź paszkwilów i pamfletów, demaskujących nagą duszę tych notorycznych zdrajców, a patetycznych obrońców i rycerzy „złotej", bo złoto rozdającej wolności.

Ile sił mieli w sobie satyrycy i ile ognia dusznego, tyle zużywali na bicie taranami dosadnego szyderstwa w cyklopie mury obłudy, egoizmu, płaczącego krokodylemi łzami nad zamierającą Rzecząpospolitą, i bufonady, wyciągającej w kościele (obcym starosaskim obyczajem) las szabel w znak gotowości do pogromienia Osmanów, Tatarów i innych „wrogów wiary świętej", a w braku tamtych tymczasem pod ręką znalezionych biednych, skromnych, jedynych bohaterów orlej myśli polskiej, Aryanów. Ile mieli kultury i talentu, tyle kładli w z góry przegrany bój ze zawsze zwycięskim i nieśmiertelnym kanibalizmem słabomózgiej, ale mnogością zer imponującej krociowej większości.

Niestety! nie było między tymi z miotłą Augiasza ani jednego z siłami Anteusza. Lecz i ci, co byli, dając w każdym razie dzieła choć negujące, ale poniekąd też i *rehabilitujące*, stali się polskiem potwierdzeniem tej w cywilizowanych piśmiennictwach szanowanej maksymy, że więcej pożytecznej i twórczej prawdy znajdzie się zawsze w jednem dziele *satyry*, niźli w stu tomach optymistycznego i podchlebczego *liryzmu*.

BALZAC W POLSCE I W NIEMCZECH

Dante XIX wieku mieszczańskiego, de Balzac z Tours, ma u nas dziwne szczęście do tłómaczów. Czy jest to jakiś naturalny objaw wdzięczności za sympatye, jakie miał dla Polski całe życie, — nie wiadomo, dość, że co dziesięć lat jakiś szczery jego lubownik obdarza nasz rynek księgarski (ostatnio zawalony formalnie tłómactwem kałmuckich jednodniowych archidzieł) zazwyczaj bardzo poprawnem spolszczeniem tych utworów, z olbrzymiego magazynu firmy Balzac wyjętych, które najbardziej tłómaczowi przypadały do smaku. W przedostatniem dziesięcioleciu Sygietyński dał „Jaszczura“, „Arcydzieło nieznane“ i, niestety, dalszą pracę przerwał. W ostatnich zaś latach dwie rzeczy, może zębem czasu najmniej draśnięte, wiecznie świeże i rozkoszne, można czytać w doskonałej polszczyźnie dzięki mr. Boyowi. „Fizyologia małżeństwa“ (1909) i jej antytetyczne skompletowanie „Małe niedole pożycia małżeńskiego“ (1910) — oto tytuły wiele obiecujące dwóch przemiłych brewiarzów, które się czyta, przezwyciężywszy pierwsze strony, może nieco myszką zalatujące, z wzrastającą satysfakcyą, z przybierającem rozlubowaniem się, wreszcie z radością i weselem. Jak za życia autora, tak i teraz przy rozejściu się tych dwóch tomów w publikę świat czytelniczy rozdzieli się na zwolenników, wielbicieli „Fizyologii“ i na entuzyastów „małych mizeryi“; przy pierwszej staną zwartą kolumną piękne panie; małe zaś niedole, leciuteńko myzogynicznym sosem oblane, dostarczą dzielnej broni „żonkosiom“ w utarczkach małżeńskich i mogą stać się nieprzebranym arsenałem, skąd raz po raz wyciągać da się godzące w samo serce sedna pociski. Mr. Boy, tu i owdzie odchylający już boyowej przyłbicy, amatorskie swoje zadanie wypełnił z ultrafachowym pietyzmem, dosłownie śmiało, autentycznie prze-

swobodnie, a z gracyą. Tłómaczenie Balzaca nie zdaje się być rzeczą łatwą. Styl jego był wiecznem mocowaniem się krępego, niezgrabnego, sapiącego żubra gallijskiego z eleganckim, gibkim, wyfraczonym, ale znającym wszelkie „chwyty" klasycyzmem. Balzac zwolna nabierał manier szermierza *l'art de bien dire*, na lustrzanie wywoskowanych posadzkach sunął z dystynkcyą rasowego *lion de Paris* (upiżmowany do niemożliwości), ale czasem dzika, kosmata, tytaniczna bestya brała w nim górę, aż dochodziło do rżenia w trzech tomikach „Jurnych fraszek". W dwóch niniejszych książkach „Fizyologia" ma jeszcze dłużyzny przegadywania się i całe partye „kręćka" refleksyjnego, odczuwa się tu jeszcze maniaka, który całe noce skrybując bez odetchnienia, walczy z sennością, mając chwile przepysznych jasnowidzeń duszy ludzkiej. W „Małych niedolach" niema już tego współpisania debiutanta z wirtuozem, ale wszystko układa się w równy, wartki tok narracyjny, w którym boski Asmodeusz Paryża „restauracyjnego" odkrywa powały „przeciętnej sypialni", przeciętnego stołowego, przeciętnego salonu i z miłym uśmiechem zupełnie genialnego Lucyfera wskazuje palcem: jako to sobie radzą tam w tych domkach samiczka i samczyk gatunku *homo patiens*.

Tłómacz mr. Boy zżył się bardzo z dyrektorem „Komedyi ludzkiej", różne jego kulenia z „Fizyologii" podpatrzył i przebaczył, i nawet starał się je zatrzeć. Kołowania długich frazesów koło jakiejś idei, którą dałoby się krócej sprecyzować, wydają się krótsze u boya polskiego, niż u rekordmana prozy francuskiej. Nawet gry słów często nieprzetłómaczalne przezwyciężył Boy, zostawiając słusznie francuskie słowo tam, gdzie już „nic się nie dało zrobić właściwie", np. *bouder* i *boudoir*. Dowcipy wszystkie lśnią się, jak nowiutkie, patyna czasów starta jest z taką delikatnością, że te wszystkie panie Foullepointe, Fischtaminel, Deschars i droga Karolina wydają się nam, jak nasze najdroższe spółczesniczki, panie Lili, Zuzia, Bela, Ewa, a każdy z was, spółczesnicy, może się, jak w lusterku, przejrzeć od stóp do głów w niecnym mężu, przedstawionym niegodnie, jako ofiara ze wszech miar niewiniątka Karolinki.

Słowem, gdyby za życia Balzaca były wyszły te dwa tomy, p. Tadeusz Żeleński byłby przez panią Hańską natychmiast zaproszony wonnym różowym, w 19 do 30 pałek koronnych zdobnym liścikiem, poczem w salonie musiałby usiąść tu przy kanapie pontyfikalnej, wszystkie damy nachylałyby nad nim swe dekolty aż do kompletnego zawrotu boyącej głowy, winszowanoby mu z egzaltacyą typową na krótko przed 1848 r., wreszcie wszedłby i sam Mistrz swym słoniowym krokiem, i na czole p. Tadeusza złożyłby pocałunek z głośnym mlaskiem, wywołującym znów grymas niezadowolenia na „pulchnej twarzyczce" „nizkiej, otyłej jejmości" (!), „kuzynki kilku królów" polskich (?), „uważającej się chętnie za rosyankę", „wieloletniej kochanki doktora Knotha" (sic! Knotha), pani z Hańskich Balzakowej. I wtedy, wtedy możeby zauważył ktoś, jak dziwnie podobną budowę czaszki czoła i brody ma autor i tłomacz, jak podobne są te dzikie, zarosłe, krzyczaste brwi, ten krój ust, ten grymas u obu... A potem wszedłby lokaj z tacą, na której herbata, makaroniki i modny wonczas „imbier w cukrze". I Tadeusz Żeleński z pulchnych paluszków pani Eweliny musiałby przyjąć najgrubszy imbieru kawałek.

Z popularnością Balzaca w Polsce między latami 1830 a 1850 żaden autor świata równać się nie może. Nie tylko wszystkie damy chciały być anielskiemi Eugeniami Grandet, czy cierpliwemi paniami Hulot, ale cały szereg pisarzów, jak Bogucki, Wieniawski, Protasz, L. Potocki, Kunicki, naśladowali mniej lub więcej udatnie w swoich Obrazkach, Zarysach, Szkicach obyczajowych właśnie styl „rozmyślań" „elektycznego filozofa", opisując całą skałę rozmaitych gatunków na wybranym typie, herbaryzując niejako wszelkie reprezentacyjne rośliny małżeńskiego ogrójca, i wykładając o nich w sposób pół naukowy, pół rekolekcyjny, przeplatając dygresye filozoficzne anegdotami, z życia śmiało pobranemi. Oczywiście, wszystko to tonęło w zawiesistym i pełnym mąki sosie moralizatorskim, w groźnie nieudolnem mentorowaniu „żółtodziobów", rogi przyprawiających statecznym obywatelom gubernii takiej a takiej... w srogiem karceniu „białogłów, nie pomnących na srom niewieści". Dość nudną monotonię tych kilkunastu

książek, à la Balzaca „Małe niedole“ pisanych, okupuje wzruszająco szlachetna tendencya pisarzy i przedewszystkiem swojska oryginalność jako takiej, ale zawsze własnej inwencyi autorskiej.

Nie da się tego powiedzieć o niejakim Karolu Gustawie Vollmoellerze, dziś nam rówieśnym znakomitym dramaturgu niemieckim, który kult dla Balzaca posunął do granic... przewidzianych kodeksem karnym, wywołując w niemieckim świecie literackim skandal niebywały, a nas polaków specyalnie bardzo obchodzący. W Niemczech obecnie tłomaczy sie Balzaca masowo, wydaje kompletami, ba, nawet gra się na wielu scenach jego „Macochę“, jego „Mercadeta“ i t. d. Jedna jednakże z pierwszorzędnych scen berlińskich wystawiła z wiosną bieżącego roku dramat jednego z pierwszych poetów zamkniętej grupy estetów i snycerzy słowa, autora znanej poprzednio wykwintnej feudalnej tragedyi: „Katarzyna z Armagnac“. Z Balzakiem nie miało to niby nic wspólnego. Rzecz nosiła wiele obiecujący, syntetyczny tytuł: „Hrabia niemiecki“, i w naczelnej postaci „grafa Totta“, wstawionego w środowisko francuskiej arystokracyi za czasów Ludwika XV-go, dawała pełny i absolutny obraz rycerskich cnót szlachty germańskiej, z wielkim naciskiem na dwóch przymiotach szczególnie, t. j. zdolności do poświęceń bezgranicznych dla przyjaciela i do cichej, bezsławnej, a nawet heroicznej wierności. W znanym stylu aleksandryjskich stylistów, dykcyą wysztucznienie piękną i wzorzystą toczy się akcya, zresztą bardzo ciekawa, będąca w rezultacie swym apologią jasnej, dobrej duszy feudalnego junkra. Graf Tott w przyjaźni swej dla francuskiego barona Fery posuwa się do swych granic, że obaj zakochują się w jednej kobiecie, on, niczem tego poznać nie dając, usuwa się, i nie tylko pozwala żenić się z nią francuskiemu przyjacielowi, ale kupuje i urządza im pałac, zostaje majordomem ich i intendantem, sam mieszka „nad stajniami w antresoli“, żyje na uboczu, dogląda służby, słowem, ściele swemu przyjacielowi gniazdko i pilnuje go przed grożącymi jastrzębiami-uwodzicielami. Kiedy piękna baronessa Fery, zaintygowana tą ofiarną przyjaźnią, zaczyna zwracać nań nieco uwagę, niemiecki hrabia

posuwa swą *„Deutsche Treue“* do tego, że udaje głupowatego, niezgrabnego półgłówka, znudzonego jej widokiem. Gdy zaciekawienie nieodrodnej córy Ewy jednakże wzrasta i przybiera cieplejszy koloryt, *niemiecki hrabia* decyduje się, by tylko uratować szczęście przyjaciela, wzbudzić w niej obrzydzenie do siebie raz na zawsze i finguje stały stosunek z pięknością profesyonalną, z tancerką Binetti... Cichy, w sobie zamknięty, bywa codzień u Binetti, składając zawsze *jednego louisdora* na kominku, tłomacząc tancerce, że podobną jest niezwykle do jego córki, i wzbudzając nadto u mamusi tancerki podejrzenie jakiejś niesłychanie zbrodniczej perwersyi tem melancholicznem bezczynnem wysiadywaniem... Wreszcie na ukoronowanie wszystkiego bierze na siebie karciane długi hr. Fery, jako rzekomo swoje rujnowanie się na gwiazdkę baletu... i w rezultacie osiąga — co zamierzał: hrabina żywi dlań odtąd pogardę, wstręt, obrzydzenie, podczas kiedy ona dlań jest całym światem marzeń, pożądań, nocy bezsennych, tęsknot, szałów. Wreszcie hrabia francuski przyjmuje od przyjaciela niemieckiego nawet legat, a ofiarność, wierność potulność niemca dochodzą do apogeum istnej świętości.

Oczywiście *„Der Deutsche Graf“* (wytwornego poety i fabrykanta automobilów równocześnie) przyjęty był w Berlinie z wielkim aplauzem, a jako książka — z głębokim, pełnym szacunkiem krytyków, ujętych szczególnie urokiem plastyki zawsze „najwierniejszego alianta“ grafa Totta.... junkra...

Tymczasem jednak okazuje się, niestety, że cały dramat jest nie już zuchwałym, ale wprost urągającym wszelkiej rzetelności pisarskiej plagiatem noweli Balzaca: *La fausse maitresse.* Znany krytyk berliński Feliks Poppenberg z druzgocącą logiką zdemaskował gentlemana-poetę, porównując i zestawiając szczegół po szczególe i na jaw wydobywając to przedewszystkiem, że bohaterem cichym noweli Balzaca jest polak z krwi i kości, polski *hrabia Pac*, nawet pod swojem nazwiskiem w noweli figurujący.

Plagiat jednego z „pierwszych skończonych wirtuozów słowa“, „odgrodzonych od wrzasku życia arystokratów ducha“, „marzącego symbolami wizyonera zamierzchłości“, nie jest by-

najmniej jakiemś tylko tematycznem oparciem się na Balzacu, nie jest przybraniem sobie pewnych dramatycznych momentów z sezamowego skarbca „Komedyi ludzkiej“, czego wielu autorów w XIX-ym wieku pokonywało z przesadną swobodą; nie jest też dopożyczeniem sobie pewnych figur czy sytuacyi, co dość gęsto praktykuje się na Zachodzie (nawet Goethe do swego Claviga wycofywał całe ustępy z pamiętników Beaumarchais'go), ale jest systematycznem, ścisłem, na sceny rozłożonem tłómaczeniem omal Balzaca scena po scenie, figura po figurze, sytuacya po sytuacyi. Przekręcenia polaka na niemca pozwolił sobie esteta-eskamoter niemiecki, idąc za przykładem swego kolegi Juliusa Joachima, który, wystawiając w magdeburskim teatrze miejskim ekskrementalia mózgowe p. t. „Moskau“, dla niedraźnienia trzody teatralnej czerwoną chustką polskości, oszustniczo z hrabiny Walewskiej zrobił rdzenną rosyankę, oddającą się Napoleonowi dla uratowania Moskwy przed pożarem. Trzeba jednakże przyznać wytwornemu styliście Vollmoellerowi, że i poza germanizacyą Paca pewnych zmian dokonał; nazwisko hrabiego Adama z noweli przemienił na barona Fery; baletnica jego *fausse maitresse,* Binetti, u Balzaca nazywa się Malagą i jest w cyrku... nie w teatrze; rzecz cała dzieje się — nie jak u Balzaca za Ludwika Filipa, ale feudalniej, za Ludwika XV-go; no i wreszcie, kiedy hrabia Pac zostawia Binetti na kominku zawsze *dwa louisdory,* niemieckiemu grafowi Tottowi każe „arystokrata ducha“ (ale i oszczędny prusak przytem) p. Vollmoeller zostawiać: *jednego louisdora.*

SZEKSPIR PO POLSKU

Szekspirowski rok jubileuszowy przyniósł nam rzecz bardzo doniosłej wagi, bo dwunastotomowe, może jeszcze nie definitywne, ale już krytyczne i ekletyczne wydanie jedynego dosłownie nieśmiertelnego dramaturga-taumaturga. Z dotychczasowych tłomaczeń grono znawców pod kierunkiem przezacnej pamięci St. Krzemińskiego wybrało najlepsze, to znaczy te, które łączą w sobie przymioty rzadko w przekładach, a jeszcze rzadziej u kobiet podobno spotykane, t. j. wierność i piękność. Każdy dramat poprzedzono wstępem, a całość zamknięto pracą o „Szekspirze w Polsce".

Z góry zaznaczamy tu, że jak konkludujący edycyę szkic dr. L. Bernackiego w sposób może zbyt pobieżny tylko i bynajmniej nie wyczerpujący temat tytułu przeprowadza, to w rekompensacie biografia krytyczna i wstępy poszczególne dr. R. Dyboskiego są prawdziwą chlubą, ozdobą i magnesem nowego wydania.

Bogate w treści, sumienne w metodzie, nowoczesne w formie i w duchu, dają one rzetelną wiedzę o Szekspirze a zarazem artystyczną satysfakcyę czytelnikowi; zadowalając zaś i rzeczoznawców przedmiotu u nas, zadowoliłyby chyba i najpedantyczniejszych egzegetów Szekspira zagranicą.

Radować się z tego wypadnie specyalnie, gdyż w szekspirologii europejskiej, liczącej dziś przeszło cztery tysiące tomów, t. j. tworzącej sporą bibliotekę, prace polskiego mózgu reprezentowane są w ilości kompromitująco nikłej. Rzecz tem dziwniejsza, skoro się zważy, że kult dla twórcy 37 organizmów dramatycznych rozbudził się w Polsce chronologicznie stosunkowo bardzo wcześnie, że, raz rozbudzony, miał tak możnych

i hojnych przedstawicieli, jak król Stanisław, księżna Izabella z Puław, kasztelan Wężyk, margrabia Wielopolski i inni; jeżeli się przypomni, że od czasu do czasu kult ten dzięki potężnym indywidualnościom aktorskim, rozkochanym w kreowaniu ucieleśnień Szekspirowskich, wzbierał potężną falą zainteresowania w inteligencyi, i jeżeli się doda w końcu, że świat Szekspira jak i świat angielskiego dramatu Elżbietańskiego wogóle, jest bądź co bądź ze wszystkich światów wizyjnych, światów wyłonionych z głów twórców najbardziej nam z ducha blizkim, najbardziej... polskim.

Jaskrawość i ostrość tego paradoksu zblednie i straci znacznie pozornie niespodziewanego odkrycia, jeżeli zwykły nawet czytelnik z oczytaniem historycznem (jakich u nas przecież jest tak... wielu) zechce łaskawie przewertować kolejno po sobie dwie książki, t. j. Taina „Literaturę angielską“ i Wł. Łozińskiego: „Życie polskie“. Wtedy to zaczną powoli nasuwać się bijące w oczy analogie i bliźniacze podobieństwa między paralelnie wziętem późnem średniowiecznem polskiem a angielskiem, między epoką odrodzenia u nas a w Albionie; wtedy to bajecznie kolorowa, gwałtownie wybujała, żywiołowo krwista, dziko zgiełkliwa, krewko popędliwa obyczajowość wesołej Anglii okaże się nam bardzo jakoś blizką, krewniaczą, ogromnie sympatyczną. Gdy w żadnej innej historyi narodu europejskiego i w żadnem wtórnem ich odzwierciedleniu, t. j. w dramacie, nie znajdziemy zupełnie lub znajdziemy bardzo mało analogii do naszego bytowania w XVI czy XVII wieku, tu, w tej Anglii rubasznej i zawadyackiej, pieniackiej i pijackiej, indywidualistycznej, z nadmiaru sił i zasobów rozlewającej się szeroko po brzegi dyscyplin i imperatywów etycznych, na każdym kroku natrafiamy na blizkie nam dusze i animusze, na podobne naszym problemy tragiczne i konflikty, cnoty i zbrodnie, na te same formy i dysformy życia, na tę samą dynamikę spotężniałego do ostateczności impulsu i impetu życiowego.

Czasem wydaje się nawet, że tylko jeden czynnik, co prawda najsilniej zawsze kształtujący i rytujący duszę narodu, zrobił z Albiończyków najpotężniejszy i najszczęśliwszy naród

świata, a brak tego czynnika ze Sarmatów najnieszczęśliwszy, najbezsilniejszy, t. j. morze. Przesłanki charakteru i zadatki rasy wydadzą się nam omal że te same, a w każdym razie niezwykle, frapująco podobne. Tak się jakoś upodobniają wielmoże Gloucestery czy Suffolki do Firlejów czy Kmitów, Mortimer z Masławem, Oleśnicki z Wolseyem, tyle w tej ekspansywnej, rozhukanej wewnątrz Anglii Zebrzydowskich a Orzechowskich; Sędziwoja całego odnajdziesz w Alchemiku Ben Johnsona, Henryki idą koleją naszych Bolesławów i Kazimierzów, walczą z sobą w Polsce pokoleniami Białe Róże z Czerwonemi Różami, roi się w każdem województwie od Chudogęb i Falstaffów, lady Makbeth niejedna *hic mulier fortis* chodzi po krużgankach kresowych zamków, w dziewicach polskich ta sama jest słodycz ofiarna Kordelii, Imogen, Wirginii, Mirand czy Rozalind, w Stańczyka Lirowego geniusz poety tchnął głębię uczuciowości jakiegoś *poor fool'a*, gorzkiego błazna Zygmuntowego; Leszek, Maćko Borkowic, Goworek, Włodkowa, Anna Chrzanowska, Kostka Napierski tak się dadzą widzieć plastycznie w dramatach Marlowa czy Massingera, że dziw doprawdy bierze, jakiem prawem kaduka los podniósł tak wysoko więcej Kalibaniczny niż Arielowy naród Anglosasów, a wdeptał w taką niedolę naród Sarmatów za to tylko, że się w całości upornie wdał w typ Hamleta, a nie w typ przeczutych twórczo Prus nowoczesnych usymbolizowanych — w... Jagonie. Jak w nadbudowie artystycznej epoki Elżbietańskiej, t. j. w całym kompleksie dramatycznej twórczości ówczesnej, tak we wszechświecie Szekspirowskim już najszczególniej widzi się co moment to jakby jakieś fatamorganatyczne odbicie obrazu spotęgowanej tylko niesłychanie obyczajowości angielskiej, ale i... naszej. I ten i tamten naród przechodzi fazę zdrowego dzieciństwa.

Wszystko jest w nich wybujałe, rozkipiane, nieokiełznane, bez szranków i granic. Miłość tych sękatych, żylastych natur półbestyalskich objawia się furyatycznie, nienawiść jest obłędem tylko żelazem uleczalnym, zazdrość zarazą trawiącą, żądza zemsty staje się piekłem.

Popędliwość ślepych chuci i zapalczywość głów wrzących nie znają hamulca i nad Wisłą i nad Tamizą. Cały naród ciągle pod bronią o byle co rwie się do korda i nikt nie śmie być pewnym swego życia, swego jutra, swego mienia, swego dziecka; w Kornwalii i na Podolu zamki bywają burzone i równane z ziemią, przysypywane solą, języki oszczerców wyrywane i psom rzucane na karm, oczy wrogów wypalane pochodniami, wojewodzianki czy countessy tańczą po trzy dni i trzy noce z rzędu, kasztelanowe gonią na kulbakach końskich, prowadząc na czele hufce rycerskich zbirów-bohaterów przeciw najbliższym. Król polski wobec dworu bije w gębę posła, ze złą nowiną podchodzącego, królowa angielska wali na odlew w pysk hrabiego Essexa, kiedy ten pożąda innej „rżąc nieprzystojnie".

Można być pewnym, że językiem Szekspirowskim, tą rozpustnie bogatą, niepowściągliwą, rozpasaną szermierką słów, to karczemnych i stajennych, to płomiennych i gromkich, to znów pokornych i łaszących, upojnie pieszczotliwych i aksamitnych, że tą dykcyą to warczącą, to szczebiocząca, to miodopłynną, to piołunową, raz melankolijnie seledynową, raz od namiętności purpurową, że językiem 24 tysiące słów liczącym, tak kapryśnie bogatym w moc ukochanych Szekspirowi neologizmów i latynizmów a będącym dziś istotnie największym skarbcem korony angielskiej, że mową taką mówili naprawdę Brytanie z czasokresu Maryi, Elżbiety i Jakóba, a analogicznie rozbujałą i wymyślną Polacy z czasów Stefana, Zygmunta i Władysława.

To się odczuwa intuicyą i to się odkrywa przy równoczesnej lekturze „Ogrodu fraszek" Wacława Potockiego i takiego np. „Koryolana", w którym oczarowany do gruntu świeżo poznaną rzymską historyą komedyant-samouk Wielelmo Shakespeare ubiera tylko grube, szorstkie, sobie spółczesne angielskie olbrzymie dziecka ludzkie w romańskie togi i sandały. Może się to wydać fantazyą zbyt dowolną czy za włosy ciągnionem zestawieniem, ale już ledwie lekko tą hipotezą zasugerowana lektura dramatów Szekspira otworzy pole i pozwoli odnajdywać w minionych opleśnionych wiekach XVI i XVII-tym istotne powinowactwa między tymi dwoma narodami tak rozkochanymi w ideale wszelkich wolności politycznych, narodami żyjącemi w Europie

najwcześniej w formach parlamentaryzmu, decentralizmu i federacyi, narodami tak pospólnie sensualistycznymi, a-muzykalnymi, a-filozoficznymi, a-formalistycznymi, między temi rasami tak wyjątkowo i bezprzykładnie uzdolnionemi do najwyższych, najpodniebniejszych, najeterycznej lirycznych wzlotów myśli romantycznej, jak i do właśnie przyziemnego, robaczego, bez opamiętania grzęźnięcia w rubasznych trywializmach żywota.

I dlatego, mojem zdaniem, jakiś nieistniejący w literaturze, ale imaginatywnie w pomyśleniu możliwy twórca potężnych dramatów z dziejów polskich musiałby (pomimo wszystko, co się da przeciwko temu zaargumentować) przedewszystkiem wyrobić sobie tych dziejów generalną koncepcyę czysto-szekspirowską i przejąć się, przepoić nawskroś duchem i barwą Szekspirowską.

Do tej koncepcyi dotychczas najgenialniej zbliżył się, jak wiadomo, Słowacki i on też prawdopodobnie byłby dał wizye dramatyczne z polskich dziejów ogólno-europejskiej wagi i sławy, nietylko wieczyście skazane na rozwierzgane kopyto zachwytów swojskiej krytyki, gdyby nie to straszliwe zwycięstwo w jego charakterze kobiecych, poddańczych, bluszczowych, miękkich elementów, a co za tem idzie, późniejsza nieszczęsna psychoza mesyanistyczno-mistyczna.

Po Słowackim następnie i ci wszyscy twórcy, którzy z uczciwością twórczej intencyi i z sumiennością przeżywających przeszłość myślicieli imali się pracy, mieli pewne przeczucia konieczności tej, tylko u nas Polaków całkiem uprawnionej Szekspirowskiej dziejów koncepcyi.

Przeczucie to daje się wyśledzić w Bełcikowskiego „Mieszku II", w Korzeniowskiego „A. Batorym", w Romanowskiego „Piaście„ w Wyspiańskiego „Bolesławie Śmiałym", nawet do pewnego stopnia w Faleńskiego „Królowej", W. Rapackiego „Wicie Stwoszu", K. Glińskiego „Kazimierzu", t. j. w utworach nieprzemijającej, nie repertuarowej a literackiej wartości.

W każdym z tych utworów daje się po skrupulatnem studyum wyśledzić choć cząsteczkę, echo, kryształek z kosmosu twórczego Szekspira, czasem już tylko z drugiej ręki branego, z W. Hugo dziko-romantycznych transpozycyi. Niema zaś nic

ni z elementu ni z elementarności Szekspirowskiej w tych dramatystach, którzy dzieje narodu liznąwszy jeno jak barany sól po wierzchu popularnych szkolnych podręczników, sporządzają z tego potem *sine ira et studio* redutowe jasełka z kolorkowymi manekinami, te wodewile bez muzyki, a raczej czteroaktowe preteksty do przewietrzania na scenie stylowych, starych rekwizytów. Ci liweranci dzisiejszości zaparli się po trzykroć praszczura Szekspira i wszelkiego z nim powinowactwa z wyboru. I zaparli się słusznie. Ale takie zaparcie się, całkiem usprawiedliwione i wybaczalne u rymodławców turniejowych, scenizujących zresztą podrzędne figury i pokątne wypadki z dziejów, zgoła jest nie do darowania u poetów urodzonych (*poeta nascitur*), uwierzytelnionych w państwie literatury posłów Piękna, którzy, śmiałą ręką budząc ze snu Wawelskiego królewskie truchła, wyciągają je na deski teatru (przy sposobności życie niepodległego narodu podległemu narodowi przypominające), nie ze zgrozą do szpiku kości wstrząsającą, nie jako upokorzające, policzkujące memento, nie w straszliwym majestacie bezpowrotnych już wspaniałości i splendorów, nie z patosem Lirów, nie z głębią psychiczną Ryszardów, nie z potęgą dynastycznej woli Henryków i nie z tą posępną, bolesną pokorą, z jaką np. Wyspiański imał się królewskiego tematu Bolesławowej Polski... ale z bezceremonialną obojętnością przeciętników literackich, wynajdujących sobie tylko efektowne tematy z królami degradowanymi i detronizowanymi do roli dobrych ról, egzaltujących mob teatralnych i jego rzeczników reporterów premier. Dla tych to autorów Szekspirowskie Chronical-Histories z angielskich dziejów powinny być niemym wyrzutem, czy głośnem przypomnieniem tego, z jakim to *dystansem do patosu*, z jakim rojalizmem bogobojnym, czy poddańczym szacunkiem największy geniusz szanującego się i najszanowańszego narodu odnosi się do zbrodniczych nawet po tragicznie grzesznych żywotach w śnie wiecznym w podziemiach Westminsteru spoczywających monarchów swej rasy. I z tego też więc powodu nowe wydanie wiecznie aktualnego, wiecznie na dobie będącego, ergo nadobnego *Shakesscena*, „wstrząsacza sceny" Szekspira jest, zdaje się, bardzo na czasie. Przypomina bowiem egzemplarycznie, że dramat histo-

ryczny jest gatunkiem twórczości dramatycznej nigdy nie obumarłym, co pokolenie nowe odradzającym się, niezrównanie żywotnym i odżywczym, o ile tylko nie tykają go obojętne ręce rękodzielników czy majstrów sprawnej techniki, tych *play-wrightów*, cieślów i stolarzy sztuki, podstawiających swe żabie nóżki tam, gdzie kują kopyta Centaurom, i dających w ten sposób sposobność konfrontacyi ich plebejskiej małoduszności z olbrzymiością i tragicznym *Etosem* dynastycznych czy narodowych problematów.

II.

„Tragiczne w ludnym igrzyska Londynie
Choć *nie są według praw Horacyusza*,
Jednak na cały świat ich chwała słynie,
W pięknych dam oczach rzewne łzy porusza.
Myśl w nich jest przednia, gładkość słów w nich płynie,
A wdzięk ich czuje i serce i dusza.
Nic to, że z *dawnych praw scena wykroczy*,
Dobra jest, kiedy łzy wyciska z oczy".

Tak dwieście lat temu bez mała utrafił w sedno tajemnicy literalnej nieśmiertelności Szekspira jeden z naszych dostojnych kolegów, a zarazem jeden z licznych członków wysoce cerebralnego klanu Rzewuskich, hetman Józef (pseudonim Wacława), autor tragedyi o Warneńczyku i dwóch komedyi o „Dziwaku" i o „Natręcie".

Istotnie bowiem, nie można sobie wyobrazić dzieł sztuki *bardziej wykraczających z jakichkolwiek praw* i kanonów przepisanych wszelkiej twórczości scenicznej, mniej troszczących się o wszelkie prawa Arystotelesa czy Horacyusza, więcej i silniej swem zaistnieniem ośmieszających powagę teorematów wszelkich Boileau'ów, jak każdy utwór Szekspira nawet z tych, co są *doubtfoul plays*, a które jeszcze dziś i za sto lat będą miały więcej krwi tętniącej i rumieńców życia w sobie od wszelkich architektonicznie nieprzygannych, solennie retorycznych, klasycznie skostniałych arcydzieł Corneille'a czy Rasyna, już dziś dla swej udrapowanej nudy całkiem nieczytelnych a zgoła nienieśmiertelnych. Najbledsza nawet z najpośledniejszych kronik historycznych Szekspira obala w proch emfatyczne

zdanie Lessinga, że „zasady dramatu są tak nieomylne, jak twierdzenia Euklidesa". Wątpliwie nawet „Tymon Ateńczyk" podaje w wątpliwość maksymę Goethego, że: „dramat polega na wykluczeniu momentów, opóźniających rozwiązanie dramatu".

W dramacie Szekspira bowiem panuje właśnie *zasadniczo* natłok „momentów opóźniających rozwiązanie". W akcyę nietylko wchodzą, ale rozpychają ją i przepełniają, wstręty, szczegóły, narosty, ingredyencye, sceny ornamentalne, pozornie najmniejszego związku z tokiem dramatycznym niemające; heroizm tuż przed rozstrzygającym aktem woli i siły zapuszcza się w rezonowanie; błazeństwo niesfornie spycha ze sceny monolog cierpienia, kumoszki wszczynają gawędę właśnie w momencie, w którym miała być rozstrzygająca rada wojenna królów. Całą tę pstrą życia ludzkiego plątaninę, cały ten gąszcz barwnej oczywistości, całą tę szeroką rozlewność zjawisk istotnych i wymarzonych bajkowych, daje Szekspir nieotamowaną, niewykarczowaną, nierozplątaną.

Każdym dodatkiem niespodziewanym, zbytecznym, nawet irytującym, udowadnia twórca Henryka VIII, że *le superflus chose très nécessaire*, że miernotę ślepo obowiązująca maksyma, o nieodzownem w dramacie „ograniczaniu się, a przez to pogłębieniu" traci wszelki walor imperatywu estetycznego w praktykach wielkiego talentu. Akcya tych często tylko rozdyalogowanych romanc czy nowel nietylko nie posuwa się z „zegarową punktualnością" naprzód, ale utyka raz po raz, rozkłada się wygodnie, nawet zasypia czy wpada w letarg.

O jakiemś poprawnem czy choćby „porządnem prowadzeniu przebiegu" nie może być mowy tam, gdzie Wilhelm Zdobywca Świata zwala na kruche deski sceny w swój „kurnik niegodny" jakby odłam globu, gdzie w straszliwem widowisku okazuje mrówczej hołocie ziemian, jak to najpotężniejszy niekiedy człowiek pod żarnowym kamieniem Losu bywał i będzie starty w proch, jako ziarnko zboża, lub jakto z takim trudem przez mocnego, bohatera zdobywana i zdobyta wreszcie potęga indywidualistyczna wobec ślepego Trafu Wszechmogącego jest parasolem zaciskanym w rękach kurczowo podczas trzęsienia ziemi.

Szekspir nietylko nie stosuje się do żadnych „prawideł", nietylko ignoruje obowiązujący już wówczas Ben Johnsona czy akademistów styl tragedyi, Seneki, nietylko nie troszczy się o jakieś staranne ustosunkowanie, uplanowanie poszczególnych części akcyi czy o jakiś perspektywiczny układ faktów i ludzi; on nawet istnienia tego wszystkiego nie dopuszcza do swej świadomości. Niema tu żadnego „rozmysłu w organizowaniu dramatu", ani „żelaznego rusztowania konstrukcyi", niema nic, ściśle nic z harmonii *greckiej*, z symetryi *francuskich* Cynn i Cydów, Rodogund, Polyeuctów, Nicomedów, Meroów, Medei...

Tu już widocznie to Szekspirowskie przenikające wskroś jasnowidzenie duszy ludzkiej z jej wszystkimi szczytami, przepaściami, labiryntami i ten obraz wszystkich po wieczne czasy możliwości uczuciowych serca ludzkiego, jaki zostawił „Wstrząsacz sceną" w *universum* swej twórczości, nie dał się widocznie przelać, jak wino z miechów w butelki jednakowego formatu, w jakieś powtarzające się ustalone już, czy też w spadku przejęte gotowe odlane normy czy formy dramatyczne. Całkowitość rzeczywistości ludzkiej plus całkowitość wyrojonych baśniowych marzeń, przeniesione wprost w pełni i w potędze na sceniczne rusztowanie fikcyi między trzy ściany dekoracyi, nie mogły oczywiście poddać się obrzezywaniu, komponowaniu, obcinaniu na rzecz nawet górnego ideału estetycznego, jakowychś greckich jeszcze np. „potrójnych jedności". Olbrzymia polifonia życia, jedyna jedność życia z jej fortissimami czynów i pianissimami uczuć, ze wszystkimi dysonansami zbrodzieństw i upodleń i largami cnót i poświęceń, przeniesioną została z imaginacyi w rzeczywistość sztuki z temi samemi niekonsekwencyami i przypadkowościami, z tym samym brakiem logiki w tym samym nadmiarze i w bezładzie, jaki widzieć się zawsze daje i podziwiać w tej polifonii życia stanie jeszcze statycznym, surowym t. j. w samem życiu.

„Słodką nieregularnością" Izabella Czartoryska definiuje tajemnicę uroku Szekspirowskiego, choć jej współcześnicy wyznawcy Boala, protoplaści tych dzisiejszych legitymistów czystego dramatu (tak przeważnie wygodnie bezpłodnych i tak bezradnie stojących ze swemi teoryami wobec wciąż aktualnego fenomenu

Szekspira) oburzali się już wtedy na te utwory nieproporcyonalne, bezładne, zawsze w swej posępności nieprzejrzyste, na te „z grubą nieumiejętnością ciosane mamidła, nie dzieła gustu“, usprawiedliwione chyba tem tylko, że są one jako obrazy wystawiające „obszerne a wolne samejże natury postępowanie“. Ale już wysoce światła księżna z Puław, ta typowa w wieku XVIII-tym dyletantka, miała intuicyjną świadomość (często niebywałą u fachowych mędrców literackich), że tak przebogata, przewalająca się obfitość rozpętanego życia Elżbietańskiej epoki, jak wogóle cały ten nieskoordynowany, niezjednolicony, dziewiczobujny chaos bytu w nowoczesność odradzającego się średniowiecza wraz z psychiką ludzi rasy Szekspirowskiej, t. j. antypodów klasycystycznego dramatu Francyi, tak nie dałby się wtłoczyć w poprawnie zbudowane kamery francuskiej formy, jak nie dałby się w rokokowym buduarze zamknąć Otello ze swą furyą lub sir John Falstaff pomyśleć na tle strzyżonych pod oko szpalerów ogrodu Lenotra.

To samo znacznie już później odczuwał i kasztelan Wężyk, który choć otoczony fanatycznemi wielbicielami klasycznie pięknosłownych i pustodusznych ale klasycznie zbudowanych tragedyi francuskich, nie wahał się Towarzystwu Przyjaciół nauk przedłożyć referat-panegiryk, mocno obniżający oschłe piękno utworów symetrycznie ukształtowanych, formalistycznie nieskazitelnych, dla deklamacyi patetycznej stworzonych, a im przeciwstawić zniewalającą krasę i olśniewający czar dramatów Szekspirowskich, w których forma nie objęła hegemonii nad treścią, czerpiących soki ze wszystkich bez wyjątku i bez wyboru objawów życia i po raz pierwszy dających światu obnażoną z obsłonek konwencyi nagą czystą duszę ludzką. I ci to pierwsi u nas apostołowie Szekspira, wiedzeni nieomylnym instynktem zakochanych w swem odkryciu znawców, wiedzieli też i czuli, że ta „słodka nieregularność“ Szekspirowskiego „mamidła“, która jednak według słów hetmana Rzewuskiego „w pięknych dam oczach rzewne łzy porusza“, winna też być integralną przywarą czy organiczną urodą podobnych i w polskim języku koncypowanych trylogii czy kronik, które z ojczystych dziejów będą czerpać opleśnione temata chronologicznie i psychologicznie bliżkie Szekspirowskim Henrykom i Ryszardom, Duncanom, Janom i Makbetom. I odczuwali to słusznie. Przyznać bowiem trzeba, że i dziś i u nas jeszcze mimo te pokłady literacko-technicznej kultury dramato-pisarskiej, mimo sukcesy produkcyi szybko przeminionych Scribe'a i Sardou, „doskonała nieprawidłowość“ i „słodka nieregularność“ struktury dramatycznej Szekspirowskiej nadal jest i winna już zostać niepozbędnie związaną z tematami z odleglejszych dziejów czerpanymi. Jak bowiem psychologicznie biorąc najbardziej z ludów europejskich podobniśmy byli w czasach Batorowych i Zygmuntowych do *merry old England* medyawelu, jak podobne typy reprezentacyjne wydawały i oficyalne życie i obyczajowość przeciętna staropolska i Elżbietańska, tak i teraz najszczytniejsza bo najsympatyczniejsza artystyczna reinkarnacya tego życia t. j. dramat historyczny pod względem formalnym winien być zbliżonym do obdarzonych powodzeniem wyjątkowej nieśmiertelności, takichże restytucyi dramatycznych angielskich. Tembardziej, gdy się przypomni, że ta dowolność architektoniki, ten niedający się zatrzeć czy zaprzeczyć brak dyscypliny i konstrukcyi, czy nawet wzgarda rygoru i ładu formalistycznego będzie rasowym odpowiednikiem do takichże typowych cech charakterystycznych naszej zbiorowości etnicznej, naszej polskiej we wszystkiem gospodarki. A jeszcze tem bardziej, gdy się przypomni tu, że w Szekspirze wobec całego ogromu rekompensat na innych polach i płaszczyznach twórczości, dla wielbicieli twórcy Hamleta kwestya doskonałości formy dramatycznej poprostu nie istnieje. Dla miliarda bowiem wyznawców Szekspira z wszystkich wieków i narodów, łatwo umiejących doszukać się w najbardziej romantycznych jego komedyach istności bezwzględnej logiki wewnętrznej, znajdujących w najrozwleklejszej nawet histoire en action, w najdowolniejszym nawet korowodzie horrorów i komizmów mocną, jedną i jedyną zawsze ideę ogniskującą, dla tych zbożnie podziwiających niesłychaną koncentracyę twórczą i jedność celowości w każdym organiźmie dramatycznym i jego instynkt dramatyczny i jego moralny walor... cały rezultat artystyczny Szekspira jest symbolicznym, tryumfalnym wyrazem właśnie ładu w chaosie, piękna w nieregularności, ustroju w żywiołowości. Aczkol-

wiek w państwie twórczości Szekspira każdy dramat poszczególnie wzięty ze stanowiska kompozycyi sądząc, jak niegdyś nasza Rzeczpospolita, krzepko „nierządem stoi“, to jednak całe mocarstwo, cały Cosmopolis Muzy Szekspira ma jednak wieczysty byt zapewniony, bo ma w sobie moc zaklętą nieugaszonej żywotności, zwycięsko przetrzymującej krótkotrwały żywot wszystkich dzieł pisanych formalnie właśnie w posłuszeństwie „niewzruszonym“ zasadom i regułom tabulatury klasycystycznej. Ta cała nadbudowa dramatyczna epoki Elżbietańskiej jest bowiem pełną bez reszty sumą wszystkich skłębionych z sobą nierozłącznie pierwiastków, tworzących kalejdoskop Szekspirowskiego świata, więc: podniosłości i cudactwa, piękna i ordynarności, harmonii i gwałtu, fałszu i szczerości, nikczemności i delikatności, wszeteczeństwa i idylli, hipochondryi i dyonyzejskości, gruboskórności i wytworności, rubaszności i cierpienia, zdrowia i kalectwa, chamstwa i słodyczy, rozpasanego humoru i rozpasanej rozpaczy, zaborczości i abnegacyi. A wszystko to w zwielokrotnieniu i w spotęgowaniu, w wybuchowości i w mocy ostatecznej daje realistycznie wierny wizerunek Szekspirowskiej społeczności, stanowi najpotężniejszą dotychczas manifestacyę literacką najdoskonalszej po dziś dzień rasy ludzkiej, i jest wreszcie najdokładniejszem pan-uniwersalnem zwierciadłem całej psychy człowieczej już bez względu na naród, rasę, epokę, czasy, klimaty...

Można zwać dziełami nieśmiertelnemi Miltona: „Raj utracony“ i Danta: „Boską Komedyę“, tragedye Sofoklesa, Calderona, Rasyna i komedye Lope de Vegi czy Goldoniego. To pewna, że w tych wypadkach słowo „nieśmiertelność“ będzie zawsze liczmanem i frazesem, rzucanym na kredyt Encyklopedyi; mało bowiem okaże się chyba śmiertelnych, którzyby któreś z tych dzieł nieśmiertelnych do końca doczytać się ważyli. Szekspir jedyny pozostaje nadal jednym z autorów największe tantyemy... nieodbierającym, konkurentem bez konkurencyi, rywalem zawsze zwycięskim.

Jeszcze dziś tak nie ufamy, aby ten Wszechświat Wyobraźni mógł jeden człowiek zrodzić, że przypisujemy twórczość Szekspira (zwanego już przez kolegów *factotum*) to Baconowi, to hr. Rutlandowi, to całemu konsorcyum genialnych dramatystów. Wydań jego jest tyle omal, ile wydań Biblii. Każde pokolenie w każdym narodzie zachodnio-europejskim uważa za swój kulturalny obowiązek mieć swoje „generacyjne“ wydanie Szekspira.

My wydania obecnego z wstępami prof. Dybowskiego nietylko wstydzić się nie potrzebujemy (jak niektórych wydań własnych naszych sławnych klasyków), ale możemy z niego być dumni. Gdybyśmy jeszcze założyli u siebie w tym roku jubileuszowym Towarzystwo Szekspirowskie na wzór niemieckiego (pięćdziesięcioletniego) i angielskiego, kulturalny obowiązek spłacenia długu wdzięczności względem najpotężniejszego geniusza literackiego świata byłby spełnionym.

TEATR IRLANDZKI

Od czasu, kiedy pisałem o „Odrodzeniu Erynu“ i o irlandzkich autorach, W. B. Yeatsie i G. Moorre, upłynęło zaledwie kilka lat; w najśmielszych nawet marzeniach nie można było wtedy przypuszczać, że to zmartwychwstanie celtyckiej kultury w tak krótkim czasie dojdzie do tych rezultatów, o jakich dochodzą nas wieści obecnie. Całkiem równolegle z politycznem dźwiganiem się Erynu, o którem czytać można codzienne niemal biuletyny w europejskiej prasie, posuwa się naprzód potężne dzieło duchowego rozrostu tego sobowtórnego nam narodu, tych „Polands of Western World“. Już nie w czternastu a w tysiąc czterystu kołach ludowych uczy się najmłodsze pokolenie starego gaelickiego języka, już wychodzą obok Nation Gavan Duffy'ego systematycznie pisma o dziwnie brzmiących tytułach: *„An Claidheamh Soluis“* i *„An Lochraun“*, stary bojowy *„Samhain“* drukuje się teraz peryodycznie, nie w luźnych zeszytach. Sztuka ludowa stosowana pod macierzystym patronatem angielskiej „gubernatorowej“, lady Aberdeen, i dzięki gorącej, egzaltowanej agitacyi dam z arystokracyi, rozwija się potężnie i zaczyna być faworytą całego Albionu. Najpotężniejszy jednakże dowód żywotności i mocy powstającego z uśpienia niewolniczego narodu daje ten dział sztuki, który wszędzie jest odźwierciedleniem psychiki rasowej i wszędzie siłomierzem intelektualnych, moralnych i organizacyjnych sił narodu, to jest dramat. I w tym kierunku zrobili irlandczycy w ostatnich dziesięciu latach tyle, ile zaniechali i zaniedbali w ostatnich dwustu. Jak się to musi cieszyć stary, zacny profesor Kuno Meyer (od roku już do berlińskiego uniwersytetu przydzielony), kiedy widzi, jak z tych kilku małych broszurek, które ongi wypisał w Liverpoolu, naszperawszy się pedantycznie, po szwabsku, w starych foliantach klasztornych,

że z tych małych zalążków ziarenek wygrzebanego języka prastarego wyrasta teraz olbrzymi las: „silva gaelica“. Topnieje powoli olbrzymia liczba tych biednych chłopów, co rokrocznie szukali nowej ojczyzny za oceanem, a rośnie w oczach cyfra członków ligi Gaelickiej, ciągle jeszcze pod prezydencyą mr. Douglasa Hyde, rośnie cyfra tych, co zaczynają już mówić nawet potocznie językiem rybaków z Limerick, i nędzarzy z zachodnich brzegów, i starych uczonych filologów z Oxfordu i Cambridge. Doczekał się stary Kuno Meyer, że nawet *„Times“* w marcu entuzyastycznie wychwala jego „Selection from Ancient — Irisch — Poetry“, doczekała się i zacna miss Horniman, że o zakupionym przez nią Abbey-teatrze pisała gorąco prasa Londynu i Nowego Yorku. Widzi teraz naocznie, że pieniędzy nie „wyrzuciła za okno“. Cieszy się i stary pater Dineen a z nim pierwsza rota bojowników i rycerzy, zaprzysięgłych wiarę mitycznemu Finnowi, „Herkulesowi Erynu“, bohaterowi prastarych klechd i legend, że dokoła taki ruch, takie życie, taka siła idzie od ziemi, tak się zmienia, przekształca, hartuje i oczyszcza dusza ongiś rozpróżniaczonego, zdesperowanego, pijackiego, wrzaskliwego, kłamliwego ludu, zdeprawowanego do cna pod batem i perfidną, wampiryczną polityką Johna Bulla.

Trzydziestu dzisiaj okrągło mężów i kobiet o męskiej dzielności i śmiałości pisze dla sceny irlandzkiej. Lat temu 15 było ich zaledwie *trzech:* W. B. Yeats, E. Martyn i Lady Gregory. Dziś wśród tych autorów czyta się już i takie rdzenne, jakoweś, jakby z Ossyana pobrane nazwiska, jak Seumas O'Cnisin, Padraic Colum, Mac Manus, Mac-Danogh... Wytworny paryzyanista, przyjaciel Mallarmego, G. Moorre, zaprzągł się też do pracy intelektualnej „od podstaw“ i należy do najżarliwszych. Nawet ten najkosmopolityczniejszy z irlandczyków, humanitarny fabianista i „tylko europejczyk“, Shaw, poczuł w sobie napływ krwi irlandzkiej, rodzicielskiej i wypisawszy najmądrzejszą książkę, najpedagogiczniejszy dramat o „Drugiej wyspie J. Bulla“, obecnie gdzie może i jak może proteguje i popiera rasowy „revival“ Celtyzmu... Tak, tak... dzieją się dziś na Zachodzie rzeczy, o których się naszym socyalistom jeszcze nie śniło... Wszyscy ci bowiem autorzy irlandzcy mają w najwyższym stopniu sumienie

socyalne, czują się z ludu i dla ludu, co jednak nietylko nie przeszkadza, ale potęguje w nich czucie już nietylko patryotyczne, ale w całem tego słowa znaczeniu: nacyonalistyczne. Tu też należy szukać przyczyny, dlaczego wśród nich jest tylu satyryków, tylu sarkastów, tylu ironistów, dlaczego *castigando* i *ridendo* starają się wpłynąć na przemianę psychiki narodowej i z wyspy „marzycieli i świętych“ a równocześnie z wyspy „tchórzów i krytyków“, „zdrajców i intrygantów“, „niedołęgów i ślamazarów“, „poetów i bajczarzy“ uczynić wyspę mocnych, twórczych, zaborczych, żywotnych Keltów, „garnących pod się ziemię“.

Jeżeli przypomnimy sobie pierwsze czasy nowej sztuki dramatycznej w Irlandyi, ujrzymy dokumentarycznie, jak zmieniła się atmosfera duchowa i zasadniczy pogląd na misyę dramatysty w narodzie niewolnym. Kiedy w roku 1899-tym założono Towarzystwo Literackiego Teatru, wszystko stanęło pod znakiem i wezwaniem Yeatsa, to znaczy, w barwach mistyki. Chodziło wtedy o rzecz świętą, o ratowanie duszy narodu. Ponieważ synonimem znienawidzonego anglosaksonizmu był gruboskóry, kramarski, merkantylny materyalizm, więc cała grupa apostołów odrodzenia podniosła jako sztandar bojowy walkę w obronie wszelkiego idealizmu z Materyą, z Mammonem, z Anglią. Rzucono się więc w otwarte ramiona drugiej ostateczności, w kult prostoty i zabobonu, w miłość nędzy i przesądu: stara pieśń gminna wiodła tę grupę w wyśniony świat cudów i baśni, cieni i duchów, tego, co nierealne, i tego, co tajemnicze. A, że Irlandya jest Golcondą klechd gminnych i ziemią obiecaną mistycyzmu, więc cała ta gromadka nowych druidów, obcych życiu i światu ludzi, zatonęła doszczętnie w snach i w rojeniach... „Księżniczka Kasia“, fascynująca, cudownie melancholijna kreacya Yeatsa, wiodła ich wszystkich w uroczyska i mateczniki legend wyśnionego świata, z których już niema powrotu w realne, istotne, twarde, beznadziejne życie irlandzkiej teraźniejszości. W heroicznej abdykacyi z doczesności streszczała się ich ideologia, ratowanie *tylko duszy* zamierającego plemienia stało się ich celem, troską i hasłem. Ale już dochodziła do głosu i falanga nadchodząca, młodsza, inna. Zabrnięcie poprzedników w abnegacyę i apatyę, w egzaltowany kult piękna,

w cierpienie dla cierpienia, w kismet estetów oprzytomniło wreszcie nowych młodych. I oto działacz luzuje efeba, kapłani schodzą z kamiennych wież, „sterczących dumnie“ w szare, znojne, twarde życie chłopskie i robotnicze, stare liry złote wieszają na gałęziach równie prastarych dębów. Poeci patrzą rzeczywistości prosto w twarz i nietylko nie cofają się, zakrywszy oczy dłońmi, ale decydują się interweniować, przekształcać, reformować, nietylko kwilić, ale krzyczeć, nie lamentować, nie przechwalać tego, co było, ale zastanawiać się nad tem, co będzie, starać się *myśleć o przebudowie*, aby lepiej było. Scena irlandzka staje się areną, katedrą, kazalnicą, minaretem muezzina, konfesyonałem nacyi, parlamentem duchowym narodu, który jeszcze nie ma parlamentu politycznego. I oto powstaje cały szereg dzieł dla nas polaków, bardzo, bardzo ciekawych. Te wszystkie utwory bowiem można tłómaczyć na polskie, zmieniać tylko nazwiska i przenosić je do nas i będą, jak żywcem wzięte z psychiki polskiej. Weźmy takie J. C. Murraya: „Maurice Marte“, Lennoxa Robinsona: „Patriots“ lub „Drogi krzyżowe“, J. Campbella: „Sąd“, J. Birminghama: „Przedsiębiorstwo Eleonory“, J. Moora: „Niezorane pole“, J. Irvine: „Mieszane małżeństwa“, Murraya: „Ojcowizna“, R. Mayne: „Truteń“, W. Boyle: „Dziedziczny błąd“, a przekonamy się kolejno, do jakiego stopnia irlandczycy są polakami „of the Westernworld“. Dlatego też zapoznanie publiczności polskiej z dziełami najtęższego z nich, J. M. Synga, to rzecz ważna, kulturalna i owocna. Między jego wytwornemi *symbolicznemi satyrami*, obok „Wesela szlifierza“ i „W cieniu kotliny“ jest bowiem to przedziwne arcydzieło poetyckiego sarkazmu, ten kilkakrotnie ongiś wygwizdany paszkwil na psychikę celtycką: „The Playboy (błazenek, rycerz-pyskacz) of the Western World“. Dziś ten niby chłopski dramat stanowi, obok Yeatsa: „Countess Cathleen“, drugą perłę w koronie sztuki dramatycznej irlandzkiej.

Dramat ten jest wstrząsającą satyrą wskroś genialnego i potężnego poety irlandzkiego, która w życiu duchowem wyspy szmaragdowej wywołała ongi tak epokowe i druzgocące wrażenie, jak pamiętny wieczór „Wesela“ Wyspiańskiego w Kra-

kowie. Obaj ostatni bardzi konającej romantyczności swych
narodów spoczywają już w grobach; oba dzieła przeżyły swych
twórców i żyć będą nadal nietylko jako produkty natchnionych
jasnowidzących imaginacji i dojrzałe owoce literatury, ale jako
fakty zasadnicze, węgielnie przełomowe w życiu ogółowem oby-
dwóch narodów, niewolniczych narodów. Twórca „Playboy'a“
stoi również na pograniczu dwóch ideowych światów, jak słup
na horyzoncie, chłonący w siebie i blaski seledynowe ostatnich
promieni księżycowego idealizmu i silne promienie wschodzącego
pozytywizmu. Cztery lata temu zmarły p o e t a n a t u s baśnik
i marzyciel w przedziwnych dramatach swoich stąpa mocną,
pewną nogą po ziemi faktów i czynów, problemów i zagadnień,
trosk i nędz, głodów i grzechów swego narodu. Ale, że jest
poetą urodzonym, rasowym, predestynowanym, więc swe obrazy
omal naturalistyczne z życia chłopskiego, rybackiego, proletar-
jackiego, więziennego ubiera w takie uroki balladystyczne, w takie
powaby uczuciowe, w takie lśnienia zaświatowe — w takie
tęczowe kolory językowe, swoje tematy ujmuje tak miękko
a tak mocno, postaci kreśli tak bolesne a tak skomplikowane
w swej prostocie, że te satyry z niepoczciwego, brutalnego ży-
wota chłopskiego wydają się być to jakiemiś legendami z życia
pierwotnych ludów aryjskich, to jak w tym „Playboy'u“ urastają
do rozmiarów wypowiedzenia wojny całemu swemu narodowi,
całej jego romantycznej, a raczej false- czy pseudo-romantycznej
ideologji. Tak Syndża: „Rybacy morscy“, jak „Krynica Świętych“,
„W cieniu kotliny“, „Brama więzienia“ są to rzekomo tylko
wizerunki wieśniaczego bytu z Donegal, z Mayo, z Limerick,
z Adare, to krwiste, mstliwe, groźne, posępne, tragiczne, to
znowu rubaszne, zatrącające humorystyką fragmenty bytu bez-
nadziejnie klerykalistyczną febrą roztrzęsionego ludu. Rzekomo
takie same tragiczne chłopskie konflikty dają i Murray i Bir-
mingham i Padric-Colum; emigracja ludu, nędza, głupota, anal-
fabetyzm, zabobon, fanatyczne próżniactwo, farnjentyzm despe-
racyjny, zawadjactwo, pieniactwo, brud, apatja i wreszcie pijań-
stwo wieczne niczem niewytępione, niezniszczalne, nieśmiertelne
pijaństwo, oto różaniec psychicznych defektów i niewytępionych
cech charakterystycznych, rzymski różaniec, jaki to do rozpaczy,

to do wściekłości doprowadza garść patryotycznych autorów irlandzkich walczących jak św. Jerzy ze smokiem degryngolady tego tak hojnie w uroki psychiczne uposażonego, a tak moralnie upadłego, cywilizacyjnie jałowego ludu irlandzkiego. J. Millington-Synge w swych utworach dramatycznych nie rozstaje się prawie z niewolą i niedolą irlandzkiego chamity; jakieś rozkochanie bezpamiętne, matczyne, tkliwe i czułe każe mu bezustannie odkrywać ale i gładzić i pieścić rany ropiące się tych wiecznie kłótliwych, wrzaskliwych, tańczących do upadłego, kujących się z lada głupstwa po mordach rycersko-bitnych, pełnych emfazy i blagi Patricków i Seumasów, Jimnich i Douglasów.

Synge przeszedł po dantejsku wszystkie księgi piekielnej Gehenny źle się prowadzącego, źle chowanego, źle gospodarującego, marzeniami się upajającego, w pięknosłowiu, w patosie retorycznym, w bufonadzie heroicznej samobójczo rozkochanego narodu. I stąd jego demoniczna furja i stąd gorycz piołunowa, z jaką ośmiela się zuchwale cały swój naród upersonifikować, zneutralizować, streścić i prześwietlić analitycznie w jednej postaci herosa-łgarza komedyanta-rycerza, romantyka-blagiera o takiem nazwisku, jakie nosił słynny heros — Bramarbas francuskiej armii, ten, który ją przegrał do prusaków gente Kelt: Mac-Mahon...

Autorzy irlandzcy mają ten rys specyficzny, a może i naśladowania godny, że biorąc w rękę pióro, myślą już tylko o tej jednej, o tej jednej kochance swojej, o tej jednej męczennicy schorowanej, skatowanej, a wciąż tak pięknej i wytwornej — o swej Ojczyźnie.

Pisze pani Gregory dramat o Mojżeszu a trzeba czytać, że to Parnell; pisze G. Moore „The Apostle“ dramat o św. Pawle, a wszyscy wiedzą, że jest to problem skroś narodowy, rzetelnie nawet aktualny. To samo w potędze maksymalnej ma i zmarły lat temu pięć sarkasta Synge. — Jego chłop na scenie nie umie sobie naprzykład poradzić z siecią rybacką, kompasem, busolą, z mechanicznym siewnikiem — to znaczy Irlandja bezradna, tępa, chłopska, gamajdowata, nieoswojona i nienawidząca tego wszystkiego, co daje mocna, twórcza, depcząca cywilizacja anglosaksońska; u Synga śliczna czarnowłosa wdowa Susan zawodzi

dziwną, czarowną, starodawną, upojną pieśń Oisiniczną. Wszyscy mężczyźni na scenie zapadają w drętw, w porażenie psychiczne, w inercję. To znowu cała Irlandja rozpoetyzowana, rozśpiewana, rozlegendaryzowana, rozballadowana, Irlandja, dominium klechd i klechów, guseł i czarodziejstw, liryków i lirników, włóczykijów tromtadratów, bałagułów, szaławiłów, krzykaczy, egzaltadosów, oratorów i głodomorów. Niema tak egzotycznego zda się tematu czy środowiska antycznego irlandzkiem piórem w literackość przenoszonego, z poza któregoby nie przeglądała się ta blada, suchotnicza, umęczona twarz tej lekkomyślnej, a tak jeszcze pięknej Marji Magdaleny narodów, zgwałconej chucią a potem skopanej butem bestjalicznie maskulinarnego i muskularnego Johna Bulla...

Satyryk małego katolickiego narodu, któremu szpik i krew wysysa od lat 600 olbrzym anglo-saski, rzuca swemu narodowi w twarz rękawicę i zapytuje się go wprost, śmiało, bezwzględnie, czy wyście moi rodacy zrobili naprawdę wszystko? wszystko, żeby zasłużyć sobie na nią, na Pegeen Flaherty, na moc doczesną, na wolność, na szczęście? Powiedzcie, czy wasz heroizm nie jest rozdymanem tylko konwencjonalnem kłamstwem? Powiedzcie, dlaczego nie zabiliście tego, którego trzeba było zabić i z domu wymieść? A jeżeli nie zabiliście, to jak macie czoło gnić, kłamać heroizm i gnić, hałasować, skomlić, skarżyć się, pisać poematy o sobie i gnić?

Ale istnieje w literaturze dramatycznej irlandzkiej satyra jeszcze silniejsza i bezwzględniejsza, z którą zapoznać się warto. Jest nią zaś Gerge'a Birminghama: „Generał John Regan“. Już premiera tej sztuki miała przebieg wysoce dramatyczny. W niewielkiej, starodawnej, ale bardzo pretensyonalnej mieścinie irlandzkiej, w Westport, zaszedł mianowicie wypadek, chyba jedyny w dziejach teatru wogóle. Dawano tam w jednym z hotelów, w zaimprowizowanej sali teatralnej, sztukę wesołą, graną przez przejeżdżającą trupę, która atoli nie wzbudziła wesołości u publiczności, ale wręcz przeciwnie, doprowadziła do tego, że po pierwszym zaraz akcie wygwizdano autora, po drugim zarzucono scenę zgniłemi owocami i stołkami, a po trzecim publiczność weszła już na scenę, potłukła i poturbowała

aktorów, rozwaliła dekoracye, a wreszcie, podrażniona swym tryumfem nad autorem i aktorami, pomimo oporu całej miejscowej policyi... zdemolowała i zburzyła hotel... dosłownie zdemolowała i zrównała z ziemią hotel, w którym odważono się coś podobnego zagrać...

Sztuka, która wzbudziła tak silny rezonans u publiczności, nosi tytuł: „Generał John Regan"; pierwszy raz w Dublinie została zaimprowizowaną przez polaka, dyrektora Repertory-Teatru, K. Dunin-Markiewicza. Autorem jej jest ksiądz proboszcz Hannay, znany pod pseudonimem George A. Birmingham. Zastanawiającem w niej jest przypadkowe podobieństwo w głównych zarysach treści do sztuki, która rok temu w Warszawie wywołała w Teatrze Polskim również natychmiastową reakcyę pewnej części publiczności, co prawda nie tak żywiołową, nie tak szczerą i nie tak odważną; mianowicie do „Nowych Aten". Przebogaty amerykanin, yankee w każdym calu, przybywa do apatycznego, zadrzemanego w swem dolce-far-niente, niemożliwego w swej biedzie i dziadostwie, ale pełnego szumnych tradycyi miasteczka Ballymoy i tu dla eksperymentu psychologicznego, dla igraszki poprostu, wmawia w rozpróżniaczone a gadatliwe, politykujące i zakłamujące się wzajem obywatelstwo, że dziecko tego miasta, zmarły w Boliwii John Regan, doszedł tam do wielkich godności, był generałem, zwycięzcą, znakomitością, ergo należy mu wystawić pomniczek. Oczywiście, na ten lep mr. Horacego Billinga wpadają wszystkie notable miasteczka i „kawał, pozwalający na wyeksponowanie przed widzem całej jeszcze-romantycznej, celtyckiej psychiki spółczesnego, wiecznie prowincyonalnego irlandczyka, znakomicie się udaje. Odsłonięcie pomnika „dziecka Balymoy", bohatera boliwijskiego, jest też kulminacyjną tej komedyi sceną, którą Londyn oklaskiwał przez cały rok 1913, a po której miasteczko Westporst zburzyło doszczętnie nawet gmach... w którym „coś podobnego" grano. Analogie w akcyi, w figurach, nawet w scenach całkiem przypadkowe i mimowolne między polskiem a irlandzkiem dziełem dowodzą jasno znowu, jakiej broni i jakiej to taktyki chwytają się satyrycy, aby zwalczać z sukcesem te same wady, niedomagania, dysformacye, ma-

niactwa, defekty, te same charakterystyczne rysy w bliźniaczo do siebie podobnych narodach, „narodach, którym się nie wiedzie". Proboszcz irlandzki, postawiwszy na nogi cały szereg sylwetek małomiejskich z lordem, hotelarzem, dziennikarzem *(Tadeusz* Golligher, redaktor: „Orła Connaughckiego") na czele wykazuje wszystkie siedem grzechów głównych i siedemdziesiąt ubocznych, z powodu których dla Irlandyi europejczyk czy amerykanin nie może mieć szacunku, a co najwyżej litość, z powodu których Irlandya jest krajem pauperystów, cierpi na chroniczną emigracyę, na hyperprodukcyę analfabetów i poetów, no, i z powodu których homerule, tak szybko dla południowych afrykanów uchwalony, z takim trudem rodzi się dla Szmaragdowej „świętej" wyspy... Małe Ballymoy jest miniaturą całego narodu. Swojsko tu, ale brudno i niezdarno. Pracę uważa się za przekleństwo. Wielkie tradycye rycerskich czasów, zobowiązują tutaj jednakże do ciągłych, bezpłodnych rozpamiętywań, święceń, lamentacyi i autoadoracyi. Nuda życia w nędzy, w obszarpaństwie, nieporządku, wręcz wschodnio-słowiańskim, każe kurczowo tęsknić za wszystkiemi nadzwyczajnościami, upornie wierzyć w każde nadzmysłowości, marzyć o coraz to innych mirażach. Mali spółcześni żyją ciągle kosztem wielkich umarłych". Niema końca rocznicom i jubileuszom. Wszyscy ustawicznie nie mają czasu, a nikt nic nigdzie nie robi. Cały naród ciągle zgorączkowany, zadyszany. Bardzo łatwo się tanio egzaltują, jeszcze łatwiej zapominają, co ich właściwie wczoraj w drogą ekstazę wprawiało. W każdej rodzinie rodzi się co czas jakiś druid czy bard, ale alkoholików nieuleczalnych jest jednak więcej. Na każdym rogu ulicy stoją sentymentalne gaduły godzinami, a całe Imperyum angielskie nie ma tylu miodopłynnych złotoustych, co małe Ballymoy; no, i tyle głów dyplomatycznych... Tylko nie trzeba im mówić, że są rozleniwionym zaściankiem, że ich polityka ma siłę palca, kiwającego palcem w bucie, że ich domostwa są gorsze od wigwamów murzyńskich i że blaga ich fałszowanego idealizmu już się przejada. Na te prawdy są bowiem nadmiernie wrażliwi, czasem nawet, jak stare histeryczki. Tego też nie trzeba im mówić. A natomiast trzeba im mówić, jak w sztuce Birming-

hama, że mają jeszcze jednego bohatera narodowego do święceń, do jubileuszów, do retorycznych popisów, do marzycielskiej egzageracyi, do zaimponowania sobie samym i nędznej, „w oczach się rozpadającej“ Anglii i całemu światu; i to bohatera, o którym zapomnieli. W to łatwo uwierzą ci wygłodzeni na pochwały celtowie. Wtedy bowiem nie potrzebują już znowu ani budować dróg, ani ziemi lepiej orać, ani stawiać fabryk, ani szpitali, ani tamować emigracyi, ani zwalczać alkoholizm, ani analfabetyzm tępić. Należy im tylko szybko wznieść nowy pomnik „odkrytemu, wielkiemu rodakowi“... A potem o tem mówić i mówić, pisać i pisać... i rymować...

To im także mówił ze sceny yankee amerykański, Horacy P. Billing, a raczej jego ustami *nowoczesny proboszcz,* reverend J. O. Hannay (autor świetnej również *Eleanors-Enterprise).* Ale poznali wreszcie... ci (jak mówi publicysta Kelley w piśmie *„Leader“)* polacy Zachodu, w czem rzecz. I w małem miasteczku nadmorskiem w Westport doczekał się wreszcie świetny satyryk tryumfu, jakiego mu można pozazdrościć... Zdemolowano nawet hotel, w którym zagrano raz jego rodakom *prawdę,* a nie bajkę o narodzie irlandzkim...

BIBLIA BELGÓW

Tak nazwał jeden z najznakomitszych spółczesnych belgijskich pisarzów, Lamin Lemonnier, książkę francuską, która wyszła z druku w r. 1867 pod dziwnym tytułem: *La légende et les aventures héroiques, joyeuses et glorieuses d'Ulenspiègel et de Lamme Goedzak au pays de Flandres et ailleurs*".

Biblia jest to, jak wiadomo, książka, czytana przez niewielu. I istotnie, książkę pod tym tytułem zna tylko inteligencya belgijska; są uczeni, artyści, politycy, malarze, którzy kochają się w niej i nie rozłączają z nią; w szerokich kołach jest mało znaną, o popularności niema nawet mowy. A jednak jest to dzieło, w którem streściła się cała w wątłem ciele małego narodu zamknięta, mocna, prężliwa dusza ukochanego dziś przez cały świat cywilizowany narodu, jest to dzieło herbowe, sztandarowe, symbolizujące cały szczep, epos narodowe w całem tego poważnego słowa znaczeniu, a zarazem jest to jedna z najmilszych, najzabawniejszych i najrozkoszniejszych lektur dla czytelnika, który potrafi się wyemancypować z pochłaniania tylko teraźniejszości, a zagłębić powoli w obce światy, w zamierzchłe czasy, w starodawne narracye, sposoby i style.

Autorem „d'Ulenspiègla", czyli Sowizdrzała belgijskiego, jest zmarły lat temu trzydzieści kilka Charles Théodore Henry de Coster, autor „Legend flamandzkich" i „Opowieści Brabanckich", pisarz za życia swego znany tylko nielicznej grupie najwytworniejszych mózgów swej klasy i rasy, po śmierci bardzo wysoko oceniany i opisywany, dziś pomnikiem uczczony, i zaliczony do klasyków. W pierwszych swych utworach zdecydował się de Coster skonstruować dla swoich tematów język specyficzny, sztuczny, naśladujący francuzczyznę z XVI-go w., rabelizujący i archaizujący coś, coby sławiło jego opowieści: *Les*

frères de la bonne trogne, Les Pèlerins d'Haeckendover, obok Balzakoskich: „*Contes drôlatiques*". Celu swego dopiął, wzbudzając zachwyt i wdzięczność znawców i lubowników (E. Deschanel) ilustracye genialnych entuzyastów (Rops), ale nie zyskując uznania w szerokich kołach modu czytelniczego, który zawsze i wszędzie domaga się jasnej, czystej, przystępnej prozy reporterskiego, wulgarnego prostactwa. Ten to autor, z zawodu profesor literatury *francuskiej* w kadeckiej szkole wojskowej gminy *Ixelles* w Brukseli, dał swemu narodowi prozą pisanego flamandzkiego: „Pana Tadeusza", który, coprawda, dopiero teraz niedawno przetłómaczono na flamandzkie narzecze *(1896, vlaamsch vertaald dor Delbecqu en Johan).* Książkę tę powinniśmy poznać w czasach, kiedy pokój nastanie. Rozwiąże nam ona zagadkę psychologiczną, skąd w przebogatym i sybarystycznym narodzie kupców, jobberów, mercatorów, kolonistów, aferzystów w chwilach decydujących wybucha przeczystym, ognistym słupem bohaterstwo bezinteresowne i zapamiętałe, szaleńcze i ofiarnicze, i dreszczem podziwu i uwielbienia wstrząsające. Książka ta opowie nam, polakom specyalnie, że zmysł dla handlu, przemysłu, interesów bynajmniej nie wyklucza instynktu bohaterskiego w narodzie, jak to nam ostatnio suflerowali chytrze i z powodzeniem krajowi cudzoziemcy, oburzeni na nas, że od lat kilku „przybijamy ruble na gontynie narodowej", „że wyrzekamy się rycerskiego testamentu wieszczów romantycznych", że „szkaradzimy duszę sarmacką merkantylizmem amerykańskim"...

De Coster bierze postać legendarną z opowieści gminnej średniowiecza mieszczańskiego, znaną zresztą z kroci książeczek i w Polsce, figurę alegoryczną specyalnie, w Belgii każdemu dziecku nawet znaną, Dyla Sowizdrzała, mieszczańskiego Stańczyka, wesołego harlekina i okpiświata, płatającego otoczeniu psikusy złośliwe, niefrasobliwego włóczęgę jarmarcznego, drażniącego i epatującego bez wytchnienia spasłe i śpiące „burżujstwo" bogatych miast i miasteczek flamandzkich. Tego to Sowizdrzała de Coster stawia na tle rozbudzonych i rozgorzałych walk i bojów o niepodległość, na tło rewolucyi, wymierzonej przeciw gniotącym jego ojczyznę Hohenzollernom średniowiecza, t. j. Habsburgom hiszpańskim. I oto pod piórem szlachetnego patryoty-poety,

z mocno plebejskiej fantazyi wysnuta postać „gorzkiego błazna", zdolnego rzekomo z początku tylko do irytowania sławetnych kołtunów i łyków, zbogaconych „foluszników" i „tkaczów", „passamomików" i miodosytników z Gandawy, z Arras, z Armentières, wyrasta przed oczyma czytelnika w gorącej, płomienistej atmosferze buntu narodowego na działacza świętej sprawy, na bojowca wielkiej idei, na agitatora i organizatora potężnego ruchu wolnościowego. Z mięsopustnego zawalidrogi, drażniącego się z przekupniami i w tej fazie, i w tej postaci, znanego z licznych książeczek medyawelu, z wartogłowa i bibosza przekształca się de Costerowy Sowizdrzał w mocny symbol rozbudzonego gniewu ludowego. Ten, co tłukł kiedyś tylko gliniane garnki babom pod sukiennicami, teraz wstrząsa pierwszy żelaznemi okowami, pętającemi dumny, patrycyuszowski, twórczy naród Egmontów i Arteveldów. Ulenspiègel wędruje ze swym Sancho-Pansą z miasta do miasta, z kiermaszu na kiermasz z pieśniami buntu i niezadowolenia, szyderstwa i pogardy. Podjudza, wyśmiewa, budzi z uśpienia abnegujących i zrezygnowanych, zobojętniałych w niewoli hiszpańskiej, a ongiś hardych i pańskich flamandów. Pełno go w gospodach, w gościńcach, na rozstajach. Sowizdrzał uczy, kogo i jak nienawidzieć. Zagrzewa, rozpala i rozdrażnia zwolna przecierających oczy belgów, „wstrząsa snem narodu", ospały lud wypycha na barykady, popędza do arsenałów, w ręce im wciska berdysze i rusznice, lonty i żagwie. I wreszcie dopina i dokazuje swego. Lud flandryjski zrywa się i powstaje, wybucha rebelia żebraków, *Guezów*, „braci leśnych", jak długie i szerokie La Neerlande, tworzy się konfederacya w Breda. Demon Habsburski, Filip II, wysyła na zbuntowaną Belgię naprzód księcia Albę, z rajtaryą niemiecką i rotami albańskich górali, poczem Don Jouana d'Austria. Ojczyzna wstaje w płomieniach buntu i twórczej nienawiści, w czyn zamienionej. Okrzyk: *Plaendren ende Len!* Flandryo, do Lwa! wstrząsa powietrzem. Pajac z Damm okazał się Salvatorem, zbawcą.

Taką jest ideowa osnowa powieści de Costerowej, nad którą ten spokojny, sztywny na zewnątrz, a w sercu gorąco miłujący i nienawidzący poeta pracował po Flaubertosku krągło

lat czternaście. W przedziwnie barwnym kalejdoskopie kilkuset jakby uruchomionych w drzeworytowej manierze obrazów Brouwera, Teniersa, Jordensa, Ostadego, Steena, Wouwermana, Breughelów i innych przesuwa się kronika bohaterskiego życia wesołego kpiarza, przeradzającego się w niezbłaganego chorążego narodowego *risorgimento,* idącego z kaduceusem - lusterkiem przed szeregiem tych, co wypowiedzieli walkę na śmierć i życie najezdniczej tyranii, siejącego bunt furyi ludowej i zbierającego burzę wojny wyzwoleńczej. Z surogatu gminnego mocno mięsopustnej i trywialnej legendy szlachetnej geniusz pisarza belgijskiego wyrzeźbił nie dającą się zapomnieć postać, mającą coś Dyogenesowego, coś Don-Kiszotowego, wiele z Szekspirowskich „błaznów“, mędrszych od króli“, a wszystko z duszy belgijskiego ludu. W tym Ulenspièglu pozostaje już bardzo niewiele z prototypu małych ludowych książeczek. Z figurki ogólno-centralnoeuropejskiej staje się Ulenspiègel typem reprezentatywnym, skroś fizyopsychologicznie rasowym, flamandzkim. Cała różnorodność i bujność, trzeźwy realizm i somnambuliczny mistycyzm tego szczodrze i hojnie genialnością obdarowanego narodu i rubasznego, i wyrafinowanego, i dobrodusznego, i okrutnego, i bachicznie Rubensowsko używającego, po Meumerowsku pracującego ludu, cała stubarwność i tęczowość charakteru néerlandzkiego magicznie zogniskowała się pod tchnieniem de Costera w tej postaci, wystylizowanej na skończoną jakby formułę-kwintesencyę narodu króla Alberta. W wycyzelowanej przemisternie „figurze mądrego błazna“, „gorzkiego błazna“ uosobił de Coster i głos sumienia swego całego, nadewszystko umiłowanego ludu i dał wyraz jego rozbudzonego samozachowawczego instynktu. Proces psychiczny w duszy beztroskiego pędziwiatra, zajętego początkowo tylko przekornemi błazeństwami, wywijającego kaduceusem i rzucającego jeno naokół pociski prawdy, owinięte w bawełnę żartu i fraszki, proces w duszy wesołka, z którego *szaleństw* zaczyna zwolna przeglądać pewna *metoda* i który z czasem odsłania się i ujawnia, jako konsekwentny, logiczny działacz, przejęty jeno fanatyczną miłością uciśniętej i zdeptanej ojczyzny, przeprowadza de Coster z maestryą nieporównaną i tak zachwycającą, że godziłoby

się już raz postać tę postawić obok takich wszechświatowych arcytypów, jak: Don Kiszot, Robinson, Wilhelm Tell czy Joanna d'Arc. Płynna narracya, niezwykle rzeźbiarska plastyka i zdarzeń zgiełkliwość, intensywność retrospektywnej wizji XVI wieku, a wreszcie i głównie bijąca ze wszystkich stron młoda radość życia, wola życia, wiara w życie sprawiają, że książka ta musi stać się istotnie biblią belgów i księgą, którą czytać winna Europa, młodzież europejska, a przedewszystkiem młodzież polska. Zasługuje na to ze wszechmiar de Coster, *homo unius libri,* a więc pisarz już temsamem wzbudzający wielkie zaufanie. Zasługuje na to ze wszechmiar ten ton bohaterski, zdrowy i mocny, młody i ufny, który czytelnikowi pozwala żywić bezwzględną pewność, że naród, który umiał zrzucić z siebie, za czasów Ulenspiègla, Habsburgów hiszpańskich, zrzuci dzisiejsze jarzmo Filipa II-giego, karykatury protestanckiej.

VERHAEREN

Jedną z najpiękniejszych odpowiedzi na ankietę Sienkiewicza w sprawie wywłaszczeń w Poznańskiem dał Emil Verhaeren, dziś może pierwsza z największych chlub francuzkiej literatury i jedna z najciekawszych fizyognomii duchowych Europy.

Urodzony pod Anvers, flamandczyk z krwi i kości, z bardzo czujną solidarnością i odczuciem plemiennem, *pierwszy* tom poezyi „Flamandzi" wydał krągło 25 lat temu. Jeszcze kiedy był prawnikiem na uniwersytecie w Lowanium, wydawał pismo akademickie „La Semaine" na wspól z dzisiejszym słynnym śpiewakiem wagnerowskim, Van Dykiem. Z czasem bierze gorący udział w pierwszych kampaniach Młodej Belgii, współpracuje kolejno w organach bojowych nowej sztuki, szczególnie solidaryzując się z tem malarstwem, które reprezentują dlań nazwiska, jak Renoir, de Groux Monet, Sisley, Meunier, P. Signac, van Rysselberghe. Formalistycznie wychodzi z między parnasowców, używa jeszcze przepoprawnych aleksandrynów, hypochondryczne impresye wiejskiej Flamandyi zamyka nawet w kształt sonetu; duchowo jeno wyzbywa się objektywizmu Parnasowców, a liryzm swój subjektywizuje aż do stopnia, który jego monograf A. Mockel zwie paroksyzmem. Na wieś, chłopstwo, młócki, zwózki, kirmessy, wesela, życie ferm, młynów, wiatraków patrzy silnem obrzydzeniem ze stanowiska Zoli, Maupassanta czy Uspienskiego lub Mirbeau, czasem tylko wznosząc się z poziomu znużonej, ziewającej, chorobliwej depressyi do stanu nabożnego wytchnięcia, podobnego jakby atmosferze obrazów Milleta (Angelus). Z biegiem lat przechodzi Verhaeren proces duszny, który jest omal typowym dla pokolenia, dziś do pięćdziesiątki się zbliżającego. Pojedyńcze etapy tego procesu, od absolutnej negacyi życia aż do jego

ukochania, to świetne tomy poezyi absolutnych: „Pieśni Północy“, „Mnichy“, „Wieczory“, „Klęski“, „Czarne żagwie“, „Wyprawy widziadłowe“, „Krajobrazy wyobraźni“, aż do ostatnich tomów, jak: „Miasta kuszące“, „Oblicza mego żywota“, „Jasne godziny“, „Godziny popołudniowe“. Z każdej strofy tego imponującego cyklu wyjawień psychicznych, z tego pamiętnika duszy, skroś nowoczesnej i każdoczesnej, przebija się tło katolickiej, tajemniczej, pełnej feudalnych ech Flandryi, tęsknota elegijna poety za *jednolitością* kultury dawnej, rycerskiej, średniowiecznej, a niechęć i obawa przed szarą pstrością, gminnością i hałasem dnia dzisiejszego, industryalnego i zgiełkliwego, brzydkiego. Liryk Verhaeren jest w technice swej bojownikiem verslibryzmu, będącego organiczną formą jego emocyonalnej poezyi; ale tensam liryk jest również potężnym dramatykiem, którego w wielkim stylu koncepcye olśniewają plastyką poetyckiej wizyi, przekonywującą siłą dyalogów i przedziwnie skondensowaną arystokratyczną atmosferą, całkiem odseparowaną od faktyczności życia istotnego. Dramaty te to: „Klasztor“, „Filip II“, „Jutrznie“. Tylko ten ostatni przyswoiła doskonale naszej literaturze pani Markowska, podczas kiedy tak *Filip II*, to głęboko ludzkie studyum duszy posępnego, ale konsekwentnego, jak spiż, władcy feudalnego, jak również *Klasztor* (r. 1900), 3 aktowy obraz twardych zgrzytów tragicznych, w pozornej sielance ascetycznego życia 7 mnichów, zasługują na jak najszybsze przetłómaczenie na język tego narodu, o którym tak mocne i zdecydowane słowa wypowiedział genialny elegik hieratycznego katolicyzmu.

Dziś ten wróg wielkich metropolii z bezgranicznych ciemnic swych klęsk duchowych, przeklinań życia i omal patologicznych wstrętów do wszystkiego, co dzisiejsze, wydobył się na jaśniejszą platformę spokojniejszej dyspozycyi dusznej. Monografia o Rembrandcie ukrzepiła jego siły przez spółżycie duchowe z kolosem mocnym, twórczym, muskularnym, dobywającym błyski światła z największych posępności. Z hołdem dla artysty, który napisał wstrząsającą monumentalną scenę Filipa II nad zwłokami Don Carlosa, z hołdem dla liryka, z którego 10 tomów biją wieczorne opary zroszonej znojnym potem gleby flamandz-

kiej, niech się oto łączy hołd dla człowieka, który długie lata był z Vander-Veldem filarem sekcyi sztuki we wspaniałym „Maison de Peuple“, a który dzisiaj nie wahał się Niemcom, od dziesięciu lat zachłannie annektującym go w obręb promieniowania germańskiej kultury, powiedzieć słowa prawdy. Gratias anima valida!

Człowiek ten trzydzieści lat temu był obrazem nie tylko wszelkiej nędzy i rozpaczy, zwątpień i rezygnacyi, niewiary w siebie i w ludzi, który nie tylko sam tonął w odmętach hypochondryi i anestezyi, nietylko grzebał z uporem samotnika w chorych trzewiach patalogicznej psychozy, nietylko opancerzył się egotyzmem estetycznym od wszelkiego spółżycia z twórczymi, produktywnymi, działającymi ludźmi, który nietylko przeklinał dzień, godzinę i urocze *Bas-Escaud*, gdzie 57 lat temu ujrzał światło dnia słonecznego, ale wszystkie te defekta swej przypadkowo wadliwej, kalekiej czy nieleczonej dyspozycyi dusznej podniósł w górę jako godło sztandarowe. Będąc zaś od tej samej przeklinanej przyrody uposażonym mózgiem wulkanicznie i spontanicznie genialnego twórcy, z defektów tych wytworzył sobie mocną *religię niemocy*, którą z cichym fanatyzmem i monomanną zaciekłością apostoła obwieszczał a temsamem szerzył, rzucając od swej fascynującej indywidualności na całą poezyę, nietylko francuską ale i zachodnio-europejską, potężny cień.

Dzisiaj ten „syn cieniów“, ten ongiś zatracony, „l'immensement perdu“, piewca wszystkich stacyi Kalwaryi twórczych, ten zaprzysiężony nieprzejednany wróg nowoczesności, ten najumiłowańszy patron wszelkich desperatów i abnegatów objeżdża główne metropolie europejskie, przesiadając się jeno z rapidów w ekspressy, z ekspressów w rapidy i wygłasza po Europie w natłoczonych salach odczyt o zdumiewająco już anti-verhaerenoskim tytule: Kultura entuzjazmu. Entuzjazmu! Zaiste przepotężne procesy i kryzysy musiała przejść ta olbrzymia dusza poety z najcywilizowańszego narodu Belgów wyrosła i cały ten naród w sobie streszczająca i syntetyzująca, jeżeli człowiek, który w jakichś dziesięciu tomach kazał i wieszczył kulturę *depressyi*, uczył misternie ospałej rezygnacyi, zachwalał dosto-

jeństwo bezpłodności, suggerował piękno beznadziejności, dyffamował wszelkie mozoły i trudy kombinującego praktycznie rozumu i racyonalnego patrzenia w życie, jeżeli ten pieśniarz gorzkich żalów i cierpkich spotwarzań Bożego świata uważa teraz za swój obowiązek wieszczy, za swoją misyę cywilizacyjną, za imperatyw swej twórczości nietylko całym szeregiem dzieł nowych dyskredytować twórczość swą z czasów pessymistycznego Inferna, ale nawet osobiście w życie europejskie interwenjując jeździ z jednego miasta „olbrzyma-głowonoga" do drugiej „miastośmiornicy", by apostołować idee, których sam tytuł zapowiada już: affirmacyę życia, kult życia, ukochanie życia..., urodę życia!

I te kryzysy duszy Verhaerenoskiej, te głębinowe przemiany, jakie w niej odbywały się, zanim przyszło uniwersalne wyzwolenie prometejskiej natury z pęt i oków rdzawego pessymizmu, ta w najwyższym stopniu frapująca ewolucya twórcza, ta droga od zmierzchu *„Godzin wieczornych" do „Wzmożonego Blasku"* dni dzisiejszych, od Mizerere urodzonego do liryzmu i liryczności piewcy z lat klasztornych w *Forges* do Halleluja wojażującego dytyrambisty energii ludzkiej, to jedna z najciekawszych, nienapisanych jeszcze ksiąg naszych czasów. Zmartwychpowstały Łazarz Verhaeren przechodzi bowiem wszystkie fazy duchowe od najskrajniejszej negacyi życia aż do dyonizyjskiego przechwalania życia, nie tylko indywidualnie ale i uniwersalnie oraz symptomatycznie. To co on dynasta i grand-seigneur przeżywał intellektualnie z mocą tytana i z świadomością natchnionego jasnowidza, to nasze całe pokolenie młodych europejczyków przechodzi z opóźnieniem, wtórnie, zależnie, słabiej, z drugiej ręki.

W każdym jednak razie, opłacające się z lichwą i szczęśliwe nad wyraz zapoznanie się z jego działalnością twórczą od jej debiutów samoanalitycznych począwszy, od tych boleściwych zawodzeń, urągań przyrodzie, rzekomo okrutnej niszczycielce, od tych napawań się smutkiem *de tout cela*, od tych wyznań neurastenicznych, od tych jeremiad przewlekłych, anemji wychwalanych, paroksyzmów degout do bytu, obarczań bóstw wyrzutami i apoteoz samozniszczalności czy samozatracania się,

nirwany aż do biegunowo odmiennych nastrojów i kolorów psychicznych z tomów: „Falujące łany", „Godziny południowe", to jest nietylko sybarytyczno-literackie przywłaszczenie jeszcze jednego intrygującego nas eruptywnością swego talentu dojrzałego i doskonałego twórcy, ale co więcej to walna pomoc w uświadomieniu sobie kryzysu, jaki każda nowoczesna jednostka twórcza wcześniej czy później musi przechodzić... a zarazem radosne przekonanie się, że te wszystkie identyczne cierpienia wątpliwości, szarpiące niepewności, nienawiści, bóle, depresye, nieustanne konflikty, kwestye moralne, ataki wściekłości, erupcye buntu, które przed krystalizacyą finalną dusza mężniejącego nawet pośledniego twórcy chaotycznie przechodzi, te same dosłownie przechodzi i kosmiczna, wszechświat w sobie odźwierciadlająca psyche olbrzyma duchowego, słupa ognistego epoki, reprezentanta czasów, twórcy przyszłych wartości, proroka nowych zakonów Verhaerena.

Dla nas zaś, polaków, zapoznanie się z twórcą dawnych: *Zmroków, Klęsk i Czarnych sztandarów*, a dzisiejszych *„Wyśnionych siół" i „Jasnych godzin"* jest ze wszechmiar jeszcze pożądańsze i naglące. Najpierw jest to jeden z tych nielicznych dzisiaj wersyfikaterów, których bez powstydzenia się a z wielkim pożytkiem moralnym może czytać moralny człowiek dojrzały i zdrów na umyśle, któryby każdym innym „zbiorkiem" liryków natychmiast po rozcięciu kartek wyrżnął o ziem, jako wiązką przeważnie excentrycznych banałów i przenudnych młodziankowych exhibicjonizmów. Następnie jest to jedyny poeta francuski, który z powodu swej *affirmującej teraźniejszość* tendencyi, wychwalania epoki handlu, przemysłu, fabryk, maszyn, mostów, portów, doków, bulwarów, kamieniołamów, kopalń, sieci kolejowych... z powodu swej egzaltowanej *adoracyi dzisiejszości* z jej gwizdem syren, łomotem kilofów, hukiem młotów parowych, hałasem ulic wielkomiejskich, stukotem pociągów towarowych, rykiem kominów okrętowych, chrzęstem kolejek łańcuchowych..., *in summa* z powodu swej postawy a-romantycznej, antimetafizycznej, skroś-nowoczesnej jest starannie i programmatycznie nie-polecany, nie-rekomendowany i nie-reklamowany przez naszych arystarchełesów i aj-wajdelotów

(tak troskliwych komiwojażerów i zachwalaczy wszelkich poetów depressji i destrukcji) a następnie chronicznie nie tłómaczony przez nasze nałogowe tłómaczki wszelkich francuskich krasnoludków i mikromegasów, błazenków i Paul-Fortków...

Dzisiejszy zaś odczyt tego duchowo tak cudownie ocalałego Fausta poezyi francuskiej zasługuje na tem większą wagę, że w tytule odczytu mieści się jedne słowo, łyskające jak płomień z popiołów: „entuzjazm". Jest to słowo dzisiaj w najwyższem stopniu nie aktualne, nie używane, nie warszawskie, nie polskie; *dzisiaj* to znaczy 26 grudnia 1913 roku. Miejmy nadzieję, że z Nowym Rokiem to słowo na nowo wejdzie w użycie i w tym mieście, w którem zawsze było może nie na ustach ale leżało w pokładach duszy, na dnie serc. Metamorfozy duchowe na Verhaerena..., który z mrocznych odmętów apatji, marazmu, depressji, astenji wyszedł śmiałym krokiem radosnej spójności, powinny nas krzepić na duchu, dodać otuchy..., wiary..., nadzieji.

Pierwsze tomy liryki Verhaerenowej to był ten częstotkliwie się powtarzający przy końcu XIX wieku ściśle subjektywny pamiętnik jednostki odseparowanej od świata cyklopim murem artystokratycznej pogardy i wstrętu, z ustawicznem confiteor duszy niesłychanie pobudliwej, patetycznej a szlachetnej, zamkniętej w chorem i to gastrycznie chorem ciele (vide Mockel). Obolały, zgorączkowany, zgorzkniały doszczętnie i znękany dolegliwościami anachoreta wiedzie struchlałego czytelnika w labirynt udręki i cierpień swych przeżyć i przemyślań. W hallucynacyjnych, koszmarnych wizjach febrycznych to w monotonnie zmornych impressjach, to w dokuczliwie szarych deskrypcjach obrzydza czytelnikowi-laikowi świat okalający, udowadnia bezcelowość, nudę, bezistotność tego wszystkiego i lepką szlamowatą żółciową gorycz ze swej duszy przelewa w setki dusz swych spółczesnych. Trzy pierwsze tomy Verhaerena to trylogja Golgo thy czasowo ciężką neurastenją obciążonego siłacza, zmożonego chorobą indywidualną i chorobą końca wieku. Jest to całkiem subjektywny kobiecy, bezkostny liryzm, pławiący się z zapamiętałością w swej izolacji, stwarzający mistrzowi wielkie satysfakcje twórcze, ale szerzący

dokoła psychozę negacji i abnegacji, hojnie rozdający emocje omal opiumistyczne, karmiący młodzianków trującymi listkami kwiatu lotosu. Dziwna rzecz, że właśnie utwory z tych czasów mają nieskazitelność pereł (rodzących się jak wiadomo z chorej tylko macicy) i są dosłownie preciozami o definitywnej precyzji formalistycznej, są koronnymi biżuterjami liryki współczesnej, jakim równych nam Verhaeren (jak zapewniają przysięgli arbitrzy i koneserzy) już nigdy nie stworzy i nie rozda. Niektóre z nich mają bliźniacze kongenialne podobieństwo z klejnotami pierwszych serji Tetmajerowych; ta sama gorycz, pustka, nuda, zniechęcenie waporyzuje i odurza ze słów poety, który urodził się „entre la France ardente et la grave Allemagne", który mówi „o mon âme du soir ce Londres noir"..., albo „mes jours toujours plus lourds s'en vont roulant leurs cours"..., jaka kiedyś panoszyła się w chwilowo chorem sercu Homera naszych Teatr Janosika Tetmajera.

Ale ta apatyczna a bezbrzeżna nienawiść okalającego życia doszła w Verhaerenie do tak krańcowych wreszcie ostateczności, że musiała zawierać już w sobie zaląźki i pierwiastki reakcyi na ten nie do zniesienia dojmujący duchowy stan, że musiała wywołać nadchodzące przesilenie. Z typowej u chorego antypatyi do zgiełku wszelkich miast, do tej pstrej, hałaśliwej, estetycznie nie zjednoliconej kiermaszowości dnia dzisiejszego wyrodziła się z jednej strony zwykła w tych razach i omal już konwencyonalna tęsknota do wielkolinijnej, jednolitej, artystycznie mocnej kultury katolicko-feudalnego romantycznego średniowiecza, z drugiej zaś strony ucieczka młodego mieszczanina za mury miast w pejzaż, w pola, w lasy, w łąki w szeroki, jasny, przestrzenny, zdrowy świat. I oto chorobliwie przeczulony, nerwowo zrujnowany, twórczo samospalający się degenerat, młody adwokat socyalistyczny Verhaeren powoli wżywa się w duszę imaginacyjnie wymarzonego typu jakiegoś średniowiecznego mnicha i jako taki zaczyna pielgrzymią wędrówkę po tej ziemi, której jest synem wybranym a marnotrawnym, wędrówkę nieobliczalną w swych następstwach, wędrówkę uzdrawiającą, kojącą, wyzwalającą. Cichy braciszek z klasztoru nie z Bruges (splugawionego już admiracją wszyst-

kich semickich Safonek europejskich) ale z jakiegoś niedostępnego jeszcze snobom... może Ypern... wędruje z sioła do sioła, ze wsi do miasteczka i zaczyna teraz te oblicza ziemi opisywać. Już patrzy i na kowala przy pracy i na młynarza, dzwonnika, rybaka, nawet grabarza bez niechęci a z sympatyą, ze współczuciem. Miasta wampiry są za nim; przeszedł „moce burzliwe“ i „morza listopadowe“. Radują go ogrody i lasy, cieszą pełne stogi i kosiarze przy pracy i węcierze w roztocza rzeki zapuszczone. Z Wirgilową prostotą szkicuje przechodzący do zdrowia pielgrzym bukoliczne dyalogi wiejskie i sielskie...

Pątnik Verhaeren zaczyna kochać chłopa belgijskiego, wpatruje się godzinami w rytm pracującego ciała ludzkiego, z czasem zaczyna wierzyć w piękno pracy, zaczyna się egzaltować dostojeństwem mozołu człowieczego. Z klasztoru wyszedł na pola i łąki, począł oddychać ozonowem powietrzem pleneru *Wszystkiej Flamandji* i oto pierzchają bezpowrotnie zmory przygniatające klatkę piersiową, znikają demony, które mu wysysały serce, a ostaje się natchniony piewca każdego kątka, każdego strzępka swej ojczyzny, człowiek o potężniejącym z dnia na dzień instynkcie życia, o zwielokrotnionej pulsacji zdrowej krwi, czujący się jednością z przyrodą i z bóstwem, fanatyczny bard doczesności, pogodzony z rzeczywistością, przyjaciel rzeczywistości.

Chłop-gigant belgijski, Reymontowy czy Milletowy chłop, oracz i siewca uczy „poetę z miasta“ Verhaerena respektu przed życiem, szacunku dla doczesności i wiary w człowieka, przedewszystkiem wiary w człowieka!... I były cherlak i charłactwa kunstmistrzowski obrońca czuje już w swych żyłach i ścięgnach przypływ nieznanych sił, nowych sił.

„J'aime mon champ vivant et claire, plus que mes os plus que ma chair“, pisze na jednem miejscu, upajając się formalnie oddechem ziemi, zapachem rozpruwanej pługami gleby, wieczystością ziemi matki. Od jednej granicy Belgii do drugiej przejeżdża wzdłuż i wszerz swój kraj, krokiem wędrowca przemierza wszystkie gościńce i drogi i poznaje wszystko i rozmiłowuje się w swojszczyźnie i uwiecznia to potem w staroflandryjskich

jakby miniaturach, w wierszach w tylu starych gadek, klechd i przyśpiewek chłopskich. Zachowuje przytem tę samą dawną bajeczną Verlainosko-muzykalną wibracyę wiersza, zachowuje to samo zmysłowe, niepokojąco-ewokujące widzenie wizyonerskie, tą samą widziadlaną delikatność rysunku lirycznego, bezinteresowność lirycznej koncepcyi i lirycznej ekspulsyi uczuciowej. Ale wiersz jego, wypuszczony już za mury literackiego szablonu w wolny świat zrzuca z siebie ciasny, krępujący frak z parnaskiej aleksandryny uszyty, by rozebranym, nagim, wolnym *vers-librem* rzucić się na oślep w życie. Furya twórcza, przychodzącego do zdrowia i siły Verhaerena wytwarza wiersz nieprzewidziany, wiersz Whitmanowski, bez wyraźnej stopy, to długi to krótki, czasem szorstki, to znów przesłodki, rymujący się u związań, to na drodze ku nim, wiersz spontaniczny. Przypływające siły, rozkochanie się w przyrodzie i rodzący się z tego jakiś fundamentalnie mocny, nowy, zdobyty dopiero w walkach życia a nie przyrodzony optymizm, nie optymizm sytych głupców a optymizm zwycięskich myślicieli, jakiś monostyczny, czy kosmologiczny optymizm, wzbudzają w nim wreszcie zadrzemane poczucie własnej potęgi. W przypływie tego poczucia pisze on tą słynną strofę:

„Je suis le fils de cette race
Dont les cerveaux plus que les dents
Sont solides et sont ardents,
Et sont voraces...“

a na innem miejscu:

„J'aime mes yeux flevreux, ma cervelle, mes nerfs,
Le sang dont vit mon coeur, le coeur dont vit mon torse
J'aime l'homme et le monde et j'adore la force
Que donne et prend ma force a l'homme et l'univers...“

W przypływie też tego poczucia zdobytego zdrowia i siły odważa się już Verhaeren na dwa następne akty affirmacyi życia i zgody z życiem. Po pierwsze więc decyduje się poznać byt i innych narodów.

I temu Verhaeren poświęca następne lata, kształcąc się przytem wytrwale i w tak bezwzględnie niepoetycznej nauce, jak socyologia angielska. Ale temu też zawdzięcza Verhaeren kompletne otrzeźwienie, zmężnienie i absolutne wyzwolenie z lirycznej effeminacyi, z kultu słabości, z bzdurnych mrzonek kosmo-polityzmu i z romantycznej, nie męskiej a efebiej poetyckości.

I taki dopiero Verhaeren spełnia drugi akt affirmacyi życia, akt niesłuchanej odwagi poetyckiej, t. j. decyduje się wracać do brzydkich miast, poznać rytm pracy miejskiej, nie tak poetycznej jak praca na roli, zapuścić się w życie robociarzy, górników, hutników, rękodzielników, węglarzy, okrętowych niewolników i rehabilitować artystycznie i tę ciężką dolę. I ten akt arcy-heroizmu u artysty Verhaeren spełnia za przewodem Meuniera.

To zaś, czego teraz dopiero życie go nauczyło i co mu to życie objawiło, to poświęca „a cele qui vit a mes cotes“ t. j. żonie swojej, będącej, jak wiele żon współczesnych artystów, tymi ich aniołami-stróżami, które Łazarzom, leżącym w pobielanych grobach upadku, każą wstawać, podnoszą ich i wywodzą na życie, na czyn, w słońcu!

Jak Zaratustra z gór, tak Verhaeren z kijem pątniczym w ręku zeszedł z wysokości szczytów wieży ze słoniowej kości, w której się ongiś, izolował — w niziny niepoetyckiego bytowania, zeszedł tam, gdzie stoją fabryki obok fabryk, gdzie wysokie piece deprecyonują idylliczny pejzaż, gdzie kamieniołomy wyszczerbiły zielony dywan ziemi, gdzie w szklannych hutach czerwienią się krwawe potoki roztopionej stali, gdzie w windach-olbrzymich o sinym poranku zjeżdżają w przepaście węglowe całe kohorty młodych smutnych ludzi, gdzie z żelaznych ganków jak tylko spojrzysz okiem w ciemną noc biegną parzyste linie szyn kolejowych i ślizgające się czerwone oczy pełznących pędem robaków pociągowych i tam, gdzie znowuż olbrzymie rzęsiste jasne domy towarowe wyszczerzają swe okna, gdzie w wielkich białych hallach pałaców wystawowych przewalają się tłumy. Tam zeszedł z własnej woli monseigneur

Verhaeren, by to życie społeczne szkalowane monotonnie przez cherlaczych estetków, zapoznane stare pannice i emissaryuszów sprytnego kapitalizmu semickiego (obarczonych chytrą misją obrzydzani a aryjczykom wskroś zmaterjalizowanej nowoczesności), by te nowe życie Europy, to dantejskie „nuova vita“ poznać, ogarnąć, wchłonąć i jego misteryum przepotężne rozjaśnić... wyśpiewać...

I oto teraz okazało się, że dopóki Verhaeren był posępnym Tyrteuszem własnych męczeństw, przeklinającym z furyą czasy i ludzi, dopóki w Goyoskich halucynacjach z wstrętem i odrazą nieuleczalnego szpitalnika czernił człowieka i przyrodę, plwał w serce Boga i w mózg człowieka, dopóty jak czarny kometa ciągnął za sobą długi ogień i estetyzujących desperatów i utalentowanych abnegatów wdzięcznych mu bezgranicznie za to doszczętne zohydzanie życia tych, co pracują, walczą, zwyciężają lub giną. Negatywny i destrukcyjny, ciemny i ponury był bożyszczem ekwilibrystów wersyfikacji, szlifierzów eleganckich sonetów, wszelakich zapoznanych miernot, macherów wyszukanej tandety, pawiów piskliwych i pysznych, bufonów „sztuki dla sztuki“. Liryzm był bezinteresowny, był godny, dostojny więc immanentny i ważki. Miesięczniki efemerydki drukowały do Verhaerenie sążniste panegiry „pod kątem wieczystości“; delikatne mechesy wypisywały o nim subtelne majufesy. Ale gdy w lwiogrzywym, sumiastym Belgu zaczął z pod romańsko-gallijskiej polewy kulturalnej wyłaniać się człowiek północnej rasy, gdy zaczął się w nim rozbudzać mocny syn Aryów konstruktorów, organizatorów rządców, gdy w przywróconem do zdrowia ciele zaczął rozprężać się pełen duch, męzki, mężny duch nie cząstkę estetyczną, ale wszystką całość życia ogarniający, wtedy ogon komety belgijskiego zaczął maleć, maleć, niknąć, aż wreszcie na firmamencie niebieskim ostała się tylko samotna jasna gwiazda, gwiazda pierwszej konstelacyi.

Paryskie Feldmany i Hirszbandy, a za nimi bandy ich aryjskich elewów i adeptek typowo zapalczywych neofytów kultury artystycznej, poczęły nieufnie spoglądać w górę na nawracającego się ku światu Szawła Verhaerena. Jego sztuka nie była już czystą. Jego liryka zatrącała już kaznodziejstwem,

agitacją, społecznikostwem, interwencją w życiu ludzi dorosłych i dojrzałych, jego poezya stawała się wodą na młyn „skroś materyalistycznej“ burżuazji! aryjskiej burżuazji. Wyzyskały te pajace i rzezańce to, że pod wpływem naporu idei naprężenia i ognistości ducha, bogactwa myśli i żądzy co najrychlejszego zwiastowania swojej dobrej nowiny, nowej ewangelii i to, że za przewodem amerykańskiego poety Whitmana, ten istotny Prometyda, aryjski Prometyda Verhaeren zerwał wszystkie szranki rafinowanego konwenansu, szranki własnej tradycji poetyckiej i w mistrzostwie nieskazitelnej formy, kosztem ściśle formalistycznych powabów i uroków zaczął wybuchowo wyrzucać ze siebie obok potoku płynnego złota i szaromętną lawę z lśniącymi seledynowo żuzlami. Te karły i garbuski ducha uczepiły się drobnych skaz, dowolności i potknięć rytmicznych natchnionego improwizatora „Wychodźców“, „Fabryk“, „Zdobyczy“ i do olbrzyma... tak często zaniedbującego cyzelatorstwo formalistyczne, jak często je zaniedbywali Beethoven, Michał Anioł, Balzac, W. Hugo, Poe czy Dostojewski, jęli przykładać te probierce, wymiary i łokcie czysto estetycznych przykazań jakie sobie przykładali z powodzeniem wzajemnie „wesołe mimowoli“ megalomany z „Chimery“ lub wypełzłe już dziś znakomitości ze starych zeszytów Mercure - de - France...

Nie raczyły zwracać uwagi te brudasy broniące „czystej sztuki“, że ta tak zjawiskowo fenomenalnie nowa przedświtowa treść ideowa musi znaleźć dla siebie samoistny wyraz formalny, że poetyckie pańskie przemienienie codzienności w hymn musi się wypowiedzieć całkiem innymi niż dotychczas środkami ekspresji artystycznej, że pierwsze w wieku naszym zwersyfikowanie rytmu maszyn musi się spełnić przy pomocy całkiem nowych swoistych kunsztów twórczych...

Z tem wszystkiem ani paryskie artifexy i efeby ani ich warszawska expozytura i nasze domorosłe kaftaniki czystej sztuczki pogodzić się z Verhaerenem nie chciały. Liryka powinna być zawsze irracjonalną; dla liryka świat rzeczywisty ma być Hekubą; rozum ludzki jest spluwaczką, zdobycze techniki i wiedzy pozytywnej są barbarzyństwem; poezja winna być estetycznym samogwałtem psychicznych exhibicjonistów; badanie pulsu Europy jest żurnalistyką; Amerykę powinny zalać oba oceany; utwór artysty winien być tylko bańką mydlaną; przemysł, handel i złoto są marnością nad marnościami, a nie są ni motywem, ni kanwą dla szanującego się poety; przemysł, handel i złoto powinny być oddane tylko Semitom...

I dla tego Emil Verhaeren, który się tem wszystkiem niedostojnie zajmuje, który amerykańskiego Homera Whitmana naśladuje i synergję pracy wszystkich Aryjczyków apostołuje, ten Emil Verhaeren, który się całej swej średniowieczczyzny zaparł i jest dziś tą jakby elektryczną centralą wysoko nabitą i na wszystkie strony Europy wysyłającą wibrujące fale siły, fale poczucia siły..., w teoryi optymizmu nie przyniósł rzeczy ważkich...“

KULTURA CZECHÓW

Kiedy się romantycznych oczów spojrzeniem rzuci na ten wyłaniający się z modrej Wełtawy zjawiskowo piękny wid Hradczanów i tem samem spojrzeniem ogarnie dzieje zmartwych - powstającego w XIX-ym wieku Łazarza czeskiego, na usta ciśnie się tylko jedno słowo: cud, cud! Widzi się omal naocznie, jak wedle prastarej i czeskiej i polskiej legendy dobywają się z czeluści skalnych Wyszehradu czy też Braniku drużyny śpiących rycerzy, jak Anteusz czeski: „Honza", olbrzym a dziecko, dotknąwszy się swej mamy-ziemi, rozprostowuje dziecięcy swój ale zdrowy organizm, przeciera oczy, pręży ramiona muskularne i wreszcie wychodzi w świat szeroki i daleki na świata tego zdobycie.

Ale romantycznych mędrców „szkiełko i oko" na bok odsuwając, starajmy się możliwie ścisłą introspekcyą zbadać tego Anteuszowego cudu Feniksową zagadkę, a rychło przekonamy się, że Łazarz powstawał wolno, z blizka ledwo że widocznie, że nim Honza czeski wyszedł na świat i wygrał wielką stawkę swego imponującego rozkwitu, trzy pokolenia zdobywały prawo do życia narodowego piędź po piędzi, stopa za stopą, cierpliwie, uczciwie, po męsku. Cud czeskiego revivalu nie przestaje być cudem, ale historya, dzieje ekonomiczne, statystyka, socyologia, psychologia pomagają nam w rozwiązaniu zagadki, „jak to cud taki mógł się wydarzyć".

Wystrzegając się w miarę sił gołosłownego panegiryzmu, starajmy się, oparłszy się na materyale dat i cyfr, uwidocznić na jak żelaznej konstrukcyi opiera się wspaniały bezsprzecznie gmach teraźniejszości naszych starszych braci z Zachodu.

Wiadomo przedewszystkiem, że po kataklistycznej bitwie pod Białą Górą i całym szeregu iej konsekwencyi, po zniszczeniu Czech ogniem i mieczem germańskim, spadł na nie

potop kar, konfiskat, pomst ze strony rozjuszonej reakcyi katolickiego feudalizmu. Cały naród zdziesiątkowany, wycieńczony, po wyrżnięciu omal dosłownie do „nogi“ rycerskiej szlachty, dostał się w ciężkie okowy imperyum niemieckiego. Oficyalnie Królestwo czesko-słowiańskie przestaje istnieć, wszystkie ogniska narodowego bytu zalewano bez opamiętania, tu i owdzie dobijano resztki kacerskich panów, przepędzano precz heretyckie mieszczaństwo; lud, podejrzany o echa husytyzmu, czeskiej wiary, kalwinizmu, topiono w stawach. Nasi, niestety, Lisowczycy, przysłani przez zagorzałego niemca i ortodoksa Zygmunta III, dopełniali miary nieprawości kontrreformacyjnej. Aż wreszcie i nad całą czeską ziemią zapadła noc niebytu, niemy wiek egzystencyi zadławionej, podziemnej, w czas której język stary schronił się już tylko pod słomiane strzechy, w góry, w lasy, w lepianki, w samotnie, by ino przeczekać straszne, pomór i pożogę niosące dnie sądów ostatecznych germańskich. Praga i ocalone miasteczka stały się od tej połowy XVII-go wieku czysto-niemieckie, a na niespalonych i niezburzonych zamkach osiedli baronowie i freiherzy, hojnie wynagrodzeni łupami za wiktorye 30-letnej wojny. Imię czecha, synonimujące dojrzałą kulturę i szczytne poloty ducha w wiekach średnich, germańska ręka w stal zakuta wymazała z wielkiej karty cywilizacyi. Tak to dotrwało omal aż do czasów Józefa II. Patent tolerancyjny i zniesienie niewolnictwa chłopskiego, poprzednio kasata zakonu Jezuitów i rozwiązania 60 klasztorów innych, te fakty przedświtowe dopiero pierwsze drgnięciem ożywiającem przeszły przez pogrążony nie w agonię a tylko w letarg organizm przychodzącego do przytomności ludu czeskiego. Od Francyi słychać już było pierwsze pianie gallijskiego koguta nadchodzącej rewolucyi: Honza się budził. Dopomagały walnie do rozbudzenia go niewczesne germanizacyjne zapędy ambitnego Józefa II, jego ni stąd ni zowąd „obrażenie się“ na Pragę, zakusy centralistyczne i ukaz wprowadzenia języka wyłącznie niemieckiego do urzędów, sądów, gmin i szkół choćby najniższych. Instynkta lokalnego separatyzmu i reagowania na tę centraliztyczną kampanię z Wiednia już były rozbudzone u panów frankmasonów i deistów pragskich. Czeskość postanowiono jako atut wygrywać

przeciw chimerom germańskim Józefa. Pierwsi czesi mówili po niemiecku, pisali jeszcze i po łacinie, rozumieli nieco włoskie opery, ale już w izdebkach poddaszowych i na zebraniach Królewsko-Czeskiego Towarzystwa Nauki w Nosticowym pałacu (od 1780 r.) debatowali i odkrywali zwolna Sezam starego języka i starej literatury czeskiej. Język potoczny uratowały wraz z pierwszem poczuciem narodowej przynależności stare „babiczki“ i mamki z gór „Biety, śpiewające ludowe piosenki“; to zgodnie stwierdzają i matrona Nemcova i wielki komtur poezyi Zeyer. Pierwszego kontyngensu narodowego mieli dostarczyć synowie tych od niedawna uobywatelnionych wieśniaków, już dzięki wolności posyłanych do licznych szkół założonych z funduszu 14 milionowego, Jezuitom skonfiskowanego Sztab zaś apostołów czeskiej frondy składał się z młodych uczonych, masonów, z różnych stron Czech w Pradze ze sobą zetkniętych i raczej dla filologicznego interesu z początku czeską mową się egzaltujących. „Gdyby się nad nimi był raz sufit izdebki zawalił, byłyby Czechy znowu nie istniały...“ Mieli oni w sobie wiele z doktrynerów, maniaków i idealistów. Jeden z nich, guwerner u grafów Nosticów, Dobrowski w przystępie sceptycyzmu wyrzekł nawet swe pamiętne: „nie budźcie umarłych!“ do odgrzebujących skarby języka przodków; ale sam budził i rozgrzebywał. Były to jeszcze czasy rokokowej idylli. Niemiecki Michel z łagodnem pobłażaniem i omal serdecznością patrzył na przecierającego zaspane oczy Honzę, pozwolił śmieszną ideą opętanym pierwszym młodym patryotom zagrać raz i drugi w niemieckim teatrze po czesku „Dezertera z miłości“, potem nawet sam się przysłuchał oryginalnemu opus „Brzetysław i Jutta“ (1786), potem „z pozwoleniem zwierzchności“ wyszło kilka szwabachą wydrukowanych książeczek, ale wszystko to wyglądało raczej na nieszkodliwe igraszki młodych uczonych... Tymczasem już i Herr Kramerius zaczął wybijać swą gazetkę: „Ces.-Król. krajowe nowiny“, Herr Jungmann wydrukował słownik niemiecko-czeski i sam za darmo uczył po szkołach czeskiego „dyalektu“, wreszcie Herr Pelzl prosił i dostał miejsce lektora tego „dyalektu“ na *universitas Carolina*. Ani się nie spostrzegli pierwsi apostołowie,

jak oto coraz szersze kręgi zataczało ich maniactwo starodawnej czeszczyzny. Za Józefa, następcy Leopolda, w pamiętny czas pierwszej wystawy czeskiego przemysłu ludowego w Pradze w r. 1791, jużby i małe izdebki uczonych z poddaszy na Małej Stranie nie wystarczały dla wyznawców nowej ewangelii, ni wielkie nawet sale pałacu panów Nosticów. Z takim to zapałem fraczaste i harcopfowe niemiaszki roznosiły dokoła pierwsze czeskie książki i pakowały je *par force* w ręce zdumionych mieszczuchów i ich mamsell. Już w teatrze w „butice“ na Końskim Targu nietylko skromnie po południu przepuszczano „bachorki“ i „balaki“ ze śpiewkami, ale pierwszy czeski manażer Bulla już i wieczorami czasem mógł wygrywać po kolei 50 tłómaczonych a 8 oryginalnych dramatów „od“ „Wentzla Thama“. Już „Makbeta“ i „zbójców“ można było czytać po czesku. Już Herr Pelzl miał znacznie liczniejsze audytoryum, Herr Jungmann drukował nowe, grubsze tomy, w „Ekspedycyi“ Herr Krameriusa był ruch wielki, a Herr Dobrowski korespondował uczenie z naszym księciem A. Czartoryskim i wydawał duże opus po łacinie o „Instytucyach języka słowiańskiego dawnego dyalektu...“ I już kto nie chciał się kompromitować nieporządnem pisaniem musiał pisać „frei nach Kramerius“... Ba, nawet podczas koronacyi Leopolda panowie magnaci ostentacyjnie głośno rozmawiali ze sobą po czesku... Głęboko wzruszające są te pierwsze momenta zmartwychwstającego poczucia narodowego w Czechach, ten zapał ognisty fanatyków, pobudzonych jeszcze niespodziewanemi sukcesami, ta ochoczość, z jaką i drobnomieszczaństwo i wyższe sfery, przeważnie do cna zniemczonej noblesy przyjmują dobrą nowinę o narodzeniu się czeskiej idei narodowej. Jest w tem coś wprost rozczulającego. Dobroć poufała i łagodność wdzięczna po obu stronach: niemieccy lekarze w okularach pomagają przyjść do życia i zdrowia czeskiemu rekonwalescentowi; czeski rekonwalescent uczy swego lekarza swej starodawnej mowy. Oczywiście apetyty chorego wzrastają w miarę, jak dostaje coraz to pożywniejszą strawę. Nowa faza absolutyzmu Habsburskiego we Franciszku I, Meternicha bezwzględne ograniczenia wszelkich swobód, cenzura, ucisk podatkowy i powtórnie podjęty

plan zgermanizowania Austryi, wysmarzony w miałkich mózgach biurokratów wiedeńskich, ta cała nowa fala reakcyi germańskiej jest tylko pożądaną wodą na młyny czeskiego odrodzenia.

Propaganda czeskiego uświadomienia przybiera już tony zacięte, przekorne i zatwardziałe. W r. 1802 założona pierwsza politechnika w Austryi praska gromadzi i co bujniejsze żywioły młodzieży. Pierwsza broń narodowa: — język — wykształca się coraz zapamiętalej i to w sposób nietylko naturalny, ale omal kunsztowny na podstawach jak najszerszych zapożyczeń z innych słowiańskich magazynów. Drukuje się oryginalne ze wszechmiar tłómaczenie Attali Chateaubrianda z dopiskami, co które rzadsze słowo będzie znaczyło. Pierwsze pokolenie patryarchów piśmiennictwa pisze niezmordowanie dzień i noc, byle było jak najwięcej tomów, byle to wszystko prezentowało się jak najobficiej. Ci dobrzy ludzie, ale słabi muzykańci, z imienia Polak, Houlbek, Puchmajer, Marek, Nejedly i t. p., dają ze siebie całe góry prac, studyów, opowiastek; a ich przyjaciele i wielbiciele agitują za tem, „ekspedyują“ te tomy „po domach“. Jestto wszystko prymitywne i naiwne, zdrowe i ludowe, ale misyę swoję spełnia znakomicie. Nawet najchlubniejsze dzieła owych czasów, np. mistrza i pradziada słowianizmu Kollara „Sławy córa“ — są to jeszcze pełzania dziecka na czworakach po omacku. Ludzie z małych miast szerzą zamiłowanie do starosławnej gwary w małomieszczaństwie. Stwarzają się solidne i szerokie podstawy przyszłej pur sange demokratycznej kultury. Równocześnie w r. 1818 założone Muzeum królestwa czeskiego, fundacya grafów Sternberków, staje się pierwszą świątynią inteligencyi, pierwszem ogniskiem wyższej kultury umysłowej. W promieniach tego instytutu opracowują pierwsi czescy uczeni europejskiego stempla, Palacki i Szafarzik, dzieła historyograficzne i archeologiczne, w których dla przyszłej kultury urabiają się mocne cementowe fundamenta wszechsłowiańskie.

W głowie ojca narodu, Palackiego, krystalizuje się już pełny program polityczny dla przyszłości. Równocześnie romantyk Macha oswaja się z wyższą artystyczną kulturą na wzorach Polskich, a romantyk Hanka puszcza w świat chytrze

falsyfikaty królodworskich i Zielenogorskich rękopisów (idąc śladem Macphersona, komponującego fikcyjne Ossyanowe pieśni), byle tylko ojczystej literaturze dać jak najodleglejsze mityczne skarby, równe Nibelungom i igorom. Ambicye i nadzieje rosną.

Atoli idyla zgodnej i harmonijnej symbiozy Michela germańskiego z Honzą czeskim i jego „mamą“ Słowiańszczyzną cokolwiek już się zaciemnia i zachmurza. Jeszcze ślą wspólną petycyę do Ferdynanda Dobrotliwego kataleptyka, o rozszerzenie przywilejów *dla drugiego języka własti,* jeszcze butika Terpsychory jest utrakwistyczną, jeszcze się tam grywa czasem pogodny idylliczny wodewil: „Czech i Niemiec“, ale już coraz rzadziej, coraz rzadziej. Lud czeski, który już przeczytał swoje dzieje, dowiaduje się po raz pierwszy o minionej potędze swej w XIII i XIV w., „o szekspirowskiem „Morzu Czeskiem“, o swej wspaniałej kulturze w XV w. — i po raz pierwszy może od lat stu kilkadziesięciu marszczy brwi i zamyśla się posępnie... Już teraz i domyśla się, co zawdzięcza „hiszpańskim pryncom“ z wiedeńskiego Burgu, co „Krucygerom“, „Braniborom“ z Północy. I posępny, utajony gniew ludu tego symbolizuje się cały w mocnej, mądrej i agresywnej satyrze politycznej Hawliczka Borowskiego. Tu i owdzie, przy kufelkach i lampkach wina na razie, wykwitają marzenia o jakowejś republice..., w żyłach czuć napływ tej krwi, co to już tyle buntów chłopskich wszczynała... Nadchodzi wiosna narodów, rok 1848. Wezwani na zjazd do Frankfurtu czesi, jako jedna z germańskich prowincyi, nad wszelkie spodziewanie wręcz odmawiają, a co więcej z całą już świadomością swej istności, za przewodem ojca Palackiego, zwołują wielki wiec Słowiańszczyzny do Pragi... Przybywa i eksplodujący anarchią Bakunin... młodzież jest gorącą..., przypadkiem przychodzi do ulicznych manifestacyi, pada strzał pierwszy i drugi! Na barykady! Rewolucya!

Wreszcie i bije godzina odwetu rozgniewanego Michela. Po prezencie patentu o zniesieniu pańszczyzny dostaje Praga „uśmieritiela“ w osobie księcia Windiszgraetza, a lejce austryackiego omnibusa bierze w niezgrabne łapy karykatura Metternicha, arcyreakcyonista Bach.

Ale ten rok 48 dokonał swego. Rzeczywistość twarda i realna obuchem siły militarnej uderzyła w plecy miłego Honzę, któremu, jeszcze niedorostkowi, już się coś zamarzyło o czeskiej idei państwowej... republice... samostatności... Zaśniło się Honzie ni stąd, ni z owąd, że ma siedmiomilowe buty na nogach i że już doszedł do swego celu. Armaty Habsburgów i śruba centralna kancelaryi wiedeńskich przypomniały mu smętną i jeszcze bezsilną rzeczywistość. I matuszka Słowiańszczyzna wysłaniem swoich regimentów na Węgry, ku podparciu podpiłowanego tronu Habsburgów, dała mu też wiele do myślenia... Honza, ząbkujący politycznie, zamyślił się i podrapał w głowę. Nasunęły mu się refleksye, że jeszcze sam musi rość, mieć krzepsze łydy i bicepsy muskularniejsze. Honza nabierał przekonania, że nie tylko słowem Bożem żyje człowiek, że nie tylko w literaturze eksponują się żywotne i ambitne narody, że nie tylko bibuła i zwały druków prezentują kulturę narodu. Jeszcze stary Michel mu mówił, że kultura zależy i od tego, czy Honza co dzień się myje i czy wiele mydła zużywa... Przytem radził mu Michel kupować mydło tylko niemieckie! mydło Schichta! uniwersalne mydło Schichta!

I Honza teraz wiedział już, co ma zrobić... Na złość Michelowi postanowił sobie mieć mydło własne... Postanowił zamknąć się i ograniczyć bardziej w sobie, sprężyć się i skupiać, pracować i organizować, a już tylko godziny wypoczynku przeznaczać na „Słowo Boże“ o czeskiej przeszłości, na literaturę. Czeski lud zatęsknił za ładem własnym, dostatkiem i siłą.

Na szczęście, nie za późno. Przemysł, ku któremu skierowała się młoda ekspansya sił, nie powstawał tu pod różdżką czarodziejską. Jego tradycye sięgały jeszcze Karola VI (sukiennictwo, płótno, szkło); za Maryi Teresy już cudzoziemskie kapitały stałem korytem wpływały do kraju, uprawiano lepszy len, lepszy rzepak i szkoły rólnicze powstawały; za Józefa II około 100 fabryk stanęło na stoczach gór wśród lasów.

Rok 48 oduczył Honzę takiego, jakim on jest in completo, wiary w siedmiomilowe buty rewolucyjnych cudów a na razie i ufności w jakąkolwiek realną pomoc wielkiej Słowiańszczyzny. Havliczek z Rosyi wracał już nieco wytrzeźwionym

„tylko Czechem“. Zato nauczył czechów miłości tylko do siebie samych, do swych interesów i swych ideałów, do swej pracy i swych nadziei, nauczył go *egotyzmu narodowego* t. j. kochania bliźnich narodów, jak i siebie samego, ale nie więcej! Nie więcej!

Szczęśliwy, że mu oszczędzili jego mistrzowie szczytnej roli Mesyasza narodów! Szczęśliwy, że mu nie przykazywano czekać cierpliwie na Królestwo niebieskie, gardząc ziemskimi dostatkami i materyalną siłą. Szczęśliwy po trzykroć czeski Honza, że po starej Babiczce i mamce Biecie nie dostał za mentora „rozumnego szałem“ „pijanego natchnieniem“ i niemiecką filozofią oszołomionego mentora, któryby mu w rozpieszczonych oktawach gloryfikował młodziankowy *„heroizm ofiary“*, bagatelizując i szydząc z męskiego i twórczego *heroizmu obowiązków.*

II.

Czasy Bacha i wszechpotęgi biurokratycznych pasorzytów — to najsmutniejsza karta w dziejach zarówno czechów, jak i galicyjskich polaków. Strumień życia narodowego zapada znów od czasu do czasu pod ziemię. Do pełnoletności przychodzi po znoszącym pańszczyznę patencie Ferdynandowym największa i najszersza warstwa — lud, a punkt ciężkości z życia małomieszczańskiego przesuwa się zwolna na życie wsi. Pomimo zaciekłego ucisku centralistyczno-wszechgermańskiego, przybywa już i czeskich pism peryodycznych. Do pierwszego literackiego z r. 1806, do pierwszego naukowego z r. 1821, dołącza się około r. 1850 aż 7 czeskich; nie jest to wiele, ale i niemało, gdy się zważy, że dopiero właściwie drugie pokolenie umie czytać po czesku i rozumie. Ze zdobywaniem Moraw dla czeskiej idei narodowej idzie ręka w rękę zdobywanie jak najszerszych warstw sedlaków dla kulturalnego uświadomienia. Już i do uniwersytetu i do politechniki przedostają się czesi jako profesorowie, już w korytarzach uczelni najwyższych śmielej brzmi „idjom słowiańsko-czeski“. Teatr jest nadal utrakwistycznym, czy to w redutowych salach na Rożanej, czy w Arenie i najciężej musi walczyć z obojętnością publiki praskiej. Zainteresowanie się nim rośnie dopiero, gdy

repertuar narodowy dostaje dwóch przepłodnych dostawców, Klicperę i Tyla, z których każdy płodzi po kilkadziesiąt dramatów patryotyczno-rycersko-średniowiecznych, taszcząc na scenę oczywiście i Husa i Żyżkę.

Ogół narodu cokolwiek chłodnieje w zapałach bezkrytycznych dla każdego drukowanego słowa, a natomiast pracuje coraz intensywniej w praktycznych zawodach, w warsztatach i na roli. Życie narodowe nabiera charakteru dośrodkowego. Poczucie siły wzrasta znów o jeden stopień po upadku sromotnym Bacha. Rok 1862, to rok emancypacyi całkowitej teatru czeskiego, który, rozwiódłszy się z niemieckim, przenosi się do własnej, tymczasowej „budy“. Rok 1863, to data narodzin nowej muzyki czeskiej w Smetany „Braniborach w Czechach“, tej muzyki, która z czasem, reprezentowana jeszcze przez Dworzaka i Fibicha, stanie się jednym z bardzo typowych przejawów genialności plemiennej i zdobędzie sobie Europę w tryumfalnym pochodzie.

Dusza ludowej burżuazyi czeskiej kształtuje się właśnie w tych latach, co prawda nie zawsze bardzo szczęśliwie, gdyż reakcya wiedeńska, pchając ją w objęcia kazionnego panslawizmu lub, przekupując dla austryackiej idei centralistycznej, demoralizuje ją tendencyjnie. Są to właśnie czasy renegatów Preclitschków w Galicyi, jako „forsteherów“, „krajshauptmanów“, „hofratów“, wyśmianych świetnie przez naszego Lama i czasy takichże precliczkowych renegatów czeskich na rosyjskim uniwersytecie w Warszawie, ubierających się w czamary, wielbicieli Milutina i Czerkaskiego.

Ta sama era narodzin burżuazyi kształtuje też młodoczeski liberalizm, ta sama w początkach swych wyszydza przepiękny poemat Mahy: Maj, w końcach swych przemilcza Zeyera, ogładza wielkiego mistrza malarstwa Manesa. Patryotyzm z tych czasów lubi na niedzielę odtańczyć sobie kamarińską na przekorę Wiedniowi, słowiańskwo tych czasów jedzie do Moskwy Katkowa i Tołstoja, jako do Mekki antygermańskiej. Na te lata przypada też zadrażnienie największe stosunków polsko-czeskich, w tych latach grasuje nagminnie typ czeskiego parweniusza i karyerowicza, typ uniżonego lojalisty to

dla Petersburga... to dla Wiednia. Egotyzm patryotyczny zwyradnia się w kierowniczych grupach w egoizm szowinizmu, podszytego kultem dla despotyzmu. Są to czasy ciężkiego i ciemnego przesilania się czeskiej idei politycznej. Nie grzebiąc w tem dziś już opuszczonem śmietnisku poronionych kombinacyi historyozoficznych, zaznaczyć trzeba, że pod tą zewnętrzną skorupą lawy, brzydką, brudną i twardą, rozpościerało się życie żywe i bujne, wytwarzające specyalne formy solidarności narodowej, specyalne instytucye narodowego uświadamiania, specyalny ton demokratycznego egzystowania. Szkoły, macierze, besedy, wystawy świętojańskie, nalepki, podatki narodowe, te wszystkie charakterystyczne kształty solidarności społecznej wytwarzały się w myśl podszeptów ducha plemiennego. Z wzrostem przemysłu ludowego, artyzmu w pracach zimowych na wsi, wzrasta i strawna literatura ludowa, szeroko się rozlewająca, fortunnie zaczęta standardworkiem B. Nemcowej „Babiczką“, podpierana talentem Trzebickiego, a do dzisiejszych czasów dochodząca w nazwiskach: Reissa, Bahra, Szimaczka, Sztecha, Kronbauera i innych. Wielką twórczość w mocnej prozie i wykwintnej już poezyi sygnifikuje tryumwirat trzech filarów literatury: Neruda, Cech i Vrchlicki. W nich już powieść, dramat, nowela, feljeton i wszystkie wogóle formy krasopisarskie otrzymują całkiem świadomych, europejskich i bardzo płodnych przedstawicieli. Smak ich i styl, tresura umysłowa i dyscyplina artystyczna emancypują się z pod popularno-spiessbürgerskich modelów i patronów niemieckich, a widoczne skłanianie się ku romańskiej kulturze, francuskim wzorom — w wielu już pracach się przebija.

Wreszcie i sztuka dramatyczna dostaje swój chram godny tumu świętego Wita, w pamiętnym roku 1881. W tych warunkach Narodne Divadlo staje się istotnie i świątynią w Efezie i miejscem Dyonyzejskich „sławności“, Pielgrzymują doń tłumy z najdalszych stron i zakątków Bohemii. Uroczystość otwarcia staje się w wielkim stylu świętem narodu. I choć złośliwem losu zrządzeniem 12 sierpnia tegoż samego roku wszystko jednej nocy idzie na pastwę płomieni, naród czeski

już genialnie solidarny, ambitny, czujny, bogaty, wici smutne otrzymawszy, groszowemi datkami w dni kilkanaście zbiera jeszcze większy fundusz. I staje po dwóch latach jeszcze wspanialsza „kapliczka nad Wełtawą“, monument *aere perennius!* Ten symbol renesansowy narodowej woli i siły długi czas teraz będzie streszczał w sobie sumę najrozmaitszych przejawów duchowego żywota. Wszystko wysili się na to, aby w tej świątyni Piękna język czeski miał już ton imperatywny i pański. Do apelu staje cały szereg twórców dramatycznych, jak Halek, Samberk, Stolba, Bordech, Wł. Cech, Szubert, wśród których na pierwsze miejsce wybija się pierwszorzędny mistrz słowa, poważny, mocny i pański twórca Jirasek, świecący kolejno cały szereg zasłużonych tryumfów, szczęśliwy autor „Margrafa Gerona“ i istnego snu czeskiej nocy letniej: „Latarni...“

Na polu a raczej ugorze politycznym czesi patentem konstytucyjnym z 1860 r., czując się skrzywdzonymi, rozpoczynają swój absenteizm parlamentarny, bodaj że niefortunny. Obiecany współabsenteizm polski w ostatnej chwili zawodzi, pomnażając wzajemne gorycze, niechęci i żale... Rewanżując się za bezsprzeczne zaparcie się czechów przez pobratymców galicyjskich, przezywają odtąd „Narodni Listy“ a z niemi wszyscy młodoczesi i całe Czechy Królestwo Polskie „Powiślem“. Wreszcie za Taaffego następuje zelżenie w napięciu antygermańskiem przeciw Wiedniowi i absencya się kończy. W r. 1882 dostają czesi własny, pełny uniwersytet po długoletnich, mozolnych, ale pełnych taktu, powagi i sumienności staraniach, nie stanowiących żadnej analogii z hajdamackiemi ujadaniami i borbami działaczy-borytieli ukraińskich. W Narodnim Divadle to Vrchlicki to Smetana zastawiają przed swym narodem dosłowne uczty artystyczne, a Szekspir kanonicznie i pietystycznie wystawiany staje się własnością kulturalną czechów.

W r. 1885 daje Honza wielki jubileuszowy koncert swej pracy realnej i swego patryotyzmu przemysłowego i gospodarczego w Pradze. Egzamin *cum summa laude* zdaje już przeszło 4-milionowy naród. W r. zaś 1892 na wystawie teatralno-muzycznej w Wiedniu czeska muzyka i czeski teatr święcą

wielki absolutny tryumf sukcesami „Dalibora“, „sprzedanej narzeczonej“, „Dymitra“ i pięknej poezyi Vrchlickiego. Nawa narodu czeskiego z potężnego i trwałego materyału zbita płynie spokojnie ku tajemnym dalom przyszłości, nie przechylając się na boki nawet przez to obecne, gorszące omal polskie rozprzężenie wśród brygady swych marynarzy; płynie spokojnie, bowiem u steru nawy stoi z zakasanemi rękawami dzielny Honza, dojrzały, dorosły, twórczy, trzeźwy lud.

Od czasu jeszcze, kiedy zwyciężył t. z. pozytywny kierunek polityczny t. j. aliaż jakoby cośkolwiek z naszych dawnych haseł organicznej pracy, a coś niecoś z ugodowego realizmu, w każdym razie kierunek chemicznie wyprany z wszelkiej blagi idealistycznej i przelicytowywania się we frazesach, tempo życia ogółowego wzmogło się też niesłychanie, a sukcesy narodowe mnożą się mimo pozornego zniechęcenia i braku oryentacyi na samej życia publicznego powierzchni. Niesłychane zróżniczkowanie się w programach i doktrynach polityczno-socyalnych nie tyka ani na jednym punkcie peryferyi solidarności i ekspansyi gospodarczej, nie oziębia ani o stopień wysokiej temperatury uczuć narodowych. Może w jedynych Czechach istnieje dosłowna doktryna i partya patryotycznego socyalizmu. Najzagorzalszy socyal-demokrata uzna w pośle leaderze Kramarzu działacza europejskiego gestu, dzięki któremu bawełna z 250,000 wrzecion jedzie już i do Indyi. Pod hasłem kooperatyw sunie swój ku swemu i wszyscy są silni swym zespołem. Ten kapitalny zespół podziwia się i w Narodniem Divadle, i zazdrości się go na Cieszyńskim Śląsku, w kapeli Filharmonii i na zebraniach politycznych na Morawach, ba, nawet i w amerykańskich koloniach i u cukrowników, na Wołyniu. Nie trzeba ich sądzić według polemik, waśni, podkopywań i intryg stronnictw, klubów, swarów i zapienionego wrzasku dziennikarzów, ale trzeba ich widzieć i admirować, gdy będzie chodziło o czeski uniwersytet w Bernie (w 1908 r. odmówiony) lub o regulacyę Wełtawy czy Łaby! Wtedy ta brygada czeska ze 108 ludzi, na 8 klubów niepotrzebnie rozbita, da wielki spektakl karności, jak go dawała już tyle razy, choćby ostatnio przy wystawie r. 1908; nawet *enfant terrible* Klofacz nie wyrwie się wtedy ze swoim roz-

wichrzonym indywidualizmem, jako nasze Filipy z Konopi się wyrywają, by potem uciec... na Pragę...

I choć tej załodze z parlamentarzystów i polityków czeskich możnaby wiele zarzucić, choć sukcesy na polu politycznem czechów nie mogą się równać ani części ich sukcesom kulturalnym, to jednakże z góry zastrzedz trzeba, że przegrane polityczne zewnętrzne bynajmniej nie paraliżują życia wewnątrz, nie demoralizują, nie wywołują stanów tak klinicznej depresyi ogółowej, jak np. u nas. Na szachownicy austryackiej polityki mogą zgorączkowani leaderzy brać mata po macie, a w kraju puls życia bije całkiem równomiernie. Po odniemczeniu Pragi — i całej plejady miast czeskich przychodzi kolej na wytrzebienie napływowej szwabszczyzny z miast morawskich. Już nie jedno, ale cztery muzea mieści w swych murach złota Praga i nie jeden bank, lecz cztery wielkie a moc i przemoc małych „załozni“ choćby w najmikroskopijniejszych miasteczkach. W pejzażu Szwajcaryi czeskiej stare ruiny dziwnie nie kłócą się a harmonizują z kominami fabryk i „zawodów“, 150 zamków starych tworzy pendent do 150 cukrowni. Typ Wielkosedlaka zaczyna być typem herbowym Czech. Wszędy gospodarka najintensywniejsza, najpostępowsza, wszędy rola i gleba „uprzemysłowiona“. Szkoły fachowe i szkoły gospodarskie kształcą młodzież, której patryotyzm polega na pracy, sporcie, oszczędności, erotycznej normalności, fizycznej sprawności, znajomości dziejów ojczystych nie na deklamacyach i historycznych atakach... Nadprodukcya intelegencyi pcha młody narybek do industryi i handlu, nie do pajdokracyi dyletantyzmu literackiego, strajków, bojkotów, szpitalów i nędzy. Budżet oświatowy w r. 1907 wynosił w samem Król. Czeskiem 43 mil. koron, analfabetów czechów jest 4.26% w Austryi (gdy polaków w Galicyi 40.82%, a w Królestwie ?.. a w Warszawie ?...). Czeskich gimnazyów w Austryi istnieje 52 (polskich 49), realnych szkół czeskich 43 (polskich 11), politechnika praska i berneńska miały w r. 1907 czechów 2,952, uniwersytet praski przeszło pięć tysięcy! W języku czeskim wychodzi 320 pism politycznych, 530 niepolitycznych (w r. 1885 było wszystkiego 175), jedna polityczna gazeta przypada w Austryi na 18,900 czechów (na 44,762 polaków). Uzupełniające szkoły przemysłowe dla

rzemieślników ukończyło w r. 1907 niemców 56 tysięcy, czechów 55,998, polaków 7,067; stowarzyszeń rękodzielniczych jest w Czechach 328, a członków 54,230 i t. d. i t. d. Sokół czeski liczy w ogólnej sumie do 70,000 członków... Czechów po ministeryach austryackich jest mniej więcej cztery razy tyle co polaków... Teatrów czeskich w Pradze jest obecnie sześć, a trup amatorskich, zorganizowanych w stałe związki przeszło 60. W Otta „Słowniku naukowym" współpracowało przeszło tysiąc stu uczonych czeskich. Oto wonna cyfr wiązanka; Czesi mogą jeździć swemi wagonami, ścigać się swemi automobilami i swemi rowerami, grać na swoich instrumentach, pisać swoją stenografią, zarzucać świat swemi gramofonami, pić swoje piwo i swoje wino, wyrabiać swoje maszyny drukarskie i drukować na swoim papierze, mają samodzielny eksport i import, tani kredyt dla wszystkich spółek udziałowych, zorganizowany kapitał. Oparci na samych sobie, mogą sobie zupełnie wystarczyć, nie oglądając się na nikogo w Europie. Szacunek, jaki dla małego ledwie, że siedmiomilionowego narodu, żywi cała rasa anglosaska, sympatya, z jaką do nich odnosi się nawet tak wstrętnie egoistyczna Francya, i bojaźliwa nienawiść, jaką względem czechów pieni się zdegenerowany prusactwem pangermanizm, są najwyraźniejszemi, sprawdzonemi dokumentami wartości tego jedynie kulturalnego z narodów słowiańskich.

Pozostawałaby jeszcze kwestya, jak na podwalinach tak imponującego odrodzenia się przedstawia się dzisiejsza kultura form bytu, towarzyskiej egzystencyi, wyrobienia światowego, dobrego smaku, wykształcenia, stosunek do sztuki i piękna, wreszcie korona życia, kultura duchowa. Otóż i na tych polach i w tych wyższych i wysokich regionach zanotować przyjdzie same plusy i progresy. Czesi zwolna ale systematycznie wyzwalają się ze swojej poczwarkowej fazy małomieszczaństwa. Społecznością demokratyczną zostaną już zawsze, a w typie ogłady zewnętrznej najwięcej zbliżać się będą do rubasznych i swobodnych Amerykanów. Nie mieli wieku XVIII w swych dziejach i nie mają szlachty. Wprawdzie obecnie, po Lobkowiczach, Thunach, Harrachach już coraz więcej rodzin arystokratycznych od wieków zniemczonych, zaczyna pośpiesznie się czechizować (świeżo hr. Kaunitz, pisząc się Kounic, ofiarował 600,000 koron na Dom Akademicki w Bernie), wprawdzie wszyscy członkowie dynastyi habsburskiej uczą się obowiązkowo i mówią po czesku, atoli oficyalnego high-lifu czeskiego jak nie było, tak niema, „salonu" czeskiego, jako w pojęciu terenu artystyczno-kulturalnego, nie było, niema, a życie towarzyskie, niestety, nadto z niemiecka centralizuje się poprostu w kawiarni czy w knajpie. I na tem to polu, jak niektórzy twierdzą, mogliby wiele (czy jedynie tylko) zyskać bracia z nad Wełtawy w bliższem zetknięciu się i zaprzyjaźnieniu z braćmi z nad Wisły...

Stosunek do literatury i sztuki także przybrał już całkiem europejskie formy. Imię niegdyś zlekceważonego mistrza „Manesa" nosi dziś wielkie i silne stowarzyszenie artystyczne, mające swój pałacyk sztuki, swój świetny, od 10 lat wychodzący organ wyłącznie artystyczny „Volne Śmiechy" i drugi sztuce stosowanej poświęcony „Style", swoje zakłady reprodukcyjne. Czeski naród wydał największego i najoryginalniejszego dziś rzeźbiarza słowiańskiego Franc. Bilka. Malarstwo czeskie liczące się dopiero od drugiego pokolenia, ma już kilku twórców wielkiej marki, by tylko Uprkę, Kalvodę, Panuszkę wymienić. Obrazów z „wystawą" po prowincyi jeżdżących nie tylko już nie krają ni opluwają mili parafianie, ale je... kupują. I mecenasów sztuki, idących śladami Wojciecha Naprstka, czy fundatora milionowego Hlavki i kolekcyonistów w typie dawnego zbieracza szkła pana de Launa, mają Czechy bogate coraz więcej. Całkiem zwykli panowie Duda i Stetka rozpisują np. własny konkurs na dramat. Może i niezbyt błahym a nieco zaciekawiającym będzie i taki szczegół, że Praga ma trzeci w świecie największy zbiór drzewo i miedziorytów (de Launa), a Czechy drugiego z rzędu w świecie kolekcyonistę... orchidei (Roezla)...

W stosunku do literatury charakterystycznem jest, że nazwę zlekceważonego niegdyś poematu Mahy: „Maj" przejęło największe i potężne stowarzyszenie pisarzów, liczące do dwustu członków. Jak w życiu gospodarczem, tak i w inte-

lektualnem, wszystko tu zorganizowane i składne. Wychodzi moc książkowych miesięczników i tygodników..., różne ducha kierunki w Europie odzwierciadlających; obok starożytnej „Osvety“ (Biblioteka Warsz.), całkiem nowoczesne: „Nowina“, „Maj“, „Lumir“, „Moderni Revue“, („Mercure de France“), dawniej „Kvety“, „Rozhledy“ (Hlidka), „Nov Zivot“, (modernizm chrześcijański) i moc innych. Piśmiennictwo przeszło już dawno erę edukowania, poprawiania i „krzepienia serc“ narodu. Idee Cecha, Nerudy, Vrhlickiego przeszły w krew i żyły całej nacyi. Nowe pokolenie stanęło już raczej pod rycerskim proporcem wytwornego artysty Zeyera. Nie mają czesi nadal kwalifikującego się na europejski eksport dramatu, z wyjątkiem Kvapila, Hilberta, Mrstikon, nie mają (poza Breziną) istotniejszej liryki t. j. tej najmniej potrzebnej, a u nas zachwaszczającej wszystko profuzyi osłabłego, schorowanego, niewolniczego i skobieconego ducha rasy, ale mają doskonałą prozę beletrystyczną, wprost świetną krytykę literacką, (Szalda, Wodak, Krejczi, Prohazka, Marten), bardzo interesującą satyrę polityczną i społeczną (Machar, Dyk, Neuman, Horky, Losztiak, ba, nawet An. Sova), która stojąc już na stanowisku bardziej krytycznem wobec przesycenia całej atmosfery postulatami, interesami i frazesami narodowemi, opierająca się bardziej na realistyczno-radykalnych doktrynach grupy profesorów Masaryka i Drtiny, stara się nieco przewietrzać Czechy i oczyszczać od nadwyżek blagi wlasteneckiej. To zresztą emancypowanie się lekkie od presyi przesadnego i już dokuczliwego nacyonalizmu, od idolatryi „swojszczyzny“ odczuwać się już daje i w malarstwie ostatniem, poszukującem ponad — i pozanarodowych stylów, dróg, technik, motywów, kształtów, barw i w muzyce (Foerster, Weiss, Nedbal, a szczególnie Nowak) i w poezyi dramatycznej czy innej, emigrującej masowo z terenów rodzinnych w najegzotyczniejsze ziemie, czasy, epoki, w dziedziny legend, bajek, byle nie rzeczywistości. Dochodzi do tego, że punktualni praktykanci pocztowi płodzą, przedrzeźniając Maeterlincka, tragedye renesansowych książąt, a skrupulatne Remington-mamselle ze sklepów tęsknice swe do mężczyzny mocnego wierszem wygrywają, kontefretując się jako bra-

banckie czy burgundzkie pryncessy. Jest to nieszkodliwe, gdy się zważy, że tom druku kosztuje 50 złr., tylko, że bezcelowe wobec braku chętnego temu ku świata czytelniczego. Wielka reszta literatury pracuje solidnie i sumiennie nad transponowaniem, kompromitowaniem życia czeskiego dzisiejszego w powieści, noweli, dramacie i komedyi w takiem świetle, na jakie ono wedle indywidualnego temperamentu twórcy, choleryka czy sangwinika, melancholika czy abnegata... zasługuje. Z dowolnego kompletu takich książek poznać można bardzo już gruntownie dzisiejszy nurt życia czeskiego w Pradze, na prowincyi, na Morawach, w Wiedniu, w Ameryce, na Wołyniu, w Tatrach, w rajskiej „Hanie“, w kopalniach, w fabrykach i na okręcie.

Cała literatura, podobnie jak i nasza, czeka niecierpliwie na swojego hr. Melchiora de Voguë, lub w gorszym razie swojego Brandesa, któryby ją zechciał wywieźć z ziemi egipskiej, z domu niewoli, od swoich krytyków, swojej publiczności, tak od kultu, jak i od zapoznania przez swoją własną partyę, patryę i parafię; inaczej czeka na „swojego“ francuza, któryby ją „odkrył“, sprezentował Paryżowi, Francyi, Europie i... sobie nie zaszkodziwszy, i nam innym wszystkim pomógł...

Czeka na to i czeski Honza, dziś już dojrzały mężczyzna, „wielkosedlak“ z małym brzuszkiem, dobrobyt figurującym; czeka, patrząc z góry na swoich małych chłopaczków, uganiających się po polu za zwiewnemi „Pampeliszkami“ wszelakich egzotyzmów, ultrasymbolizmów, hyperestetycyzmów i supradekadentyzmów... I cierpliw jest wielmożny pan Honza, bo wie, że druk tomiku kosztuje najwyżej 100 koron i to na „własnym“ papierze, „swojskiemi“ czernidłami na „rodzimych“ maszynach drukarskich...

III.

Stosunki wzajemności literackiej i wymiany swoich utworów między dwoma jedynie bratnimi narodami zachodniej Słowiańszczyzny są dopiero w stanie ząbkowania.

Na przestrzeni dziesięciu lat mniej się tłomaczy ze spokojnej, krzepkiej i życiu przyjaznej literatury Niemcowej, Nerudy,

Zeyera, niż w jednym roku, ba! w jednym kwartale z haszyszowej, trującej i tępiącej witalną energię młodzieży literatury zatraceńców Wschodu. Nasza nieznajomość literatury czeskiej podobna jest do tej ignorancyi, jaka się zachowała w tradycyi po ks. biskupie A. Załuskim, człowieku tak zresztą wszechogarniającej wiedzy i tak światłym. W jednym z listów swoich, przechowywanym dotychczas, w przejeździe do kąpiel w Czechach, pisze on, „że są tu jakowiś ludzie wśród Niemiaszków, gadający językiem bardzo naszemu podobnym.“ Już atoli inny biskup, nieco później żyjący, ks. Kossakowski, wydaje pierwszą wiadomość polską o literaturze pobratymczej koło r. 1803: „Rzut oka na literaturę czeską.“

Dzisiaj nie tłómaczymy atoli z tego języka prawie nic, aczkolwiek w wieku XIV. i XV. jemu zawdzięczamy swój wyższy poziom kulturalny i, aczkolwiek oni np. tłómaczą już w XV. wieku takie pieśni religijne Władysława z Gielniowa, lub np. pierwszy polski utwór świecko-dramatyczny Reja, myzogyniczny, dyalog Warwasa z Dykasem (jedyny tegoż rękopis w Muzeum Narodowem Czeskiem).

W r. 1834 wydaje krótki zarys literatury czeskiej K. Winarzycki, a pod wpływem poczęcia się idei słowiańsko-rasowych i filozofowie nasi i uczeni nawiązują stosunki ze światem naukowym czeskim, kiedyś na krótko tylko zadzierżgnięte między ojcem slawistyki Dobrowskym a naszymi badaczami literatur: ks. Adamem Czartoryskim i Bandtkie-Stężyńskim. Libelt i Trentowski jeżdżą do Pragi, gdzie są znani i tłomaczeni.

Wpływowi historyozoficznych idei Trentowskiego poddaje się jeden z najgorętszych, herbowych patryotów czeskich, publicysta Karol Havliček-Borowski, legendarny słowianofil, otoczony w Czechach przez lud kościuszkowskiego aureolą omal bohaterstwa i męczeństwa.

Dopiero po 48. roku i po zjeździe praskim zaczynamy się goręcej zajmować Czechami. Charles Edmond Chojecki po powrocie z Pragi wydaje dwutomową, kompilacyę pół-naukową p. t. „Czechia i Czechowie“. Eliszka Krasnohorska tłómaczy bardzo poprawnie „Pana Tadeusza“, a powieści Dzierzkowskiego, Zacharyasiewicza, Bałuckiego, Wilczyńskiego, Czajkowskiego,

M. Pawlikowskiego raz po raz pojawiają się na praskich półkach księgarskich w tłómaczeniu Klika, Kosznara, Nečasa lub wreszcie serdecznego przyjaciela Polaków, a już szczególnie Krakowa: Szwaba-Połabskiego. Z poetów, o ile wiemy, Siemieński, Wasilewski, Asnyk i wreszcie Słowacki, znajdują translatorów w p. Vondračku, Volaku, Nečasie i w naszej literaturze jawi się kilku świadomych przyjaciół piśmiennictwa czeskiego, jak zmarły Bronisław Grabowski, a z żyjących profesorowie Baudoin de Courtenay, Brückner i uczony spraw aryjskich, druid gaelicki, szanowny poseł kaliski Parczewski. Potężny wzrost naszej literatury, symbolizujący się w trzech nazwiskach: Sienkiewicza, Prusa i Orzeszkowej, powoduje w Czechach wzmocnienie ruchu tłomaczeniowego. Dr. Bożywoj Prussik i Krebda zaznajamiają Czechów z Reymontem, Żułaskim, Kisielewskim; p. Rácek specyalizuje się w Sieroszewskim; Tetmajera tłomaczyli p. Maternowa (także Konopnickiej „Italia“), K. Rieger i Pawlista, Przybyszewski ma tłomaczów w p. Brzeska i Fučiku, a bardzo inteligentnego i fanatycznego propagatora i tłómacza w p. Mirosławie Kropačku. Weysenhoffa tłomaczył p. Vondraček.

Oczywiście wpływa też na niepomierne zwiększenia ilości tłomaczów z polskiego i ta okoliczność, że w Pradze istnieje prywatna szkoła nauki *specyalnie języka polskiego*, rok rocznie wypuszczając w świat przeciętnie 80 osób, mówiących dobrze po polsku!

Otóż tej rzeczywistej przyjaźni dla naszego piśmiennictwa i tej imponującej liczbie tłomaczeń z naszej literatury my przeciwstawić możemy bardzo mało. Nawet jeżeli już uwzględnimy bezsprzecznie znacznie skromniejszy stan i dynamikę literatury czeskiej, zbyt mało. Nie mówimy już o pracach krytycznych i informacyjnych. Tu broszurowy zarys prof. Zdziechowskiego p. t. „Karol Chynek Macha i byronizm czeski“ stoi prawie odosobniony.

Rzetelny przyjaciel i tłomacz poetów czeskich, M. Szukiewicz, od jakiegoś czasu milczy, jak zaklęty. Tu i owdzie bardzo sporadycznie jawią się informacyjne szkice dr. Franciszka Krčeka ze Lwowa, prof. Magiery, lub rapsody krytyczne świetnego stylisty, p. Nalepińskiego. Tłomaczy się bardzo mało,

i to tylko rzeczy krótkie, nowele, coś z Jiráska, z Nerudy, Cecha, to z Arbesa lub Machara. Jedyny wyjątek stanowią dwa tomy Zeyerowe Zenona Przesmyckiego, okupujące niejako swoją wyrafinowaną doskonałością, nieskazitelnością swej polszczyzny i prawem, serdecznem ukochaniem szlachetnego romańskiego samotnika przez jedynego, dziś żyjącego pełnego reprezentanta polskiej pańskiej kultury — tę wielką krzywdę, jaka się dzieje bratniej literaturze czeskiej przez jej całkowite z naszej strony przepomnienie. Ale to też od Przesmyckiego, jak wiele innych inicyatyw i poczynań, broniących kultury zachodniej w Polsce, tak i ta wyjść powinna myśl, by się złączyło grono przyjaciół zachodniej Słowiańszczyzny u nas.

Jest nas kilkunastu może, którzy pokochaliśmy serdecznie płowego lwa czeskiego, złoty miraż królewskich Hradczan i modre lśnienia karaceńskiego rynsztunku na żarliwym rycerzu romanizmu, Zeyerze. Połączmy się w jedno kolisko pod łaskawym sceptrem przyjaciela Zeyerowego, tego, co swą wszechwiedzą uchronił młodą Polskę przed wyłącznym paryzyanizmem, przed pansyonizmem, feldmanicością i utwórzmy stowarzyszenie *przyjaciół zachodnio-słowiańskiej kultury,* literatury i sztuki.

SIEUR DE BEAUMARCHAIS
(PRZED PREMIERĄ).

Nieśmiertelność tego „wujaszka“ rewolucyi francuskiej liczy lat dwieście dwadzieścia; nic już z jego spółczesników nie utrzymuje się na deskach pierwszej Komedyi świata, cała wielka klasyczna arystoteliczna simili-rzymska tragedya jego poprzedników leży na półkach bibliotek zaśnięta na wieczność, a obie afery „Łaziebnika, Sewiliańskiego“ nawet i bez impregnujących je tonów Rossiniego i Mozarta żyją życiem ucieleśnień scenicznych trwałe, skrzące, lśniące.

Bowiem człowiek, który je powołał twórczym rozkazem do egzystencyi, był to mocny typ przyjaciela życia, przedsiębiorcy wielkich rozpoczynań, inicyatora gruntownych przemian, rekonstrukcyonisty bytu. Umiał jasnym wzrokiem przeszywać nurty spółczesności aż do jej dna, a to wszystko, co grało się w duszach jego najbliższych — najdalszych, zdołał w dwóch zamachach pisarskiej woli dramatycznie zogniskować i stać się tem samem i rzecznikiem i reprezentantem czasów.

Od zegarmistrzowstwa przeszedł do grynderstwa. Od ofiarowania pewnego pięknego poranka właśnie świeżo z edredonowych poduszek wyłonionej, jeszcze ciepłej pani Pompadour maleńkiego zegareczka, co się dał zmieścić dzięki jego kunsztowi nad kunszty w pierścioneczek na paluszek, przeszedł aż do ofiarowania walczącym o wolność Washingtonom i Franklinom całej flotylli uzbrojonej i wyćwiczonej ochotniczej marynarki „mojej marynarki.“ Były zegaromistrz, jegomość Caron, kupiwszy sobie szlacheckie *de*, kupił sobie tem samem prawo wygrażania arystokracyi na jej własnym terenie. Ucząc córki Ludwika XV. szlachetnej sztuki przerabiania paluszkami na klawiszach klawicymbałów, mimochodem wychodząc, wypisywał na ścianach sterczącego dumnie rokokowego feudalizmu: Mane Thekel... Upharisim. Mając żywe, rozfalowane srebro w swym tempera-

mencie, umiał przyciągać do siebie złoto ze wszech stron; były zegarmistrzyna obracał milionami ze swobodą Rohanów, Saganów, Richeliich. Już mu i wcale nie imponowała wzrastająca na drożdżach potęga trzeciego stanu, objawiająca się tak świadomo i tak symbolicznie w jego właśnie genialności i w jego złocie. W nim już tylko wychylała się tęsknota i ciekawość wielkiego nadchodzącego tragicznego spektaklu etyczną niosącej satysfakcyę rewolucyi; a kiedy ta zbliżała się zbyt powolnymi jak na jego gorączkowość krokami, świetny aferzysta paryski postanowił i własnoręcznie nieco ją przybliżyć.

Tymczasem zaś rozsadzały jego wyczekiwanie plany i plany. Gdzie tylko rzucił swojem okiem grynderskiem, wszystko można było zmieniać, przerabiać, konstruować, ze wszystkiego po uderzeniu Mojżeszową laseczką sprytu businessowego mógł wytrysnąć potoczek chłodnego, miłego złota; a to więc wodociągi w Paryżu, a to monopol handlu negrami w koloniach hiszpańskich, a to państwowa premiowa pożyczka, a to handlowe drogi na Suez. A to wreszcie możeby... tak amerykańską modą dało się wziąć za gardło monarchiczną oligarchię Burbonów i tak nieco przytłoczyć do ściany i nie puścić, aż zrzeknie się tych niezliczonych przywilejów, które sprawiają, że $^{9}/_{10}$ narodu smaży się w piekle wnętrza wulkanu, a $^{1}/_{10}$ narodu, z labusiami na czele i dziewczynami wygimnastykowanemi do kunsztyków, tańczy erotyczny kankan na wulkanie w takt melodyi: après nous le déluge!

Pan de Beaumarchais nie był chciwym na pieniądz. Miliony, które zyskiwał wczoraj, tracił dziś i tylko widok uruchomionego metalu sprawiał mu rozkosz niewypowiedzianą. Ot, aby się przewalało z kas do kas, z kieszeń do kieszeń. Trzeba sobie uprzytomnić, że to była historyczna godzina nietylko markiza de Sade i kawalera Faublasa, nietylko encyklopedystów i anglomanów, ale także godzina olbrzymiego wzrostu industryi i handlu, portów i fabryk. Beaumarchais nietylko był dzieckiem tej godziny, ale i dzieckiem szczęścia; pecha miał tylko w tem, że odrazu trzymał za ogon sto srok i sto businessów wzajem sobie szkodzących i że żył ściśle w stylu swej epoki, tj. kąpiąc się w różach a rwąc po drodze każdy ledwo zakwitający kwiat

dziewczęcych lilii. Nadto mając np. nobliwą pasyę wydania pełnego Woltera, uważał za konieczne... wybudować własną fabrykę papieru... własną lejarnię czcionek... własną drukarnię. Takie zaś fantazye kosztują.

Do literatury wszedł, opowiadając o swojej młodości, w masce balwierza hiszpańskiego. Dla sfer rządzących miał w r. 1775 jaki taki szacunek. Almaviva z tego czasu ma jeszcze talent, grandezzę i koncept. Powoli na posadzkach salonów przekonywał się już naocznie, że to dobre towarzystwo jego czasów jest bardzo tępą, płciowo rozbuchaną, ideowo nędzną, materyalnie pasożytną, moralnie zgangrenowaną hołotą, którą prędzej czy poźniej należy tak wytępić, jak infamny kler, pijawczo rozgospodarowany u Gallów; Almaviva z r. 1784, tj. zaledwie po 9 latach od „Łaziebnika" jest już tylko nicponiem, sprzętem, frantem i fantem, z którym stan trzeci na razie nie wie co zrobić, ale *fantem* jeszcze wspartym na istniejącym porządku państwowym, społecznym, normalnym i moralnym, tj. amoralnym i anormalnym.

Dzięki protekcyi Maryi Antoniny i królewskiego brata, Figarowe afery grano na dworskiej scenie w Fontainebleau, a zebrana noblessa, pewna siebie bez granic zaśmiewała się do rozpuku, ni na moment nie przeczuwając, że dzisiejszy golibroda jutro już brzytwą gilotyny obetnie uperukowaną głowę egoizmowi kasty pasożytnej; tylko sam dobroduszny Ludwik XVI miał moment złowrogiego niesmaku i... to podczas... partyi „l'hombra". Więc na pikowej siódemce szybko skreślił rozkaz aresztowania zuchwałego burżuja. Ale wnet za protekcyą wszystkich przyjaciół śmiechu rabelesowskiego i Fauna gallijskiego wypuszczono na wolność popularnego viveura, faiseura i pieniacza... i pieniacza.

Albowiem jeszcze pieniaczem zagorzałym był ten w ukropie kąpany wszędobylski, tryskający życiem sieur de Beaumarchais. Z procesu wpadał w proces, jak z afery w aferę. Głód sprawiedliwości za każdą cenę był w nim tak silny, jak gorączka złota. Wiedział dobrze ten człowiek o spotężniałym zmyśle rzeczywistości, że demaskując kupną i kastową sprawiedliwość parlamentu, rozdymając do niesłychanych rozmiarów taką rozprawę z sędzią

łapownikiem Goezmanem, trafia absolutyzm w samo sedno i doppinguje naskuteczniej indygnacyę coraz to radykalniej już myślącej burżuazyi. I istotnie można stwierdzić, że jego Memoiry pieniackie w Bastylijskiej cytadeli zburzyły z 5000 cegieł, a zuchwałego ich autora zrobiły wieloletnim kochankiem młodziutkiej wonczas i dopiero w świat wstępującej opinii publicznej.

Poza temi czterema dziełami wraz z „Nowym Tartuffem“ albo „Matką zawinioną,“ nie napisał Beaumarchais już więcej nic. Poetą był tylko w wolnych godzinach i to poetą pozytywnej prozy. Nieśmiertelność jego leży nie tak w jego artyzmie, ni w stylu, ani w świetności struktury, ani w natchnieniu, którego ni moment nie posiadał, ale wyłącznie w tem, że, *sam, żyjąc życiem żyjących,* umiał spętać życie i rzucić je na karty skryptu, w tem, że *pisząc czynił,* że z arki swego całkiem egoistycznego przeżywania życia puszczał w świat gołębie zwiastujące nowe potopy i nowe tęcze, i nowe przewartościowania przegniłych do szpiku kości wartości.

Takim był przenajmilszy Sieur, Piotr Caron, ex-zegarmistrz.

GOETHE, A ŻYCIE PRAKTYCZNE

I.

W nawalnym potopie prac o Goethem, które w ostatnich latach wyszły w języku niemieckim, na czoło literatury krytyczno-monograficznej wysunęły się tomy, podpisane nazwiskami, zdradzającemi bardzo jasno ich ongiś, dawniej polskie pochodzenie; najbardziej i najogólniej chwalona dwutomowa monografia wyszła z pod pióra Wojciecha Bielschowskiego; monografię siostry Goethego, Cornelii, a także biografię, uznaną za najlepszą, samego Olimpijczyka, napisał Jerzy Witkowski (Max Hesse Verlag, Leipzig); wreszcie p. t. „Goethe und die Descedenzlehre“, ważna praca o wszechgeniuszu z punktu przyrodniczego, ma za autora W. von Wasielewskiego. I wogóle wyznać to trzeba, że takiego mnóstwa nazwisk ex-polskich, wciągniętych w kulturalną, normalną pracę w piśmiennictwie niemieckiem, jak w ostatnich trzech latach, nawet proporcyonalnie biorąc, nigdy nie bywało. Nie o to jednakże w niniejszym szkicu chodzi. Między przelicznymi pracami bowiem, z przeróżnych stanowisk oświetlającemi geniusz weimarskiego orła, na specyalną tu uwagę zasługiwałaby nie wydana jeszcze, ale znana już z fragmentów, drukowanych po pismach, praca zurichskiego uczonego, Adolfa Teutenberga o „Goethem jako obserwatorze życia gospodarczego“. Mieli już o twórcy „Fausta“ wiele do powiedzenia przyrodnicy, jako o swoim antenacie (Virchow, Helmholtz), ale z tych fragmentów dzieła A. Teutenberga dowiadujemy się dopiero, jak żarliwym i gorliwym, ciekawym i skrupulatnym badaczem ekonomicznego rozrastania się sił narodu swego był napoleoński „oto człowiek“.

Pod uwagę wzięte są nietylko dzieła poetyckie mistrza, ale jego pamiętniki, listy, rozmowy notatki, akta ministra i ogromny całokształtny okres życia od chłopięctwa aż do lat

sędziwego, kultem całej Europy otoczonego wieku. Zestawienia skrupulatne A. Teutenberga dają nam pełny obraz zamiłowanego ekonomisty, interesującego się całem gospodarstwem ludzkiem, przemysłowem i handlowem, przemianą środków produkcyi, sposobami komunikacyi, nowo otwierającymi się perspektywami dobrobytu, taryfami, fabrykami, warsztatami i wszystkiem tem, *czem gardzić uczy nas od lat osiemdziesięciu nasza poezya romantyczna* i jej dzisiejsi eksploatorzy. Zdumiewać się przychodzi, z jaką gorącością i z jaką znowu powagą, z jak serdeczną miłością i z jak mocną chęcią trzeźwego, poziomego wnikania w rzeczywistość ogarnia ten największy tytan fantazyi i odkrywca całego kontynentu metafizycznej spekulacyi w II. części „Fausta“, wszystkie zjawiska życia gospodarczego, całą twardą realną i istotną stronę bytu. Już małem dzieckiem z ochotą przesiaduje godzinami to w jednej z tkalni swego ojczystego miasta, to w winnicy ojca swego pod Frankfurtem, gdzie tylko wre wrzątek pracy i zachodów. Studencik z dwoma kolegami w czasie wakacyi piechotą zwiedza węglowe kopalnie nad Saarem. W miarę lat ten interes największego poety nowoczesności dla rzeczy realnych i dla praktyk gospodarskich czy problemów technicznych wzrasta i nabiera konsekwencyi. Tak w pamiętniku, tak w „Wahrheit und Dichtung,“ jak i w rozmowach notuje twórca „Torquata Tassa“ każdy przejaw napotykanego rozwoju gospodarczego. Żadne doświadczenie nie jest mu mało ważne, żadna praca mało warta, żaden „zjadacz chleba“ mniej ciekawy lub obojętności godny dla swych „poziomych zajęć“. Poznajemy z Wilhelma Majstra, jak szerokie kręgi zatacza jego chęć poznania całego życia ziemskiego, jak żądza wiedzy rzeczy przemijających dzisiejszych, przyziemnych, ogólno-ludzkich, przebija się równie z rozmów i uwag tak młodzieńca, jak i sześćdziesięcioletniego poety, który dał światu Werthera i Fausta, tj. dwa można powiedzieć, zakony czy religie. Ówczesne życie gospodarcze mało lub wcale nie zmechanizowane, świeże, nie zasłonięte jeszcze cedułami giełdowymi, poprostu ciągle każe mu się uczyć, fascynuje go, zastanawia, a często skłania do zadziwiająco realnych i prawdziwych jasnowidzeń. Prowadzeni

przez p. Teutenberga, a dopełniając to jeszcze szczegółami z biografii i monografii tych ex-polskich autorów Bielszowskiego, Witkowskiego, Wasielewskiego, widzimy kolejno, czem wszystkiem zajmował się ten obok Leonarda z Vinci najuniwersalniejszy geniusz ludzkości, to słońce, z którego dopiero pożyczanem światłem żyły księżyce spółczesnych mu i następnych romantyzmów. W ten sposób poznajemy też bliżej życie duchowe i umysłowe tego obywatela wszechświata, poety uniwersalisty, poety promiennego, pełnego i męskiego, jednego z grona tych bardzo nielicznych poetów, dla których nawet Plato, wypędzający słusznie ze swej idealnej republiki wszelkie wierszoklectwo, zapewne zrobiłby wyjątek.

II.

Najpełniejszy i najszerszy symbol człowieczeństwa Faust jest człowiekiem czynu, zarazem i człowiekiem myśli i człowiekiem używania. Pełnia jego nie zna granic, a granice przyrodzone po pakcie z Mefistofelem zwycięsko przechodzi. Biedny prywat-docent Faust przeklina swój mus zrzekania się doczesności, swoją uczoną biedę, ogarnięty jest całkowicie żądzą bogactw, ale nie bogactw, jako miękkiej filisterskiej poduszki, ale jako środka i klucza do ogarnięcia potęgi, wolności woli i momentu szału. Pierwsza część „Fausta“ — to stosunek złota do miłości, druga — to złota do państwa. Niezwykle pouczającym komentarzem tak do pierwszej, jak jeszcze więcej do drugiej części Fausta, komentarzem, wyjaśniającym, jaką drogą szła promienna myśl Goethego, aby dojść do tak głębokiego ujęcia stosunku złota do życia, jakie z każdej strony drugiej części prześwietla, są właśnie te notatki, rozmowy i fragmenta pamiętnikowe, w których wyjawia się nam Goethe, obserwator życia ekonomicznego. W żadnym utworze świata straszne przekleństwo nienasycenia się nigdy sytością uzyskanych już bogactw nie jest tak monumentalnie uwiecznionem, jak w „Fauście“, w żadnym bezbronność nędzy tak obnażoną doszczętnie, jak w rzekomo szczęśliwej idylli Filemona i Baucisy, w żadnym niebezpieczeństwo potęgi bogactwa dla etyki nie

jest tak uplastycznione, jak w szale nie znającego granic swych sił „kolonizatora“ — Fausta.

Taką przemocność Mammona i taką jego wszechobecność we wszystkich faktach i ustosunkowaniach życiowych mógł zobrazować na wieczne czasy tylko poeta, który nie zamykał jednego oka na rozrost życia dokoła, ni też patrzył przymrużonemi arystokratycznie oczyma na poziomą pracę maluczkich, dobrobyt rodzącą. Aby dać radę tak gigantycznym problemom, jakie przewalają się i rozwiązują w „Fauście“, trzeba było istotnie wchłaniać w siebie życie spółczesne pełną piersią dojrzałego męża i wszystkie dziedziny życia poznawać od źródeł, od podstaw. Pierwszy „obywatel świata“, Goethe, z lubością zagłębiał się w arkana gospodarstwa wiejskiego i chłopskiego i w warunki egzystencyi rękodzieł i z fanatyzmem witał nadciągający industryalizm, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, jakie na razie spustoszenia socyalne wywoła nowy potentat absolutystyczny: maszyna. Najwięcej uczył się i poznawał w podróżach. Zatrzymując się wszędzie, gdzie tylko tętno pracy biło silniej, wszystko zwiedzał najpedantyczniej. Do Rzymu jedzie z jednym kuferkiem w ręku *jako kupiec* Filip Möller. Tam nie zatapia się w kontemplacye średniowieczne, a po nich nie odpoczywa na łonach comtesses awanturnic, wogóle nie wchodzi w wyższe środowiska, ale z biednym malarzem Fischbejnem włóczy się i poznaje życie zarabiających. „Włoska podróż“ Goethego tak pełną jest uwag ekonomicznych, jak pełnymi są klerykalnych egzageracyi i metaforycznych eksklamacyi nasi wieszcze, gdy się znajdą w wieczystej Mecce, na Kolizeum i u stóp protektora... Polski, Ojca świętego. Papież imponuje Goethemu kapitalnym planem *osuszenia bagien* pontyńskich; pod Kapuą zachwycony jest *żyznością* ziemi, na Sycylii zmienia marszrutę, żeby być w słynnych składach i *magazynach* zbożowych.

Twórcę „Werthera“ (tego typu, który w zaściankach Europy żyje po dziś dzień w epigonim narybiu), twórca przeczystej „Ifigenii“ rozpisuje się szeroko nad rzadkim wówczas... płodozmianem w Badeńskiem, pod Heilbronem cieszy się bezmiernie i namiętnie z wysokiej *kultury ogrodów* owocowych, w Wiesbadenie zwiedza przez kilka godzin *fabrykę piór,* a w Saksonii od salin wędruje do kopalni cyny, od kopalni cyny do srebra. W powrocie z Karlsbadu wstępuje do Chemięta, byle tylko obejrzeć specyalnej metody maszynę tkacką.

Gorąca radość bije z jego słów, gdy notuje postępy techniki w produkcyi, nowe systemy, nowe zdobycze. Nie ominie jakiejś huty szklanej, żeby jej nie zwiedzić po raz... trzeci. Dni całe spędza na konferencyach z Anglikiem, sprowadzonym dla melioracyi rolnych w wejmarskie miniaturowe państewko. Tam zwiedza skrupulatnie obejścia chłopskie i notuje różnice w cenach... krów, owdzie całą stronę poświęca domowemu przemysłowi... pończoszniczemu. Co widział, czego się nauczył w kantonie Zürich, to czytamy opisane w Wilhelmie Majstrze. Kopalnie w Harcu zwiedzał *kilkadziesiąt* razy. W Czechach pielgrzymuje ten twórca jedynej obok „Pana Tadeusza“ epopei nowoczesnej od papierni do koronkarni, od browaru do manufaktury porcelanowej, od cukrowni do fabryki wozów, a widok pracy zdrowej, ramion żylastych, płyt rozpalonych, kół rozpędzonych wprawia tego napoleońskiego „oto człowieka“ w formalną ekscytacyę, w radość, w dumę, daje mu, jak się spowiada, chwile najwyższego szczęścia z wspólnależenia do wytwórczej ludzkości. Tak Goethe młody, Goethe minister w dziesięcioleciu swego urzędowania długie godziny spędza na roztrząsaniu zagadnień ekonomicznych z producentami, z fabrykantami (Fikentscherem) i z satysfakcyą słucha opowiadań podróżników amerykańskich, referatów z życia meksykańskiego, składanych mu przez ludzi czynu, ludzi inicyatywy. Eckermann zastaje go raz obłożonego dokoła mapami Bremy, która wówczas budowała sobie port. Innym razem staje twórca „Fausta“ jako sędzia polubowny między pewnym... garncarzem a cechem mularzy. To znowu wygłasza mowy na otwarcie i instalacyę zakładu przemysłowego. W długim liście do Schillera zastanawia się nad bardzo chyba „niepoetycznem“ (w oczach similiromantycznych młodzianków) zamieraniem rękodzieł..., szewstwa..., tokarstwa... Tak to nie szanuje swego majestatu i prestiżu wiecznego twórca „Fausta“.

III.

Ale nie poprzestaje wejmarski mędrzec i głęboki mistyk, do najciemniejszych głębin spekulacyi w swem poetycznem słowie dochodzący, nie poprzestaje w życiu tylko na samej wszechogarniającej, miłosnej, radością życia opromienionej obserwacyi zjawisk gospodarczych życia. On wielki poeta przedmiotowości, obdarzony darem najczystszego na rzeczy poglądu, z czasem wytwarza sobie własne teorye ekonomiczne, rozstrzyga sam pewne problematy narodowo-ekonomiczne, nawet jasnowidzącem genialnem okiem na całe dziesiątki lat przewiduje pewne przewroty, procesy gospodarcze, wreszcie stawia przed oczy pewne ideały gospodarcze i fiskalno-ekonomiczne. Ten wyniosły i najgórniej w chmurach szybujący, tak często absolutnie natchniony umysł nietylko interesuje się tem, jak torf najekonomiczniej zyskiwać, nietylko notuje skwapliwie, ile morga gruntu kosztuje tu, a ile tam i ile wynosi wywóz wina z tamtąd, ale ze zmienności warunków czy stosunków, z kombinacyi dróg komunikacyjnych a rodzaju produkcyi umie wyciągać szerokie i perspektywiczne konsekwencye. Dobrobyt, płodność, abundancya nietylko cieszą w nim plastyka sensualistę, ale sam *sofos* i *widzący* tam, gdzie jeszcze wzrok spółczesnych nie sięga, umie wskazywać na nowe nieodkryte źródła bogactw, na nowe zaniedbane warsztaty pracy. Rady jego i pomysły gospodarcze zataczają szeroki łuk. Tu argumentacyą swoją popiera małe opodatkowania gruntu przy wysokiem opodatkowaniu kapitału, tam znowu uchwala szeroko uprawianie pól przez dziewięć lat, a przemienianie jej w łąki na następne dziewięć lat, tu (w Wilhelmie Majstrze), wyśmiewając biurokracyę, wyszydza politykę gospodarczą rogatek i zamknięć, owdzie znowu na 80 lat z góry przewiduje (w rozmowie z Eckermanem 1828), że zniesienie granic celnych, szosy i przyszłe koleje najwięcej przyczynią się do zjednoczenia Niemiec. Śmiało i pewnie potępia przestarzały cechowy ustrój rękodzieł, a jeszcze śmielej i bezwzględniej staje w obronie maszyn i nadchodzącego wieku „kultury maszynowej". Człowieka, który stworzył całą duchową treść lepszej części narodu niemieckiego w XIX wieku, obchodziły najistotniej nietylko

najgłębsze świętalne zagadnienia psychiki ludzkiej, nietylko ustosunkowania jednostki do Universum, dc kosmosu, do Najwyższej Istoty, ale również na dzień powszedni, taryfy cukrowe, tabele fiskalne, próbki towarów angielskich i to wszystko, z czego się składa życie nie sfer wybranych, uniwersyteckich, światłych i z światła profitujących, ale życie rzesz pracujących i twórczych. I tu należy też, w tem ukochaniu rzeczywistości, w tym szacunku Goethego dla praktycznego utalentowania, dla utylitaryzmu widzieć przyczynę jego kultu dla Anglii, którą nazywa to „nieskończenie ruchliwą matką cywilizacyi", to (a propos zaprowadzenia gazu w Anglii w r. 1816) „wychowawczynią", a Anglików, jako wszędzie „panami się czujących"... „ludźmi kompletnymi".

Sam pan hofrat mieszkał w trzech pokojach, nie mając nawet kanapy w swem *studio*, a moc pieniędzy wydając tylko na rzeczy sztuki. Własność, posiadanie, dobrobyt z pracy, gromadzenie bogactw zalecał, pod warunkiem „dopuszczania ludzi innych do współuczestnictwa w posiadaniu", zalecał, „gdyż pieniądz, pozwalając żyć w większych stosunkach, daje możność patrzenia w karty grającym wielkie partye figurom epoki", a nawet „współgrania z nimi spólnie". Zgoda, porozumienie się z życiem, radość życia, strumienie jasnego, rozumnego światła padają z pamiętników, notat i listów Goethego. Wszystko to drobne i nikłe, znikome i marne w pełnem południowem świetle jego męzkiego racyonalizmu nabiera wyrazu uduchowienia i zaczyna żyć trwale: próbka wełny, model maszyny parowej czy mapa nowej arteryi życia, tj. nowego kanału, łączącego rzekę z rzeką. Fenomen Goethe każe się wielbić i poza interesem literackim, jaki przedstawia. Kiedy się czyta omal kupieckie ściśle praktyczne notacye Goethego, opromienione blaskiem jego harmonijnej uniwersalności, zaczyna się rozumieć całą wielką poezyę życia wielkokupieckiego z jego zmożeniem oceanów, z jego przewiercaniem gór, z jego kolosalną żywotnością; zaczyna się pojmować głębszy sens i racyę takiego np. wskroś poety, wskroś artysty i wskroś zdobywcy z krwi i kości, jak Rimbaud, który przed osiemnastym rokiem życia, wypisawszy całą treść swojej duszy, uciekł przed zawsze nudnem szarem literackiem targo-

wiskiem i środowiskiem w właśnie *czynnie* romantyczne, pełne przygód, sensacyi, ryzyka, wielkich rozmachów woli i mocnych skoncentrowań rozumu życie wielkokupieckie, po oceanach i po wszech kontynentach się przewalające.

A gdy się jeszcze u nas w ostatnich czasach naczytało tyle wysilonych poetyczno-nieszczerych falsyfikatów metafizycznych różnych słabą fantazyą, zgoła nie natchnionych, a gardzących ziemią człowieko-bogów i mystifikatorów, to później z prawdziwą satysfakcyą czyta się ot tak nieidealistyczną obserwacyę twórcy Fausta, jak np. „to pod Frankfurtem z prawdziwą radością zauważyłem pierwszy raz od czasu Napoleona, że i tu małe chłopcy w kosze zbierają bobki końskie, które w ten sposób nie idą na marne“...

Obserwacya godna... no... chyba... woźnicy, a jednak wzięta z ust poety jasnowidza... mistyka..., przed którym Napoleon i z nim cała ludzkość uchyla kapelusza.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI
JUBILAT

Dnia 10. listopada r. z. „Nowa Gazeta", pragnąc uczcić niepożyte zasługi Al. Świętochowskiego, złożyła czcigodnemu Jubilatowi zbiorowy hołd w postaci numeru, poświęconego jego działalności.

Numer ten (319-ty) zawierał:

1. Portret A. Świętochowskiego.
2. „Posąg", przez Ignacego Grabowskiego.
3. „Twórczość literacka Świętochowskiego", przez Jana Lorentowicza.
4. „Ideały społeczne Aleksandra Świętochowskiego", przez W. Feldmana.
5. „Aleksander Świętochowski, jako polityk", przez St. A. Kempnera.
6. „Aleksander Świętochowski, jako filozof", przez J. Lewkowicza.
7. „Aleksander Świętochowski a wieś", przez Jana Turskiego (Agricolę).
8. Pracę Tadeusza Ulanowskiego p. t. „Dzieci", poświęconą A. Świętochowskiemu.

Obecnie, w chwili obchodu jubileuszowego, pragniemy jeszcze uzupełnić charakterystykę Jubilata poniższą pracą Adolfa Nowaczyńskiego.

Red.

I.

Lat temu z górą pięćdziesiąt debiutował po raz pierwszy w warszawskim „Tygodniku Illustrowanym" pseudonim, z góry już dobrze wróżący: Henryk Dołęga, skromnym archeologicznym artykułem o „Kaźmierzu dzisiejszym". Od tej to daty aż do dni niedawnych nie było już nie miesiąca, ale tygodnia, w którymby ta sama ręka Dołęgi, mocna i pewna siebie, nie wiodła pióra lemiesza po zagonie politycznej orki, nie kierowała

piórem-szablą, nie odnosiła piórem-laską marszałkowską w boju gorącym z hufami ciemnoty walnych zwycięstw duchowych. Pięćdziesiąt lat się skończyło, odkąd wyszedł na świat polski poważny, na miarę największych paladynów ulepiony siewca idei, by z pełnej torby siewnej, jaką mu dano, rzucać niestrudzenie zdrowe, nowe, tęgie, z niczem niezmieszane ziarno twórczych myśli, śmiałych zaprzeczeń, trzeźwych nawoływań, przestróg, zachęcań i wskazań. Odtąd, z olimpijską maską Janusa, „dwulicego Boga“, stąpa ku swej nieśmiertelności, zmuszając nas wszystkich, omal bez wyjątku, do uznawania się w swem jestestwie wobec niego myrmidonami, roznoszącymi swe światełka po kątach ziemi, którą on zdolen był tak często wraz całą nagle rozświecić oślepiającymi błyskami swej niepospolitej, a w Polsce dotychczas niebywałej inteligencyi. Czasem się zdaje, że jego głos potężny, kostyczny, nieprzebaczający grzmi z góry jak poza obłokami głos ukrytego Mojżesza. A czasem jest to krzyk rozsierdzonego Zarathustry, wyklinającego karłowatą niskość i poziomość tych, których o wiele za wiele.

Aleksander Świętochowski, aczkolwiek dawno i zdawna poszedł w patryarchy piśmiennictwa, w senatory, nie jest jednakże już tylko symbolem tych wielkich walk i zapasów, jakie się toczyły między nowem życiem a zużytemi jego dawnymi kształtami, ale dziś jeszcze w pełnej sile kieruje ze swej samotnej baszty wielką kampanią w imię trzeźwych i rozumnych idei z olbrzymiemi czeredami tytularnych ludzi. Czujność jego i niestrudzoność, cierpliwość i konsekwentne nieustępstwo nie mają dla siebie wiele analogii ni w literaturze, ni w kulturze polskiej. Twardy ten, na bazaltowym gruncie rozsiadły człowiek nie pozwala żadnej fali życia społecznego przepłynąć obok swej strażnicy niepostrzeżenie. Wpatrzony jest w byt polski, jak wielki dyagnosta lekarz w twarz pacyenta, nie wypuszczając z rąk pulsu przychodzącego do zdrowia, baczny na hektyczne jego wypieki, kontrolujący nieustanny stan rozgorączkowania, niezdrowe przesady, nieznośne grymasy, apatye fałszywe. I on, ten wielki *profesor energii* narodowej, mądry, bardzo mądry lekarz, ma tę charakterystyczną odwagę uczonego w powiadaniu wszelkiej prawdy bez ogródek, w zagrożeniu rekonwalescentowi

stanem puchlizny moralnej i gangreny całych partyi organizmu społecznego, w ostrzeganiu przed tajemnem, niewidocznem gniciem najważniejszych w funkcyach swych przyrządów, — wreszcie odwagę grożenia nawet marazmem i śmiercią.

Świętochowskiemu publicyście - dyagnoście zawdzięcza społeczność polska szereg środków leczniczych w wielkich i realnych hasłach, z których każde omal ma swoją wieczystą wartość, choć chwilowo może nie być w obiegu popularności. Praca organiczna, „życie wytężone“, mozoły u podstaw, szkółki wiejskie, odrzucenie mesyanizmu i jemu podobnych kłamnych ideologii, jako wyniszczających morfin, narkoz i hypnotyków, zdegradowanie poetyczności i poezyi z roli zakonu ogólnonarodowego na stanowisko jednego z kierunków duchowego życia — to wszystko zawdzięcza jaka-taka egzystencya nikomu innemu, jak dziś srebrzystej głowie patryarchy pozytywizmu warszawskiego. W tym skroś zdrowym, pełnym mózgu porodziła się pierwsza myśl pokojowego odebrania z powrotem Śląska drogą kulturalnego misyonarstwa i patryotycznej propagandy. Z tej głowy Jowiszowej, jak Pallas Atene, wyskoczyła w pełnym rynsztunku całkowicie ułożonego programu myśl autonomii Królestwa Polskiego, związanej ze zrzucającą okowy Rosyą. I wiele, wiele innych idei i doktryn, które dziś nawet rozrosły się do rozmiarów całych programów społeczno-politycznych, nawet *wrogich* Świętochowskiemu programów, z jego pierwszego posiewu biorą początek.

Świętochowski był to wielki pan, który, wchodząc w piśmiennictwo, dwie miał drogi rozstajne do wyboru: albo teraźniejszość i swą plemienność zlekceważywszy, zamknąć się w ścianach Faustowskiej komnaty i zwolna dawać nie swej szczupłej ojczyźnie a światu wielkiemu dzieła immanentne, brewiarze doświadczeń i rozmyślań sceptycznych odrazu nieśmiertelne i bogacące ludzkości stan ideowego posiadania, albo zdjąć ze siebie dalmatykę natchnionego stylisty i ubrać się w płaszcz pielgrzymi, wziąć kosztur w rękę i iść w naród, w młodzież, w prasę, w proboszczowską ojczyznę i wołać głosem filozofa moralisty na puszczy maleńkich egoizmów, bić głową pomazaną w mur gminy tępej ospałości.

Wybrał to drugie: posłannictwo codziennej, mozolnej, mrówczej pracy, mozół wojny z wiatrakami, młącemi niestrudzenie rodzimą plewę, wybrał niepozorną publicystykę ten wielki i bogaty myśliciel, aczkolwiek już messyanizm polski go pouczał, że ojczyznę najgoręcej kocha się... zdala, płacze za nią najrzewniej w salonach na obczyźnie, a pociesza się po niej pięknemi Delfinami, Dejanirami i Telimenami... Wybrał w myśl pozytywnego dogmatu, że w naturze jak żaden atom nie ginie, tak i żadna myśl, nawet w feljetonach gazet rzucona, nie scześnie.

Świętochowski, autor tak głęboko sceptycznej, tak chłodnej rozprawy „O powstawaniu praw moralnych“, miał o tych prawach moralnych i obowiązkach względem narodu pojęcie całkiem dosłowne, surowe, bezkompromisowe, zgoła nie romantyczne! Trzeba iść w Paryż, w Rzym, byle w głąb duszy, byle za granicę — głosili wczorajsi ojcowie zadżumionych, bardzi, pasterze narodu darzący go wspaniałomyślnie rolą Chrystusa. Trzeba iść w życie pozytywne, w szare, rozpaczne, powstańcze życie polskie! — tak brzmiało hasło wielkiego chorążego reformatorów życia: Świętochowskiego. Ale w imię tego hasła tak prozaicznego zwolna przeobrażało się życie nasze. Temperament Świętochowskiego, całkowicie oddany w służbę mózgu, ponosił go przeciw falangom biernych autorytetu niewolników, jak rasowy rumak przywiązanego do grzbietu Mazepę. Całą senność, apatyę i rezygnacyę przemęczonego już wszystkiem społeczeństwa przezwyciężała jego ognista religijność, wiara młodego kapłana pozytywizmu, wiara w człowieka, wiara w czyn moralny, wiara w owocność walki, wiara w duszy niezależność, wiara w przyszłe rządy sprawiedliwości a generalnie żarliwa zelotyczna *wiara w rozum*. Świętochowski, ten czasem pontyfikalny arcybiskup kościoła rozumu, miał w swym programie już po latach 70-tych wcielone oba motta naczelne cywilizacyi dzisiejszej: *ignorabimus* i *laboremus*, hasło całego Zachodu. W imię tego *ignorabimus* rozpoczął ogień na całym froncie, ogień rotowy nie przeciw jakiejś ortodoksyi klerykalnej wyłącznie, ale i przeciw wszelkim hyperidealistycznym mistyfikacyom wogóle, jak i przeciw całej

satrapii niedołęztwa, absenteizmu i bezrządu duszy nad rozumem.

Ignorabimus i *laboremus* — te dwa dźwięki głośne jednego dzwonu: rzeczywistości słychać w pełnym tysiącu jego artykułów, w Echach „Przeglądu“, w „listach z Paragwaju“, w „Pamiętniku“, któremi tydzień w tydzień pouczał, upominał, trzeźwił, wstrząsał i entuzyazmował młode kadry industryalizującego się społeczeństwa w Królestwie, wychowując pierwszą warstwę niezależnej inteligencyi. Nie dochodziła Prawda jego nauk do dwóch innych dzielnic zabranych, gdyż szybko tam i skrzętnie urządzono dla niej kwarantannę i komorę celną, a Świętochowskiego odrazu sprezentowano młodzieży, jako tymczasowego namiestnika szatańskiego, truciciela dusz i Lewiatana. Ale mądrość praktyczna tego *sofosa* spadała kroplami na ciemną skałę apatyi upornych i drążyła ją nietylko siłą, ale częstem padaniem, *non tantum vi, sed saepe cadendo*. Społeczeństwo, dające się mile usypiać gwarzeniami i kołysankami Pola, Syrokomli i strawną kaszą powieści Kraszewskiego, powoli kosztowało, smakowało wreszcie i trawiło idee Büchnera, Littrégo, Comta, Baine'a, Spencera, Milla, Bucklea, Taine'a, Smilesa, Tyndalla, Huxleya, wreszcie Haeckla...

Społeczeństwo wreszcie zaczęło się oswajać i z Dołęgą Świętochowskim, który sam omal dawał polskiemu zaściankowi to wszystko, co owi wielcy Realiści Zachodu.

II.

Świętochowski uczył, dość zresztą zawsze opóźniające się społeczeństwo zachodzącego już w Europie liberalizmu, kazał humanitaryzm. Nawet te nowele jego niby realistyczne, do których się przyniewalał on, widzący tylko abstrakcye, te opowiastki moralne o Krugu, o Rubinie, o Damianie Capence, te bajki o Dafne, Ludzie kamiennym, Weselu Satyra — to bywały lekcye poglądowego liberalizmu na kwestye społeczne, zawsze przepełnione mądrością pozytywną aż po brzegi ich skończenie doskonałych form. A dramata swoje dyalogowane, świetne dysertacye dawał Okoński rosnącym swym gminom jako nagrody za pilność dla społeczeństwa, powoli oswajającego

się z realnem a inteligentnem światoogarnięciem. Tak te nowele, jak dramaty pisał jednakże i cyzelował nie swobodny artysta, zdolny do abdykowania chwilowego tak ze swego ja, jak ze swej propagandy na rzecz bezinteresownej, objektywnej powagi konfliktów psychologicznych w utworze, ale tworzył nie zapominający ani chwili o swej ciemnej, wymęczonej, głodnej kultury publiczności, o swych twardołbych słuchaczach i o swem w wielkim stylu mentorstwie i posłannictwie.

Dla tego w dramatach tych wszystko jest powleczone nie iskrzącą się powłoką dyalektyki i kunsztownej frazeologii. Jednakową dykcyą, filozoficznie pogłębioną, często zjadliwie dowcipną, głęboko trafną, przebiegłą, nerwową, dosadną, tym samym językiem pełnym poetyckich amplifikacyi i najniespodziewańszych metafor mówi w nich i dzisiejszy adwokat i szlachcic z XVIII wieku i niewolnik z IV wieku i patrycyusz za Cezara. Wszystkie te postacie z nowel i dramatów stają się szermierzami i wysłańcami doktryny Posła Prawdy, uplastycznionemi abstrakcyami jego ciągu myślowego, tylko w warsztaty walki o byt wstawionemi i w codzienne realistyczne tryby i sytuacye. Ta przyrodzona urodzonemu aforyście, ale i konieczna monotonia subtelnej retoryczności często nuży. W Aspazyi, w dramacie, w którym występują tacy mężowie, jak Protagoras, Sokrates, Sofokles, Eurypides, Fidyasz, Anaksagoras, Perykles, dykcya ich niestrudzenie genialna, dojrzała, brylantowa zdaje się być wyjątkowo usprawiedliwioną. W tym to utworze greckim, szczytnem opus dramatyki Okońskiego są nawet odrębne odcienia wyrażalności u poszczególnych figur, jest wzruszające napięcie dramatyczne, szlachetna niedosiężność horyzontów myślowych, a znowuż scenicznie biorąc, ruch, życie, barwa i linia. Dla tego dramatu same moce rozumowe wystarczały, tu racyonalistyczna genialność Świętochowskiego znalazła dla się szerokie łożysko i całkowite wyzwolenie. Natomiast jednak zawodzą te intelektualne moce tam wszędzie, gdzie już nie walka na rozumy a na uczucia i gdzie dramatowi koniecznem jest tło transcendentalne silnie a tajemnie z dramatycznym konfliktem złączone.

Jak w dramatach Świętochowskiego, tak i w całem jego dziele uczuciowość, litość współczująca, humanitarność i miłość bliźniego wypływają z rozumu i z kategoryi logicznych. Często pełna temperamentu, niesłychanie przekonywająca, szturmująca retoryczność daje siłę najwyższej prawdy uczuciowej. W bystrzejszej analizie widzi się, że zło nędzy i głupstwo niedoli mąci Świętochowskiemu-Grekowi utęsknioną harmonię tego wymarzonego nieco Renanowskiego świata, w którym mędrcy *sofosy* sprawować będą rządy. I nietylko dla tego jest Świętochowski Hellenem, że w jego dramatach życie odzyskały Antea i Pauzaniasz i Aspazya i inne; i nietylko dla tego to Hellen, że w swej obrazoburczości zawsze takim spokojem imponuje, że w swym stylu przejrzysty i czysty i że poza prostotą w pięknie nie uznaje już czarów i emocyi estetycznych, ale i w tem, że jak mędrcowie greccy żadnych nie ma złudzeń co do wielkich wartości natury ludzkiej. Wzgarda pospolitości nie pozwala temu Wolteryaninowi na najlżejsze grawitacye ku zbyt lirycznemu sentymentalnemu ujęciu problemu: człowiek. Patrząc na gatunek: homo omal mefistofelicznie, chce go dopiero rozumnemi imperatywami podnieść, uszczęśliwić, chce nim cały świat zadziwić. A skoro gatunek ten nie idzie ku postępowi i przyszłości gościńcami ewolucyjnemi przez rozum wskazanemi, a często manowcami, wtedy w sofosie wzbiera gniew niepohamowany. I ta instynktowna nienawiść arystokraty intellektualisty do całkiem niespodziewanych i nieprzewidzianych ryków i skoków bestyi motłochu dochodzi czasem do takich ciekawych objawów „wrogich ludowi", jak utwór „Nieśmiertelne Dusze" lub IV część poematu „Duchów": Pogrom, satyra oświetlona bengalskim ogniem wytężonej nad miarę fantazyi.

W nieograniczonej przestrzeni przelicznych zagadnień, jakie Świętochowskiemu narzucało życie, najczęściej fascynowały go jednakże dwa; więc zależność jednostki od wielości i problem: prawdy a kłamstwa. Wszelkie formy niewolnictwa zawsze interesowały jego wolny Wolteryański mózg; aż wreszcie doszedł do dogmatu, że tylko w państwie swego umysłu może jednostka uczuć byt swój całkiem

niezależnym. Wszelkie również formy kłamstwa drażniły jego najgłębsze, najistotniejsze umiłowanie prawdy, którą za Feuerbachem zwał jedyną niemoralnością naszych czasów; aż wreszcie paralelnie do Ibsena teoretycznie uznał konieczność kłamstwa w współżyciu ludzkiem. Praktycznie nie uczynił temu uznaniu do tego stopnia najmniejszego ustępstwa, aż w polityce, t. j. w sztuce procentującego się kłamania obrał zaszczytną pozę nieubłaganego idealisty do żadnych pertraktacyi, przemian, oportunizmów i kompromisów nie skłonnego. Zamiast zostać Cyceronem układnym i ugodnym, pozostał Archimedesem, kreślącym koła na ziemi nawet wtedy, kiedy brutalne w dniach rewolucyi pięści pukały już do jego pracowni.

I jest Świętochowski od lat czterdziestu niestrudzonym organizatorem życia, składem w rozkładzie, konstrukcyonistą wśród maniactwa i monomanów destrukcyi. Czasem, jak Multatuli, pisze po prokuratorsku jeno piórem księcia de la Rochefoucaulda, czasem w nim La Bruyère szydzi zwięźle Szczedrynowską prozą, czasem Courrier rzuca groźne inwektywy na całe klany życia, całe obozy duchowe. Więcej czujący się Europejczykiem niż Słowianinem, więcej dba o skończoność formy wykwintnej jak o zgrozę, jaką wywołała wytryskiem swych zuchwałych w swojskim zaścianku myśli. Inteligencyą przeładowany, której innym nawet światowej miary pisarzom wcale niedostaje, oszałamia nas od lat tylu ogromem swej autentycznej wierzytelnej wiedzy, malowniczością swego języka, podzwrotnikową bujnością przenośni, niespotykaną u nas śmiałością niespodziewanych kojarzeń myślowych.

III.

Rzadki to, wyjątkowy i jedyny człowiek w naszem społeczeństwie ten pisarz, którego pięćdziesiąty rok służby społeczeństwu teraz obchodzimy. Żadnych w nim relatywności, żadnych niejednolitości, odlew z jednego materyału, z jednej bryły, bez skaz, bez łat, bez dopełnień. Ma wzgardę władania, a jest człowiekiem o spotężniałym intynkcie władztwa dusz. Od pierwszego swego odzewu bojowego po 1871 r. p. t. „My i wy“, stale pisze

stylem cnych manifestów. „Grandseigneur“ w każdym calu, choć lekceważył ciągłości historyczne, jednak ma w sobie bujną rasę tych polskich trybunów sejmowych, którzy w majestatycznem poczuciu potęgi jednostki rzucali na szalę dziejową *liberum veto;* ma ten sam gest i tego samego ducha, jeno z przydatkami *wszystko rozstrzygającemi,* z przydatkami podniosłego, nieskalanego etosu osobistego i zmysłu solidarności społecznej. W jego świadomej wielkoduszności nie znalazłbyś omal żadnych łącznych z krzykliwym tamtamem demokratycznych mówców wiecowego liberalizmu, gdyż cała wyrosła ze siebie, ze swego indywidualnego podłoża, krzepiona potężnemi tradycyami przestarego gminowładztwa Piastowskiego, echami sejmu czteroletniego i Towarzystwa demokratycznego w Paryżu. T. zw. „jakobinizm“ i „francmasoństwo“ Świętochowskiego jest tym samym stanem dusz wyzwolonych, który był w Reformacyi polskiej, jeszcze przedtem w Spytku Melsztyńskim, we Fryczu Modrzewskim, poczem w Aryanach, w Łyszczyńskim, Niemiryczu i wielu innych.

I jeżeli się ze stanowiska dzisiejszej młodej literatury patrzy w górę ku zanikającej już i w wielkich konturach widocznej monumentalnej postaci Świętochowskiego, dopiero beznadziejny tragizm dnia dzisiejszego występuje z całą odrażającą jaskrawością. Pomni się lata całe, w których on sam jeden, można powiedzieć, swemi jowiszowemi tylko brwi ściągnięciami więcej działał, budował i znowuż w gruzy walił, niż dzisiaj 50 placówek, z niego wyszłych ideowo. Widzi się, jak ta jego Prawda docierała do najdalszych krańców Imperyum Rosyjskiego i tam ratowała poczucie narodowe tysięcy i tysięcy inteligentów polskich. Widzi się, jak ten zdrowy, mądry śmiech pisarza „Listów z Paragwaju“ obalał całe jerychońskie mury obskurantyzmu. Widzi się, jak po jego wezwaniach powstawały i rodziły się w społeczeństwie naszem te *prawa moralne,* o których w tych pampasowych okolicach Europy i słychać nie bywało. Widzi się tego potężnego męża o Fidyaszowej głowie, tego pisarza na miarę wielkich profetów anglosaskiej rasy, jak niestrudzony, nieznużony jak dobra niańka obchodzi się z tem swem dzieckiem-społeczeństwem, ślamazarnem, skrofulicznem,

wiecznie brudnem, wiecznie zakochanem w swych lalkach romantycznych, w swych zabaweczkach, sztuczkach, mesyanizmach i morfinizmach. Widzi się Świętochowskiego, jak całe lata obciera nos temu zabeczanemu dzieciakowi, uczącemu się na nowo a tępo sylabizowania pierwszych słów elementarza kultury. A czasem widzi się go jak Xerksesa, smagającego łańcuchami żelaznych skojarzeń myślowych to polskie spienione morze złej wiary, złej woli i piętrzących się wysoko bałwanów. Widzi się tego największego artystę słowa polskiego, jak, choć w duszy ma wzgardę dla „błota zarobkowania“ i „ideałów puchnącego złotem mieszka“, a jednak zmusza się wobec tego kalectwa społecznego, które nawet ziemniaków hodować racyonalnie nie pozwala ni sprzedać funta pieprzu bez pomocy berlińskiego komisu, widzi się tego Świętochowskiego, jak na tle tej wiekuistej głupoty i niezdarności nawołuje i nawołuje do pracy, do zarobku, do bogacenia się, do obrastania kamienia! Lubownik Mozarta, badacz zagłębiony w Spinozie, myśliciel szczytów, esteta w europejskim stylu przez lat czterdzieści zapiera się swoich najistotniejszych pożądań, zrzeka się własnego pełnego i górnego życia idealnego i staje, zakasawszy rękawy, w tym stukocącym młynie idei codziennych i powszednich, byle tylko pożywną, czystą mąkę miała ta potępieńczo kłótliwa, niepoprawna i niewdzięczna parafia.

I oto teraz, kiedy słońce Świętochowskiego zdaje się już zachodzić za drugą połowę firmamentu, dopiero ciemności egipskie dają się uczuwać dotykalnie. Jak daleko spojrzysz, ani jednego człowieka, któryby mu dorastał choć do ramion. Gromadki otumanione i bezradne. „Świętochowski już nie jest popularnym,“ „przeżył samego siebie“, „człowiek starej daty“, „pozytywista hehehe!..“, „nie ma nic wspólnego z pokoleniem dzisiejszem“... Oto wiązanka najistotniejszych *pochwał*, jakie w formie zarzutów dają się słyszeć z ust niektórych „reprezentantów“ dzisiejszego pigmejskiego pokolenia.

I *prawdy* tej nie można Al. Świętochowskiemu zatajać: on nie jest popularnym w Polsce. Popularnymi nie byli ni Ostroróg, ni Modrzewski, ni Zamoyski legislator, ni Wielopolski, ni Śniadecki, ni Staszyc, ni Lubecki, ni Stanisław Potocki, ni

300 lat temu Ossoliński Jerzy. Ani *bohaterstwo rozumu*, ani *inteligencyą bojowanie* nigdy w Polsce popularnemi nie były; a już kiedy występują w tem spotęgowaniu, z takiem oślepiającem promieniowaniem i z taką pańską rozkazodawczą imperatywnością, ni rzesz, ni kadzideł, nie fanatyzmu nie zniewolą. I w tem leży wielkie szczęście samotnika Świętochowskiego, że się może odczuwać całkiem sam, całkiem światem i całkiem Rplitą i patrzyć w dół na myrmidonów, okadzających to jeszcze gliniany posąg Zagłoby, to w ostatniej fazie klaszczących histerycznemu zawodzeniu zdeklasowanego romantyzmu, to wpatrzonych w megalomaniackie giesty tragicznie bezsilnych aktorów, odnawiających bez najmniejszego powodzenia role mocnych reprezentantów nieuchwytnego mocarstwa polskiego, to może sobie spojrzeć w dół w monotonny taniec słowiańskich mattoidów przed szczerozłotym Barankiem rzymskiego wyznania.

Przed jego oczyma, jak mówi poeta, niknie już chyba w bezistotnych zarysach to, co nas wszystkich pęta: dni dzisiejszych gminna pospolitość.

ANGIELSKIE PRZEKŁADY JANA KASPROWICZA

Potężny twórca swojej „Pieśni wieczornej", osiadłszy pod Zakopanem, oddał się mozolnej pracy przekładania na język nasz co monumentalniejszych dzieł dramaturgii angielskiej. Po dawnych przekładach Szekspira i Antologii poetów przychodzi obecnie kolej na Shelleya, Swinburna, R. Browninga i W. Yeatsa. Należy się wdzięczność głęboka cenionemu poecie, że potrafił talent swój zaprządz dziś do zajęcia żmudnego, a tak małym blaskiem opromienionego, — wdzięczność tem większa, że dotyczy piśmiennictwa angielskiego, tak, niestety, absolutnie u nas przemilczanego i pomijanego. Literatura francuska już od czasu Emila Montégu ma ciągłych pośredników, stale informujących świat czytelniczy Francyi o nowych autorach i ważniejszych dziełach (G. Sarrazin, Th. Bentzon, Wyzewa, Marcel Schwob). U nas bardzo rzadko jakieśkolwiek echo o tej literaturze przeciska się na drukowane łamy, co oczywiście jest rzeczą niezmiernie szkodliwą dla całokształtu naszej kultury literackiej, ale na razie nie razi wobec braku jakiejkolwiek wogóle organizacyi duchowej w całej naszej gospodarce kulturalnej i wobec dziś już systematycznego zrywania ostatnich literackich komunikacyi z całym europejskim światem. Z czasem, tak gospodarując, ostaniemy się może w jakiej *splendid isolation* kulturalnej, nie mając współtowarzyszów niedoli nawet już w Czechach, ni w Rosyanach. Winę tego stanu szczególnie w stosunku do Albiońskiej literatury ponoszą głównie ci piszący, którzy, posiadłszy tajemnice anglosaskiej mowy i poznajomiwszy się z jej literaturą, rozkoszują się nią sybarytycznie w czterech ścianach swego *at-home*. A przecież, jak ideały polityczne i społeczne, tak ostatecznie i wszelkie ideały estetyczne i pierwiosnkowe pierwiastki kierunków literackich idą na kontynent i do nas od wielu już lat ze starej Anglii.

Tak nasz konserwatyzm z Macaulaya, Disraelego, z Carlyla, jak i pozytywizm warszawski z Darwina, Drapera, Huxleya, Spencera, Buckle'a i Milla najwięcej czerpały amunicyi dla swych argumentacyi. Po tryumfalnym pochodzie malarstwa angielskiego przyszła kolej na sztuki dekoratywne, na Ruskina, Morrisa, na sztukę dla ludu, na styl w życiu codziennem, na meble, ubiory, książki, architekturę, wille, ogrody; wszystko to szło od lat pięćdziesięciu z tego imperyum, w którem słońce istotnie nie zachodzi. Przeciskał się do nas *comfort*, a miejscami już i *cant* angielski, a tylko to, co najważniejsze, t. j. przyswajanie płodów ducha angielskiego, tak jeszcze ciągle było tylko, jak i jest, kwestyą przypadku.

Oto dla czego poecie J. Kasprowiczowi należy się wdzięczność specyalna. W trzech książkach, wydanych wzorowo przez lwowskie Towarzystwo wydawnicze, poznajemy czterech mistrzów różnych stylów z różnych czasów, a tylko o jednym i tym samym „klimacie duszy", omal biblijnym, ognistym i górnym. Pierwszy idzie *mad Shelley*, elf wątły, kobieco-piękny ze swą okrutną, posępną tragedyą „Cencich" (rok 1819). Tematyczny materyał u nas dobrze znany z dramatu Słowackiego; kiedyś Ignacy Matuszewski przeprowadził paralelę obu dzieł i — słusznie, na benefis polskiego twórcy. Jan Kasprowicz słabiutkie swoje studyum o Shelleyu (niegdyś w *Myśli*) rekompensuje teraz mocnem, jednolitem tłomaczeniem dramatu, który, co prawda, nie jest ostatnim wyrazem natchnionej prometejskiej twórczości seraficznego baroneta. Jest to niejako Król Lear na opak, udramatyzowanie starowłoskiej kroniki z 1599 r., którą w jakieś dwadzieścia lat po Shelleyu odpisał znowu *in crudo* Stendhal, opatrzywszy tak sfabrykowaną staroitalską nowelę uogólniającym wstępem. Nie ulega wątpliwości, że w dyabolicznej figurze starego hrabiego Francesca, tyrana swych dzieci, skąpca, rozpustnika, dochodzącego do zwyrodniałych objawów i kazirodczych ataków, pomieścił narcyzowo czysty „słodki Percy" wiele rysów z własnego złego ojca, sir Timothy, szorstkiego ciemięzcy w patryachalnym stylu o ciasnym, znarowionym umyśle, reakcyjnego filistra i wiernego poddanego książąt Norfolk (patrz: William B. Scott). W dramacie tym ten tylko ojciec i biedna Beatrycze występują plastycznie i żywo; reszta figur, nawet dobra macocha Lucrezia, synowie Cenciego, kardynał Camillo, są dość bezkrwiste, a, jak Taine nawet mówi: to fantomy bez substancyi. Utwór, pisany we Włoszech, w tym „raju wygnańców" angielskich, przyjęła oficyalna krytyka *magazinów* z dziką, choć nie wyjątkową wściekłością. Epitety: *infam, pestilencious* nie należały do unikanych. „Rodzinę Cencich" uznano po prostu za wielkobrytański skandal, potępiając w niej bezwzględnie ideę, naruszającą autorytet rodziny i przeklinając ziarna rewolucyjne Goodwina (teścia Shelleya, a duchowego ojca Marxa), rozrosłe w dramacie w pyszne poetyczne kwiaty. Jan Kasprowicz przełożył ten dramat Shelleya, pełen Sofokleicznego ducha, przednio i poważnie. O jego umiłowaniu autora „Iryjskiego awataru" świadczy to, że raz po raz wraca do przekładania Shelleya: „Alastor", „Oda do Zachodniego Wiatru", „Epipsychidion" (tłomaczony także przez F. Jezierskiego). W transpozycyi „Rodziny Cencich" Kasprowicza jest ta sama bogata dykcya dyalogów, są arielowe uroki, kiedy mówi biedna italska Antygona, i jest brutalna przemoc samowoli w ustach starego poczwarnego sadysty. Jedyny to na realnych motywach wsparty utwór Shelleya, unoszącego się swą duszą, jak motyl nad powalonym tygrysem bestyalskich chuci cielesnych; przełożony jest pięknie i wiernie.

Drugiem dziełem, w chronologicznym przeglądzie idąc, jest Algernona Charles Swinburna tragedya „Atalanta w Calydonie" (rok 1864). Eschylesa geniusz nieprzemijający przebija tutaj nawet z za wierutnych kaskad i ulew pięknosłownych znakomitego *grand old man'a* o słynnych rudych włosach, a jeziornie zielonych oczach. Ale wpływ Eschylosa nie wyłącza także Sofoklesowskich ech (nawet w obrazowaniu), jak znowu w wybuchowych eksklamacyach przeciw bogom przypomina sie fanatyczny wróg bóstw wszelkich: Shelley. Autor „Atalanty", ze starej szkockiej rodziny wywodzący się arystokrata, jest namiętnym i nieprzejednanym republikaninem i entuzyastą bezwzględnej wolności. I te dwa tony *wytworności i wiecznej ducha rewolucyjności* przebijają się, jak w całej jego twórczości, tak i w „Atalancie", poprzez gęstwiny bujnie rozgadanego patosu (w Anglii zwanego *wordsworthian pedestrianism)*. Swinburne jest mistrzem podniosłej, pysznej, nawet wysilonej mowy. Uważany

za angielskiego Baudelaira, opiewa smutek rozkoszy i Trystanowe a Tannhäuserowe tęsknoty ku absolutnej miłości. Ale umie on i wznieść się do stanów żarzącej zmysłowości i wtedy w ulewach pięknych słów miota naokół piorunami nieokiełzanych namiętności. Kolorytem swym wierszowym starał się Swinburne zbliżyć do swych przyjaciół prerafaelitów i transponować czystość i religijność ich średniowiecznych wizyi na sztukę swojego poetycznego słowa. W jego dramacie „Bothwellu", jednej tylko części tryologii o Maryi Stuart, każdy akt jest tak długim, jak indziej cały pięcioaktowy dramat; dystansuje to nawet „Cromwella" V. Hugo, liczącego ni mniej, ni więcej, tylko 600 stron druku! „Atalanta", entuzyastycznie przyjęta przez koła estetycznej inteligencyi, wywołała oczywiście cały bestyalizm bigoteryjnej i hypokryzującej krytyki. Rozpoczęła się naganka, jak gdyby na „psa szalonego"; poeta uciekł tam, gdzie wszyscy genialni Anglicy schraniają się przed *cantem*, do Włoch. Treści „Atalanty" nie opowiem, gdyż wszelkie streszczania są karygodnem nadużyciem ze strony krytyków, zwalniających ospałych czytelników od czytania utworów, których streszczenia z zadowoleniem świeżo sobie połknęli..

Tłomaczenie Kasprowicza jest wysoce poprawne, a miejscami, szczególnie w chórach, imponujące; zyskuje nadto niepomiernie, gdy się je porównuje z tłomaczeniem niemieckiem hr. Wickenburga, profesyonalnego tłomacza Albionu. Jednakże już tu, w przełożonej „Atalancie", irytują od czasu do czasu te forsowane nieco dosadności i tężyzny, brane z ludowych gwar, te wszelkie: jużci, k'sobie, haści (zamiast haszczy), ślozy, żorunki, słodkie-ć, lice-ć, jużby-ć. Ta „monomania schłopiania" języka literackiego staje się coraz uporniejszą i przeciwko niej absolutnie zastrzedz się trzeba, zwłaszcza, o ile rozchodzi się np. o przekład A. Ch. Swinburna, który od wszelkich affektacyi ludowych był o sto mil *angielskich* odległym. Oczywiście, zarzut ten jest pyłkowatą drobnostką wobec świetności, np. „chóru o miłości", lub wesołej pieśni dziewcząt, lub podniosłego finału, w którym Meleager żegna się z życiem; no, i wobec niesłychanych trudności, jakie nastręczał przebujny, w obrazowaniu wprost utracyuszowski język autora „Królowej Matki" i „Rosamundy"

Trzeci poeta, przetłomaczony przez Kasprowicza, to od czternastu lat pogrzebany w opactwie westminsterskiem Robert Browning, w samej Anglii zwany „nieprzetłomaczalnym", a do tego stopnia niezrozumiały, że dopiero „Towarzystwa imienia Browninga" komentują go i interpretują. Tak jego teorya dramatyczna, jak jej wypełnienie w utworach, więc słynne: „Pippa przechodzi mimo", lub „Tragedya duszy", „Na balkonie", „W gondoli", „Paracelsus" spokrewione są nieco z duszą widzeń Maeterlincka i jego dramatami bezczasowemi z „tragiki dnia codziennego". Temperament Browninga, czysto liryczny, zostaje takim samym bez żadnych skrupułów w dramacie. Natomiast w poezyach lirycznych np. w osławionym i wyszydzonym „Sordellu" (sześć tysięcy wierszy!) zdobywa się na silnie dramatyczne akcenty właśnie w głębinach całkiem nieodcyfrowanych labiryntów myślowych, w zdziczałych parkach dziwnych syllogizmów, niesłychanych, pozornie nie związanych logicznie kombinacyach słownych. Autor „Pippa passes" jest uważany za liryka świadomie bez żadnych tradycyi literackich, bez żadnej formalistycznej kultury, bez protoplastów. Pełnia intensywnej mocy twórczej doprowadza go czasem do dzikości, graniczących z banalnością niby zupełnego nieokrzesania, „sztucznego barbarzyństwa", zabłąkanego „w winnice Pańskiego Piękna"; banalności takich Browning nawet nie przeczuwał, starając się jeno o dobór słów nowych, absolutnie najwłaściwszych, niepowtarzalnych, rzadkich. W takiem słownictwie, często ciemnawem, irytującem, dla potoczności całkiem egzotycznem, wyrażał on te wyjątkowe stany i sytuacye psychiczne, w których dusza, odsłonięta z obsłonek życiowych, społecznych i środowiskowych, oswobadza się i komunikuje z innemi duszami bezpośrednio, bez uwzględnienia wszelkich afer i konfliktów naskórkowych, bez krzyków, ran, zdrad, rywali, otruć, zawiści, intryg, sztyletów, łez, problemów, rewolwerów. Prastare tragedye dusz ludzkich Browning, ten badacz najdalszych głębin, roztacza przed nami jakby po raz pierwszy, zawsze w swojej oślepiająco, a czasem nużąco pysznej dykcyi. Sam ze siebie, w najistotniejszych przeżyciach zdobywszy niezachwialny sceptycyzm, wie już, że prawda ukrywa

się w pryzmie każdej osobistości. Więc patrząc w świat tysiącem oczu, umie się najzłudniej inkarnować w najsprzeczniejsze ludzkie majaki i cienie. Jest więc i Calibanem, leżącym głęboko w błocie, bawiącym się robactwem, w mule wyławianem, jest i Paracelsusem, tym pierwszym chemikiem, pierwszym doktorem-terapeutą, pierwszym chirurgiem i pierwszym przyrodnikiem nowożytnej epoki, usuwającym Galena medycyną, a apostoliczno-teologiczne spekulacye przyrodniczemi. Jest Browning i trubadurem Sordellem, i smutną, opuszczoną, starzejącą się żoną żeglarza, skarżącą się przed ogniskiem, w którem trzeszczą bele z wyłowionych okrętów; jest i medyum mr. Sludgem, i arabskim doktorem Harsziszem, opowiadającym o zmartwychstaniu Łazarza; i Pamfylarem Antiochem, opowiadającym o śmierci Johanaana; i masztalerzem, skarżącym się na ucieczkę pięknej księżny; i znowuż Piotrem Ronsardem. A już do jakiego stopnia Robert Browning umie się zapaść i ukryć w dusze wszystkich ludzi, i wszystkich byt i piękno bezwzględne usprawiedliwić i roztoczyć, tego dokumentem: *„Pierścień i książka“*, poemat, w którym zwykły proces na tle niby banalnej zdrady małżeńskiej w starej Italii z r. 1699 opowiada kolejno kilkanaście osób, bezpośrednio w nim zainteresowanych i wplątanych. Formę tą staroitalską, tak niesłychanie dla analizy psychicznej podatną, naśladował ze szczytnym sukcesem w swej „Krucyacie dziecięcej“ Marcel Szwob, znawca i wielbiciel angielskiej literatury, ten sam, który przetransponował i Johna Forda dramat „Annabellę i Giovanniniego“, temat tkwiący i w stosunku naszej Anny Oświęcimówny do jej brata, a opracowany raz w dramacie Mikołaja Bołoz Antoniewicza, granym niegdyś mimo drastyczność tematu (miłość siostry do brata) przez Ant. Hoffmanową w Krakowie. W dramatycznem dziele Browninga rozjaśniane dylemmaty, pozornie bardzo wyjątkowe i zawiłe, a w gruncie swym niezwykle zasadnicze i częste, jak: człowiek, który wżył się sennie w pewien bohaterski los, a życie nie chce mu tego *snu* akceptować, albo: ciche szczęście człowieka, który czuje się nieszczęśliwym, poniewieranym, niecierpianym, osamotnionym, i jak się to ciche szczęście niszczy, zmienione nagle

w istotne a *konwencyonalne* szczęście (motyw Dostojewskiego); albo: od jak przypadkowej drobnostki, ot, np. śpiewu pod oknem przechodzącej mimo prząśniczki Pippy, zależnym jest układ życia ludzkiego, o ile taki śpiew przypadnie właśnie na moment koncentracyi dusznej człowieka, na moment, w którym czy królobójca, czy kardynał, czy kochanek, czy malarz, poznają jasnowidząco swą psychę do głębi i zdecydują o całym swym programie życia. Robert Browning jest jednakże mistrzem jednego aktu; przeważnie te jednoakty są właściwie czwartym lub piątym aktem nienapisanej całości; działają tem silniej, choć są bez śladu jakiejkolwiek akcyi, a dyalogi w nich zgoła przekształcone w monologi potężnych burzliwych uczuć, manifestujących się w pysze kosztownego, arystokratycznego słownictwa.

Czy tedy Jan Kasprowicz podołał przekładowi tego utworu, który jest istotnie wspaniałą symfonią zwolna obnażających się, długo skrywanych a wulkanicznie potężnych uczuć? I znów w zestawieniu przekładu poety polskiego z niemieckim pierwszeństwo należy się polskiemu, aczkolwiek nie odpowiada ono jeszcze wyimaginowanemu portretowi, jaki się wyrobiło sobie o autorze „Pippa passes“ z innych jego dzieł tłomaczonych i czołobitnych prac o nim. Znów i tu bowiem uległ Kasprowicz już wprost z kretesem pokusom *przepolszczenia*, absolutnie niepotrzebnym i nieco wprost barbarzyńskim. W kortedżiańskim bowiem skroś dyalogu może z jakiegoś mierzchnącego rokoka albo nawet może i *z naszych* czasów — co znaczą takie *mocarne* słowa, jak: dworzyszcze, waszmość, waść i t. p., co znaczą te staropolskie: ja-ć, k'niemu, moje-li? Ta monomania w *przepolszczaniu, zesłowiańszczaniu* i *uludowianiu* w poetyckich tłomaczaniach grasuje już wprost nagminnie i doszła do takich objawów dziwacznych, jak tłomaczenie Fiorettów św. Franciszka *gwarą* podhalańską!!

Po za tą jedną wadą przekład jest zbożny i reprezentacyjny. Konflikt utajony trzech serc, rozżarzonych w decydującym, parnym momencie, przeprowadzony z najdelikatniejszą maestryą psychologiczną przez angielskiego mistyka, znalazł w poecie polskim odczuwającego to twórcę.

Ostatnim utworem, przełożonym przez Jana Kasprowicza, eremitę z Poronina, jest przepiękna ballada dramatyczna irlandzkiego marzyciela Yeatsa „Księżniczka Kasia“ (bardzo słuszny tytuł na *Countess* Cathlen). Jest to jakoby transpozycya w duchu keltyckim uroczego dramatu Monny Vanny, tak niesłusznie ukaranego popularnością i sympatyą mobu całej Europy. Tłomaczenie Kasprowicza staje się tu już wtórnie natchnionem napisaniem całej rzeczy. Jest to kopia z olejnego obrazu mistrza, ale zrobiona jakby przez tego samego mistrza, tylko np. pastelami. Tu już Polak odczuł Irlandczyka całem sercem i głębią duszy, tu już ukochanie ludowego pierwiastka w języku znalazło swoje usprawiedliwione ujście, tu już „kłoniąca się k'legendom“ fantazya twórcy „Krzaku dzikiej róży“ z lubością pomagała tłomaczowi. Nie należy ni chwili wątpić, że dramat ten kiedyś, kiedy i u nas literatura na nowo zdobędzie swoje zrabowane przez zły gust mobu świątynie sztuki, „Księżniczka Kasia“ zapewne będzie wystawioną i podziwianą przez najgodniejszych. W konkluzyi należy jeszcze zwrócić uwagę świetnego tłomacza na macosze przepomnienie w podaniu „prób“ (?) dramatycznych — takiego np. Stefana Philippsa, którego czy „Herod“, czy „Ulisses“, czy „Nero“, a już szczególnie „Paolo and Francesca“ bardzo się kwalifikują do tłomaczenia. Rob. Browninga symfonię „Pippa passes“, tłomaczoną *już na pięć języków* europejskich, w najbliższym chyba czasie ujrzymy na półkach księgarskich. Tem bardziej, gdy się zwróci uwagę, że niema ten dramat *nic* w sobie z Browningowych ciemności i zawiłości, jest przepojony kryształnym promiennym optymizmem i ukochaniem ludzkości, i że w jasno symbolicznym śpiewie prząśniczki z Azoli daje jeden z najpiękniejszych nowych mytów światowych. Jest to jedno z najwspanialszych dzieł tej sztuki szczytowej, która się wyłania po skojarzeniach dwóch wielkich żywiołów cywilizacyjnych, t. j. anglosaskiego i starowłoskiego.

Wierny od lat dwudziestu przyjaciel angielskiej poezyi, a herkuliczny druid z pod Gewontu, Jan Kasprowicz, dał nam wreszcie jeszcze jedną książkę, która w normalnych warunkach kulturalnych byłaby faktem, a w naszych czasach jest znowu

stoczeniem bryły złota w przepaść panbeockiej niedoli. Moc pracy, anachoretycznej, świadomej siebie pracy leży w tym wspaniałym brewiarzu, w którym jeden z największych poetów dzisiejszych europejskiej miary poznaje swych spółcześników ze świetną „zgrają harfiarzy“, przeszło trzydziestu męża z Albionu liczącą. Należy się Kasprowiczowi od nas korna wdzięczność i możliwie logicznie argumentowane uznanie, że w tych smętnych czasach głupkowatego chaosu i parszywej wojny karłów z pigmejami daje nam do rąk omal niepokalanie piękną książkę o angielskiej gędźbie wszystkich czasów, od jej pierwopoczątków aż do dni niniejszych, a w tej książce kongregacyę prawdziwych jakoby *„devasów“*, wyższych duchów o archanielicznych ekspansyach myślowych a wszelkiej twórczości europejskiej progonów. Chyba już dzisiaj bowiem i nie ulega wątpliwości, że wszelkiej poezyi alfą i omegą, źródłem i ujściem jest twórczość angielskich mocarzy ducha, tych olbrzymich nenufarów wyrosłych na bagienniskach materyalizmu anglosaskiego, tych strzelistych słupów milowych dywinacyi ludzkich, tych białych demonów, przelatujących z szumnych łopotem tęczowych skrzydlisk nad mrówczemi kopcami ludzkiej lichej wegetacyi. Nazwiska: Shakespeara, Chattertona, Williama Blake, Shelley'a, Keatsa i Swinburna mówią o duchu aryjskim wszystko, są początkiem, końcem i szczytem wszystkich natchnień, wszystkich lotów, kierunków, i zmów i plejad; twórczość ich to istne *cor cordium* wszystkich twórczości, to wielkie świadectwo *magna charta* inkarnowania się najwyższego w coraz nowe postaci „Mahatmów“; to ewangelia ewangelii. Jan Kasprowicz czuje to samo, jak zresztą cała intelektualna elita Zachodu, zwracająca się w ostatnich trzydziestu latach z całą energią ku temu Sezamowi i czerpiąca z niego pełnemi dłońmi najdrogocenniejsze skarby, najbajeczniejsze klejnoty, kompasy na życie, lampy Aladynowe, czapki niewidomki a przedewszystkiem wszelkie kanony dla nowej ludzkości *górnej*, zgoła odmiennej od dziś rządzącej ludzkości *nizin*.

Nie są to tłomaczenia poetów angielskich; to są w całej tego słowa wadze przyswojenia poezyi polskiej *poesy* angielskiej, to są natchnione a dosadne transpozycye twórcze na ton,

tok i takt polskiej mowy, to są niekiedy wżycia się momentalne w obce typy twórcze i łudząco-wierne oddawania dźwięków przeróżnych lir, harf, fletni, trombit, coprawda zjednoliczone i ujednobarwione indywidualnym językiem Kasprowiczowym, tym korzennym, masywnym, czasami ciężkim od przylepionych gruzłów kujawskiej gleby, ale zawsze najrdzenniejszym, lechickim, *autentycznym* językiem Polan, szczurów naszych. Z całą lojalnością wyznać tu trzeba jednakże, że, w zestawieniu z niektórymi twórcami szczególniej ostatnich czasów, język ten zawiódł i nie dostroił się, a w porównaniu np. z niemieckiemi tłomaczeniami (Lachman, Richter, Kassner, Sieper i wielu innych) okazuje się za ziemistym, za muskularnym; R. le Gallienne, O. Wilde, Bridges i Rossetti dostali w tej interpretacyi polskiej czerstwych zdrowych rumieńców, tężyzny grubych palców i ciężkiego stąpania rytmicznego, co wszystko było ich antypatyą i antypogodą. Natomiast spotężniali jeszcze wyszli średnowieczni mistrze Chaucer, Spenser, Shakespeare, Burns, a już wprost monumentalnemi majstersztykami są istotne transsubstancyacye „Hyperiona“ Keatsa, „Alastora“, „Adonais“ Shelley'a, „Anaktoryi“ Swinburna i perełek Tomasza Hooda, tego samego tyrtejskiego pieśniarza, którego „Pieśń o koszuli“ tak doskonale przyswoił nam Wł. Nawrocki.

Kasprowicz poprzedza swe tłomaczenia protestancko suchemi i lakonicznemi notatkami o poetach w intencyi, aby poezye ich przemawiały same przez się, emocyonalnie silniej czytelnik nie zaprzątał sobie umysłu szczegółami martyrografii. To błąd, to postulat pedanteryi i przesada dydaktyczna. O ile bardziej uroczą byłaby ta księga z choćby krótkiemi ale obramowanemi medalionami tych prawdziwych półbogów, rozdających w złotych krużach dziwnych i dziwacznych form słodkie i oszałamiające: *vinum daemonum*. I jeszcze jeden możnaby Kasprowiczowi zarzut z żalem postawić, to jest pominięcie kilku twórców, którzyby dopełniali już obrazu tego czarodziejskiego parku poezyi angielskiej. Można się zgodzić na pominięcie Miltona, protestanckiego Danta, co w życiu przeszedł przez piekielne kręgi ślepoty, którego wszyscy chwalą, a nikt nie czytał, a którego *Juvenile Poems* mają

swoje dziwaczne uroki. Można podziękować Kasprowiczowi za wzgardliwe pominięcie dzisiejszego poety laureatusa mr. Alfreda Austina, twórcy łajdackich hymnów ku czci Jamesona, Chamberlaina i generałów-morderców Transvaalu. Ale o kilku innych trzebaby upominać się z uporem. A więc może dopełniłby symfonicznego wrażenia książki i ton lubieżnika z czasów restauracyi Stuartów hr. Rochestera i znowu elegancki idylik, u nas tak bardzo znany niegdyś i czytany, Alex. Pope, perukowy, pasterski, zfrancuziały. Może też nie byłby zbytecznym James Thomson, autor *„Rule Britannia“*, a w *„Seasonach“* pierwszy panteista, a z Walter Scotta coś z „Pieśni Ostatniego Minstrela“, które u nas kiedyś nieudolnie tłomaczono. W każdym jednak razie nie do wybaczenia jest opuszczenie Georgea Crabbego, największego poety Anglii według Byrona, najgroźniejszego, najdrastyczniejszego, najzuchwalszego malarza nędzy i jej upodleń, druzgocącego szydercy, jednego z najbardziej zbuntowanych aniołów na angielskim Olimpie; właśnie słownictwo Kasprowicza najbardziej nadawałoby się w swej sile do nędzarskich liryk Crabbego. Z Chattertona większą wybuchowość od „Tragedyi bristowskiej“ (nie bristolskiej!) ma krwawa „wesoła“ „Ballada o litości“; nadto Chattertona należałoby może z szacunku dla stylowości tłomaczyć językiem paralelnym do pseudo-Rowley'a, więc językiem kazań Św.-Krzyzkich, Reja, Budnego, Bielskiego. Z nauk współczesnych brak nie dla ścisłości a dla *kolorystyczności* obrazu kilku bajecznych ekscentryków, z których lord de Tabley, Webster, Martin Many Robinson i dziś podstarzali efebi koło ś. p. Oskara, jak Rood, Ros, Dowson, Douglas straciliby coprawda w krzepkich rękach Kasprowiczowych cały puch swych motylich i ćmich skrzydeł, ale zyskałby stanowczo Thomson Francis, przepyszny awanturnik, żeglarz metafizyczny, fortepianista deliryi, sonnambulik, a z fachu... opiumista.

Udręką i czerwiem książki są tu i owdzie specyały słowne, „cudowności“ dosadne, wzięte z ust *juhasów* i *baców*, rzekomo arcyplastyczne a w rzeczywistej folklorne i partykularnie ładne. Książka ta winna w pięknej oprawie leżeć na stole każdego szanującego się domu; jest bowiem faktem kultury polskiej.

WIKTOR ALFIERI

I.

Przeminęło w roku poprzednim lat krągło 160 od dnia, w którym w małem miasteczku góralskiego, wynędzniałego, kiepską sfrancuziałą włoszczyzną mówiącego Piemontu, w Asti urodził się w hrabiowskiej rodzinie Alfierich przyszły wielki tragedyopisarz i satyryk Włoch w niewolę porozdzielanych, Vittore, zwycięzca słowa. Autobiografia jego, jeden z najbardziej interesujących analitycznych dokumentów psychologicznych, stawiana obok pamiętnika Cardanusa z czasów Odrodzenia i Pamiętnika kardynała de Retza, roztacza przed nami z otwartością wprost rozbrajającą i szczerością bezprzykładną otchłań życia, w którem po nieuctwie (nonstydii) i baraszkowaniu dziecięctwa przyszła młodość swawolna, huczna, buńczuczna, rozpustnemu włóczęgostwu i siedmiu grzechom głównym w całości poświęcona, ustępująca wreszcie w ciekawym procesie przeobrażeń wewnętrznych miejsca wiekowi męzkiemu, epoce wytrwałej i żarliwej służby Sztuce pisarskiej, pojętej jako kapłaństwo w wierze Bóstwa idei, jako pełen uroczystości obrządek Piękna, jako poważne a posłuch wymuszające posłannictwo narodowe. Już to żywot młodego arystokraty byłby, jak u tylu innych spływał pianą używania i wyżycia się, potokiem poziomych awanturek miłosnych, przygód skandalicznych, bodegowych heroizmów, bezmyślności i przesytów nieodzownych, gdyby w trakcie tych eskapad Don Juana o rycerskich tęsknotach duszy Don Kichota dobra wróżka poety nie zagnała dwukrotnie statku jego szaleństw pańskich na zielone wybrzeża Wielkiej Brytanii. Tu dopiero — jak stwierdza w Pamiętniku — po raz pierwszy odczuł się Włochem z Włochów, nieszczęsnego narodu synem, tu jasnopatrzącem ogarnięciem i upokarzającem porównaniem

stwierdził przed samym sobą, w jak bezgranicznej nędzy i poniżeniu przegniwa zwolna jego rasa królewska, podzielona politycznie na dziewięć aż zaborów, rządzona tu przez bastardów Burbonich, tam przez chytrych Habsburgów, tu przez kler czarny, rasa raz wraz rozdawana kawałami przy każdej historycznej sposobności to temu, to owemu odpadkowi żrących się ze sobą dynastyi. Tu, w Anglii, na ziemi wolnych i dumnych panów szerokich mórz i zamorskich lądów, stanęła mu dopiero w pełnem rażącem świetle nikczemna i wstrętna niewola jego narodu, tak niegdyś mocą rządnego, tak świato-władnego. Po drugim pobycie w Anglii wracał do smętnego Piemontu już nie smakosz i używacz życia szaleństwami osławion, ale zatajony w sobie, zwarty, zamknięty w rozmyślaniu Włoch i to Włoch upokorzony. Powrócony do kraju wrychle przychodził do przekonania, że w granicach życia publicznego tych państewek i kraików reakcyą katolicką przytłoczonych, absolutyzmem małych kacyków zdławionych, wegetujących z dnia na dzień w ospałości, niewoli i legitymizmie niemasz miejsca dla człowieka wielkiej wyzwalającej inicyatywy, ni pory na jakieś bohaterskie ogółowe czyny. Letarg polityczny wszystkich warstw narodu był tak silny, sumienie rasowe tak zaniemiałe, martwota ambicyi, obojętność honoru tak zupełne, poczucie obywatelskie i ludzkie tak nijakie, że potrzeba było przedtem prądu miliona wolt chyba, aby tę zmartwiałość wskrzesić, upodlenie ujawnić, ażeby wstrząsnąć odrętwiałem sumieniem, sercem, temperamentem, duszą Włochów—Pigmejów między latami 1760 a 1800. *Homme d'action*, jakim marzył się Alfieri w akcie omal desperacyjnego ogarnięcia okiem sytuacyi i pustynnej oschłości czasów, staje się *homme de lettres*. Uwodziciel wczas opamiętały przypomina sobie z lat efebich czyste momenta potężnych zachwytów, jakie zawdzięczał niegdyś lekturze heroicznych biografii Plutarcha. Lekkoduch w porę zawstydzony przywodzi sobie w pamięci, że przecież próbował już terenu pisarskiego, opisawszy siebie samego, jako Zeuzippa w niby farsie „Il Poeti", że przecież między najtęższemi wyskokami jego kawalerskiej tężyzny było napisanie i wystawienie w Turynie (dwukrotne) „monstrualnego" dzieła o Kleopatrze. I oto z tym samym ogniem, zapamiętałą gwałtownością i wyłącznością, z jaką niedawno jeszcze trwonił i rozmieniał kruszec swej młodości na liczmany błazeństw oklaskiwanych przez rówieśniczą nicość, z tym samym ogniem rzuca się w twórczość dramatyczną. Lekki i letni sukces „monstra" Kleopatry, której w figurze Antoniusza marnie swoje miłosne opętanie wyspowiadał, jest mu ostrogą i bodźcem. Seneka i Corneille, gwałtownie nocami pochłaniani, dają jakie takie wzory na początek; Rasyna nie tyka, żywiąc doń od dzieciństwa antypatyę i zasypiając twardo przy lekturze Rasynoskich dramatów, Wolterem przenika i przesiąka cały na wskroś w każdej fibrze swej organizacyi intelektualnej. A jak poważnie i rzetelnie pojmuje przyszłą swą misyę pisarską, tego daje dowód w tem, że dla studyów językowych przenosi się do kolebki najczystszego języka włoskiego — do Toskanii, że wchłania w siebie całe foliały staroflorenckich autorów, że pielgrzymuje jako pątnik po grobowcach wielkich mistrzów słowa, przy tumbach Petrarki czy Danta, Ariosta czy Machiavella bierze święte pomazanie i w obcowaniu samotnem z duchami władczymi starych Włoch rozprzestrzenia swą duszę, oczyszcza ją z naleciałości grzęzawisk młodzieńczych, hartuje wolę twórczą, rozszerza widnokręgi swych marzeń, porywów i gniewów i tak zmieniony do niepoznaki, zrywając ostatnie nici z dawnym szaławiłą hrabiczem z Asti, staje w mocnym i lśniącym od polerunku rynsztunku na arenie życia, na piaskach niewolniczego bytu Włoch owoczesnych. I oto dziwnym trafem z młodym gladyatorem z innej areny, z Schillerem, nietylko to ma wspólnego Alfieri, że nad zamyślonymi czołami obojgu płomienny włos ryży się wichrzy (jak kostycznie opisuje w sonecie „Suo ritratto" do znanego portretu Fabra w Galeryi Uffizi: *Capelli or radi in fronte e rossi pretti)*, ale wspólny ów, całkiem młodzieńczy, świeży i naiwny kult dla bohaterów Plutarcha, dla Tymoleona! Cezara! Brutusa! a wreszcie owo wspólne hasło, wyryte u wstępu wyzywających „Zbójców" Schillera, a nad całą twórczością Alfierego promieniejące, akord jego przewodni i motyw najgłośniejszy: *in tyrannos! in tyrannos!* W młodym

hrabiu Alfierim dojrzewa mocny i zuchwały republikanin, jeden z naczelnych romańskich reprezentantów frankmassoństwa europejskiego, zapamiętały i nieprzebłagalny wojownik z Behemotem absolutyzmu i Lewiatanem ultramontanii, hydrami od 150 lat pożerającymi duszę każdego nowego pokolenia Włoch. Odczuwa on z dnia na dzień coraz boleśniej i głębiej przygnębiające i dławiące mu gardło poniżenie tak wielkiej niegdyś ojczyzny, widzi z rozpaczą, jak dyplomacya „tych złotych czasów absolutyzmu" zdegradowała mu Włochy do pojęcia geograficznego wyłącznie, jak gdzieindziej wspaniale rozkwita wielkopańskie życie państwowe, dyktujące nawet prawa obcemu niedołęztwu, a jego Italia, na szereg partykularzów rozkrajana, wegetuje pod gnuśną i różnorodną administracyą, poodgradzana od siebie wzajem cłami i paszportami, różnicą kultur i przykazami lojalności. Podróżujący pielgrzym widzi szeroko rozwartemi oczyma Kampanię z ogrodu Włoch w pustynię kleszą ręką przemienioną, w Medyolanie gospodarujących węgierskich Hunnów Austryaków, w Neapolu głody, nędze i bandy zbójów, w Piemoncie wpadających raz po raz Francuzów, a wszędzie upadek, zniszczenie, ciemnotę, biedę, marazm, a wszędzie ślady wielkiego przemysłu niegdyś, wielkich genialnych rękodzieł, bogactw oślepiających, życia państwowego bujnego, wielkich czynów politycznych, sztuki górnej, jedynej i tradycyi! tradycyi wszechpotężnych, oszałamiających. I w hrabiu Alfierim wzbiera wypalający wszystkie inne uczucia gniew bezbronnego, spętanego zwierza i całą istność ogarniająca żądza mszczenia się za każdą cenę: in tyrannos! in tyrannos! Znany dotychczas w swych kołach, jako kpiarz, dowcipniś i facecyonista, młody człowiek bez ideału znajduje swój ideał, nie przyjmując go z rąk *„l'abbate"*, bakałarzy czy znawców piemonckiej parafii, ale zdobywa go sobie powoli, żmudnie wśród walk ze sobą samym, ze swem lżejszem, niższem, rodzinnem „ja". Do lektury Aretina zabiera się jeszcze z oczekiwaniem poziomszych, może nawet seksualnych sensacyi, jako do pisarza, który jest *także* awanturniczą, problematyczną naturą, faunem i satyrem zarazem; wstaje od Aretina już tylko w rozmyślaniach nad przebrzmiałą wspaniałością Włoch renesansowych

i nad czarnoksięzkim urokiem pióra mocną ręką dzierżonego i nad negatywną potęgą, jaką daje talent szyderstwa. I wtedy to może postanowił Alfieri być *także* „biczem na książęta". Względem społecznych mu karykaturalnych tyranii żywił wzgardę niejakiegoś „plebejenrevolté", ale równego ku równym. Drażniło go i poniżało wobec samego siebie, że naród, z którego wyszli imperatorowie świata i cezarzy sztuki, poddany jest pierwszym lepszym przybłędom francuzkim czy austyackim, podzielony, jak szata Chrystusa między żołdactwo, poniżony i ciemny, że nie umie ni czytać ni pisać, że taki poeta Metastazio musi mieszkać w jakimś Wiedniu (na dworze Maryi Teresy), że zaginęła genialność starej jego rasy, siła jej ekspanzyi, blask jej kultury, że nie Italia rządzi, ale ona jest rządzoną i jest rządzoną gnuśnie, po macoszemu i nikczemnie. Republikanin w wielkim starorzymskim stylu nie miał atoli zbytnich i przesadnich illuzyi co do pierwszych lepszych, byle tylko nowych żywiołów miejskich czy ludowych, przeczuwając, że z tych elementów w decydujących chwilach zawsze męty śmierdłe wydobywają się na spienioną falę życia. Alfieri był naocznym świadkiem rewolucyi paryskiej i widział herosów kanalii tuż tuż przy ich warsztacie terrorystycznym, miał czas i sposobność nabrać trafnego i spokojnego sądu o tych „szakalach i hyjenach w ludzkich kostyumach", wprowadzających „nowy ład" z pomocą gilotyny, rostrzeliwań, iluminacyi i wszelkich barbarzyńskich rozuzdań bestyi z człowieka. Ale instynktowna nieufność względem rewolucyi, jako do krótkich aktów zemsty za znowu zapadające całe decennie robaczego poddaństwa i pieskiej pokory, bynajmniej nie tknęły w Alfierim wiary i nadziei w ducha wiecznego rewolucyonistę, w ideał rewolucyjny, regeneracyjny, w burze dziejowe, po których owe pogody nastają; bynajmniej nie osłabiły jego jedynej pożerającej, wszystko jędnoczącej, wszystko spalającej namiętności, t. j. nienawiści do tyranów. Tą namiętnością ogarnięty rozpoczął wróg królów swoją wielką kampanię dramatyczną. Z dusznego, zfrancuziałego, a więc antypatycznego mu Piemontu raz na zawsze przeniósł się do Florencyi, gdzie inna metoda cenzury, pętającej zresztą całe Włochy na różne tylko

sposoby, tu gwarantowała mu szerszy oddech i giest wolniejszy. Pod skrzydłami kochanki już do końca życia jedynej: hrabiny Albany, Muzy swojej tragicznej, a rozwiedzionej żony ohydnego pijaka i brutala Karola Edwarda, ostatniego odpadku zdegenerowanej rodziny Stuartów, rzucał tu hrabia Alfieri na papier kolejno cały szereg tragicznych kompozycyi, zwartych, logicznych, misternie urytmionych, w stylu swym zdecydowanych i konsekwentnych..., niegdyś żywych, życie, entuzyazm, orkany aplauzów budzących, dziś żółtych, oschłych, mocno nudnych, nie czytelnych i jak perły z zatratą blasku umarłych, niegdyś bezcennych, dziś jeno archiwalnych.

Pisał dziewiętnaście swych tragedyi Alfieri, jak sam wyznaje „w atakach gorączkowej i fantastycznej żądzy wolności“, gdy

„due fere donne, auzi due furie atroci
tor non mi posso ah misero! dal fianco
Ira e Melancolia.“

Od pierwszych z nich, które jeszcze „plutarchizando“ były konstruowane aż do ostatnich, wszystkie mogły nosić tą dedykacyę, którą ma tylko ostatni *Bruto Secondo* (z. r. 1787), t. j. „al popolo Italiano futuro“. Wszystkie mają wspólną, finalną ideę, do której drogą patetycznych tyrad i górnolotnych eksklamacyi dążą. Tą ideą jest przelanie z duszy twórcy w dusze jego narodu tego nieposkromionego głodu wolności, który go przetrawiał, przepalał i wyniszczał, tego *głodu* niepodległości, który jest bratniem i nieodłącznem uczuciem przyrodzonego pragnienia panowania, mądrego, pięknego, dobrego, owocnego, ale panowania.

II.

Syna narodu na dziewięć zaborów rozkawałkowanego, w niedoli małych i maleńkich despotyzmów ledwie wegetującego, gorączkował i jątrzył tylko jeden jedyny problem władzy i władztwa. Cały swój talent zwolna rozrastający się, jak to Włosi zresztą przesadzali, do Eschylesowskich nadmiarów hartował, szlifował i ostrzył Alfieri do ciętości damasceńskiej stali,

z którą wystąpił do pojedynku śmiertelnego z tyranią. Traktat „della Tirande“ i drugi „del Principe et delle Lettere“, oba erupcye wcale abstrakcyjnego i kawalerskiego rezonowania były niejako rękawicami, rzuconemi przez nobile z dziada pradziada przybłędom absolutnego regimu. I odtąd już nie spoczął ni razu na rzucanych mu raz po raz laurach wdzięcznych a budzących się z zadrzemania wiekowego Włochów. — Olbrzymiością, muskularnością i prepotencyą figur tragicznych, które im kolejno wysuwał na scenę swych surowych tragedyi, odsłaniał współcześnikom charłactwo, marność i hańbę ich niewolniczej egzystencyi; przepych, bogactwa, dumę świetną i oświatę i swawolę niekarną wielkich praszczurów antytezował w świetle scenicznych ogarków ich nędzocie, ciemnocie, karnemu służalstwu a bezbronności. — Aby „zjadaczy chleba“ przerobić nie w aniołów bynajmniej, a w śmiałych bojowników o wolność, choćby w szatanów korygujących śmiało i mężko polityczne błędy gospodarki niebieskiej, dał republikański tragik Alfieri szereg wizerunków starorzymskiej niedościgłej cnoty obywatelskiej, jako modeli najidealniejszej moralnej tężyzny i piękna. — I oto na scenie włoskiej całkiem fendalizowanej i do absolutyzmu przykrojonej, więc pełnej nóżek baletniczych i operowymi szykami tenorów rozbrzmiewającej, zaczęły pojawiać się wielkie symbole tragizmu ogólnoludzkiego: Antygona, Ottavia, Orestes, Polinice, Sofonisbe, Merope, Virginia i przemawiać do tłumu może napuszonym, ale w one czasy najwierutniej poetycznym, górnolotnym, rozpłomieniającym językiem. — Pojawia się tyran decemvir Appiusz Klaudjusz, Cezar jako mąż pięści żelaznej obok Brutusa, mocnego anioła wolności, dalej Tyberyusz Hiszpanii Filip II, harpia inkwizycyjna, Medyceusze jako dynastya zbrodniarzy, Agamemnon, wraży jak Herod; wreszcie Saulowi, obłędnemu i posępnemu władcy, przeciwstawiany jest twardy jak głaz arcykapłan Achimelech, prototyp wszechwładnej hierarchii kościelnej (dramat ten... Papieżowi Piusowi dedykowany)... Piemontczyka Alfierego tragedye o tyranach przedostają się z jednego partykularza w drugi, z Genui do Wenecyi, z Sycylii do Lombardyi, jego sztyletowe epigramy o depresji są na ustach wszystkich, tkniętych urokiem poetyckiego słowa. Wyjęte

z radomontady Saula słynne Seggio è di sangue d'empietade il trona mają w sobie coś z płomienia Marsyljanki, a coś, co sen spędzi z powiek Burgu i Watykanu...

Teatr Alfierego z roku na rok bardziej znany, do najzapadlejszych zakątków włoskich już docierający jest jednym z najpryncypalniejszych faktorów w budzeniu świadomości narodowej Włochów. Ognista gwałtowność jego twórcy przebija się i działa widocznie z tych dziś tak dla nas suchych, sztywnych i zimnych dyalogów i z tych soliterowych monologów. Osobista całkiem nienawiść piemonckiego szlachcica do tyranów przelewa się z jego Wolteryańskich tragedyi w dusze spółczesnych, rodzi jakieś jeszcze niezdefiniowane tęsknoty do nowego risorgimento, do łączności wszystkich ze wszystkimi, do takiego możnego bytu państwowego, jakiego blask bije z tragedyi czy Virginii czy Brutusa, do wielkich gestów i wielkich zwycięstw, do życia publicznego, agonalnego, politycznego, z którego wychodzą i Cezary co prawda, ale i Cezarów pogromcy. W czas słuchania „Tymoleona“ czy „Agida“, na przedstawieniach „Maryi Stuardy“ czy „La congiura de Pazzi“, rodzą się pierwsze prabłyski marzeń irrydentycznych o strąceniu i przepędzeniu precz tyranów, o Italia unita, o zniesieniu baryer i granic między tymi, co wszyscy jednym językiem mówią, jedną mowę poety, płynącą ze sceny rozumieją i, gdzie ostrze sztyletu Don Garcyi czy Brutusa wymierzonem ma być, dobrze wszyscy odczuwają. — Ten sam to bowiem poeta piemoncki mówi tu ustami Virginii czy Alcesty, co wyśpiewał hymn szumnosłowy o l'America liberata, a o Bastylii zburzonej odę, ten sam w każdym akcie każdego dramatu „tyranizuje tyranów“ greckich, biblijnych czy legendarnych, ten sam też grzmiał peany żarzące o miłości Ojczyzny ale mocnej, mężko cnotliwej i władnej a nie rozdrapanej, spokorniałej, cierpliwej i skomlącej o litości z ręki pasorzytnego tyraństwa.

Styl swój dramatyczny wyrobił sobie Alfieri sam, odrębnie, z uporem, ale organicznie i w związku ścisłym z ideowymi celami, jakie przedsię wystawił. Chęć działać na społeczność swą jakby magnetycznie, chcąc przeobrażać swą twórczością trzody potulnych i zrezygnowanych w naród zbuntowanych i zwyciężających, wytworzył dla swego genus tragicznego dykcyę

ostrą, mężką, szorstką, pozornie sztywną. — Troskę o klasyczne „jedności“ doprowadził do tych granic pedanteryi, że w coraz krótsze działających osób listy nie dopuszczał pod żadnym pozorem figur w konflikcie nie aktywnych bezpośrednio, czyli „widzów na scenie“, przez co zyskiwał czystość rysunku, ale (jak np. w Tymoleonie, gdzie tylko 4 osoby występują) przepadała z kretesem barwa, gra świateł psychologicznych i powab zmienności i różnorodości; brakowało koniecznego fizyologicznie wytchnienia w napięciu. — Również całkiem obce i wzgardzone było jego abstrakcyjnie górnemu pojęciu tragicznego piękna zapuszczanie się w epizodyczności i w małe rysy, poboczne, malownicze, światłocieniowe, a które dopiero z szematów i formułek ideowych kształtują indywidualne twory ludzkie z pierza i mięsa. Starając się jeno czujnie o pognębienie przy każdej sposobności człowieka typu tyranów i tyraństwa, dyskutując na każdym kroku z ideą władztwa, nie dążył Alfieri do używotnienia figur swojego teatru, a tylko stale do dyskredytowania tyranii i do rozkrzewiania w duszy włoskiego narodu hartownej, trwałej i z czasem skutecznej nienawiści do tyranów; ciało i krew mieli szematom tragicznym dawać już wyłącznie aktorzy. W tym też zapędzie, w górnem znaczeniu wszechedukacyjnem, doprowadziwszy mężkość wysłowienia do najkonieczniejszej lakoniczności i lapidarności, aby zapobiedz jeszcze osłabiającemu rozpraszaniu uczuciowemu, wyrzekał się absolutnie wszelkiego liryzmu, tkliwości, wdzięku, jakiejkolwiek łagodności, choćby nawet pewnej pogody w barwach dusznych, stosując już do tego tonu i swe wysłowienie dramatyczne z umiłowanemi wyrażeniami twardemi, dawnemi, dantejsko brutalnemi, z unikaniem stanowczych słów gładszych, słodszych, melodyjniejszych, kobiecych. Na wszystkich tych jednostronnych warunkowaniach i formułach zyskiwał dostojny w podniosłości swej styl tragiczny Alfierego, ale zacieśniał się stanowczo widnokrąg twórcy. Z wyeliminowaniem tylu pierwiastków piękna, z tylu tomów oniemienia nikła i przepadała jedynie nieśmiertelność twórcza: pełnia uczuć i idei. — Coraz szersze warstwy zyskiwały samowiedzę narodową, coraz większe kręgi upajając się starorzymską cnotą nad etyką silnych rozmyślały, całe pokolenie nadchodzące uświadamiało sobie

hańbę Włoch porozdzielanych; głód wolności ogarniał wszystkich, co tylko dwa wiersze piemonckiego hrabiego raz deklamowane zasłyszeli, ale artyzm, pełny wieczysty czar artyzmu Alfierego na tem wszystkiem tracił. Poeta nie dochodził do czystej harmonii twórczej, tragedyom jego zawsze zbywa na finalnem uczuciu pojednania, które, ponad gruzami katastrofy najstraszliwszej unosi się jako gwiazda oświecająca pełna żałoby miejsca, ciche pociechy zasyłająca. Przykro to wyznać, ale trzeba, że z całego teatru Alfierego dziś, kiedy dzieła jego spółczesnych i wcześniejszych, Sheridana, czy Szyllera, Goethego czy Goldoniego, choćby Marivaux jeszcze żyją, mają rumieniec krwi i puls normalny, z jego całej twórczości tragicznej ani jedno nie ostało się przy dosłowniej nieśmiertelnej nieśmiertelności... oprócz może tej jednej lekceważonej przezeń „Mirry" (w tłom. polskiem wyszłej u Ungra 1856), tragedyi dziewicy opętanej demonicznie miłosnym szałem do własnego ojca, króla Cypru, Cinira, dobrego tyrana, jednej jasnej postaci władcy w całej długiej galeryi portretów tyranów. — Ta jedna „Mirra", dzięki kreacyi Ristori, a drugi „Saul", dzięki wielkim tragikom włoskim Modenie, Rossiemu, Solviniemu, przetrwały w repertuarze aż do najpóźniejszych czasów; reszta okryta szarym pyłem bibliotek, leży zagrzebana nietykana, szanowana niestety jak relikwie!

III.

Carducci nazwał Alfierego najnarodowszym z pisarzy włoskich po Dante Alighierim; ale nie dla jego tragedyi tylko a głównie dla jego „satyr i małych poezyi", do których sam Jozue napisał strzelistą przedmowę. I w istocie najbardziej włoską, specyficznie narodową jest ta nuta w twórczości piemonckiego patryoty, w ostatnich latach życia donośna, ale najgłośniejsza dopiero po r. 1803, po śmierci Alfierego, kiedy wydano zbiór tych satyr a zarazem i słynny „Misogallo", tj. 17 obelżywych i pełnych furyi niespętanej wierszy przeciw duszy francuskiej wymierzonych. Satyryczną taktykę Alfierego nazywa Cereseto w swej „Hist. Lit. Włosk.", w przeciwstawieniu do ironii Pariniego, wprost: *inwectywą*, i to słusznie. Zbywszy

się przesądów i wszystkich sympatyi ze swą sferą, tj. kastą seniorów, noblessy podpierającej system rządów zaborczych, uderza Alfieri z niepohamowaną bezprzykładną złością na wszystko i wszystkich. W rymowanych tercynach, według dawnych średniowiecznych wzorów rzuca się z maczugą inwektu gromiących i tratujących na królów, szlachtę, księży, uczonych, jurystów, kupców, żołnierzy. Wściekłości jego sarkazmu nic spętać nie zdoła. Przekonawszy się, że tylko żarzącem żelazem wstrząsnąć da na pręgierz wywleczonych niewolników, w absolutnej nienawiści do wszystkiego i wszystkich przeklina czasy, stany, zawody, wyszydza nędzę, kopie pokorę, ośmiesza bogactwo, zawodzi w jękach bezsiły, pieni się i plwa w goryczy wyuzdanej, jakiej równej niemasz w literaturze, plwa językiem ciężkim, bezdźwięcznym, bez ulgi, bez wytchnienia, bez nadziei, w opętaniu tkniętego szałem gniewu radykalnego fantasty. Jego komedye polityczne w typie Arystofanesa są bezsłonecznie tragicznymi, poronionymi płodami ponurej hypochondryi „urodzonego republikanina", który ironią losów musi żyć w epoce całkiem spokojnych rządów tępo głupich, beztroskich a pewnych siebie karłów absolutyzmu, miniatur starych despocyi. Ale prawdziwe dopiero Alfierowskie wezbranie żółci streszcza się i wybucha w Mizogallu. Jest to pośmiertna pomsta jakby z duszy zawiedzionego kochanka wyrwana. Ta gorejącej pasyi pełna, grzmiąca inwektywa na Francyę, to owoce zawodu, jaki obraz rewolucyi francuskiej sprawił tym wszystkim, którzy wierzyli w przyszły kiedyś ale absolutny upadek absolutyzmu, w nadejście jakiejś utopijnie doskonałej epoki złotej. Alfieri był świadkiem wybuchu rewolucyi w Paryżu, świadkiem wszystkich orgii demagogicznych, widział, jak z rynsztoków Paryża wyłażą na widownię „mówcy wolnościowi", „leaderzy wiecowi", „literaci rewolucyjni", „natchnieni duchem Bożym rzeźnicy", szczekacze idei i zawodowi skrytobójcy, mordujący tylko w czas terroru w imię „ludu". I ten Włoch, co całe życie gromił i piętnował tyraństwo, oglądał teraz ulubieńca swego, wybrany lud swój, zostawiony samemu sobie „przy robocie", przy instalowaniu „nowego ładu". I ledwie żywcem ocalał „młot na królów" z hrabiną Albany z pazurów i kłów rozbestwionej, spuszczonej

ze smyczy sfory „patronów ludu". I jak na wielu, wielu entuzyastów wolności, a trafem świadków „czerwonych kąpieli wolnościowych", podziałała i na Alfierego „małpia tygrysiość" rewolucyi wstrząsająco, odstręczająco. A że od dziecka już natura francuska wzbudzała w nim instyktownie tylko „złość i śmiech", że przeklinał Francyę już, kiedy mu jako młodemu hrabiczowi kazano uczyć się „śmiesznego i wstrętnego" menueta, że kilka razy widział żołdactwo francuskie, wpadające do jego rodzinnego Asti, że w młodzieńczym wieku wyrżnął o ziemię chorobliwie afektowną Heloizą, gdy mu ją dano jako najwyższy produkt miłosnego, humanitarnie tkliwego ducha Gallów, więc z czasem wyrobiła się w nim nieprzeparta wzgarda do Francyi i wszystkiego co francuskie, coraz mocniejsza w miarę jak poważniał i etycznie klarował się jego pogląd na świat i życie. Wzgarda do uroczej lekkości, blagi, trzpiotowatości francuskiej wzgarda do krzykliwego, wiecznie jurnego, kłótliwego i pstrego Chanteclera gallijskiego. Gallofobia ta spotęgowała się jeszcze na terenie angielskim, gdy Alfieri porównał ze sobą stateczną, męzką i pańską doktrynę wolności Wielkich Brytanów, a przesadną, skrajną, kobiecą, rodzącą bezład gloryfikacyę wolności u Francuzików. Dnie terroru przeżyte dopełniły miary antypatyi Ten, co na zdobycie Bastylii jeszcze odę grzmiał trombitową, w lat kilka potem rzucił Maryannie paryskiej w twarz grad obelg i inwektyw, impertynencyi wprost fanatycznych. I ten sam już, u schyłku życia przyjmując u siebie we Florencyi gościnnie naszego Adama Czartoryskiego (w r. 1798), wpraszającym się zwycięzkim generałom francuskiego konsulatu odmówił gościny i ręki nawet podania. Menuet był mu równie wstrętny jak oschła, zimna, metodyczna kantylena słodkiego wiersza francuskiego, wrzaski fraternizującego się mobu paryskiego równie obrzydłe jak rozdywana gaskońska gloria i brzęk szabelki po bruku majestatycznej patrycyuszowskiej Firenzy. Paryż, okrzykujący kokotkę boginią rozumu, a przyklaskujący egzekucyom szafotowym, stał mu się do pewnego stopnia synonimem jego złej młodości, w której „unikał jak ognia kobiet cnotliwych", a rywali miłosnych „z zimną krwią i śmiechem słał końcem szpadki na drugi świat". I dlatego w Mizogallu psycholog

wyczuć może nietylko furyę rozczarowanego do Francyi wroga despocyi, nietylko złość tragedyopisarza do „narodu wodewilistów", nietylko niechęć patetycznego patryoty do kultury, gracyi, grymasu, kankanu i farsowej filozofii życia, ale także rozprawienie się i odprawę, jaką Alfieri mąż obywatel daje „byłemu Alfieremu", młodzieńczemu „z francuzka" lekkoduchowi i rozegzionemu źrebięciu.

Spoczął twórca „Saula" w kościele Santa Croce między Macchiavellem a Dantem, na co irytuje się zbyt silnie Merimée, jako na zaszczyt niczem u tego „retoryka" nie zasłużony. Piękny pomnik dłuta Canovy postawiła mu jego dobra wieszczka, towarzyszka i opiekunka, piękna hrabina Albany.

Imponuje Alfieri bezwzględnie dziś już tylko jako wzór skupionej i sprzężonej woli; umiał w 46 roku życia nocami uczyć się greczyzny, aby Eurypidesa czytać w originale, umiał sześć razy wersyfikować swego „Filipa", zanim ostatnia jego redakcya dała mu zadowolenie artystyczne, umiał złamać w sobie naturę arystokratycznego nicponia *ancien regimu* a przekszałcić się do gruntu w twórczego i czynnego członka swej nieszczęsnej społeczności. Nie wyparł się swej posępności, nie pozwalał rozrość się w sobie statycznie w nim istniejącej *vis comica* i nie dawał rzeczy wesołych, jak tego domagano się od jego tyle śmiechu obiecującego satyrycznego impetu, gdyż na dary uśmiechniętej i szczęśliwej Muzy Talii nie zasłużyła sobie nie *unita Italia.* Aczkolwiek instynktem urodzonego poety wiedziony umiał szczęśliwie oddzielić wszystkie elementa swego satyrycznego gniewu w odrębną twórczość i chociaż z zazdrości godną stałością nie wmieszał nic tych rozsadzających i zanieczyszczających atmosferę tragicznych żywiołów, literaturze wszechświatowej nie dostało się do rąk Alfierego dzieło skończenie uniwersalne o absolutnych walorach Piękna, gdyż w sercu jego nie było majestatycznego spokoju wielkich duchów, w charakterze zawiele gliny ziemskich namiętności, a w całej indywidualności jakaś skaza, jak pęknięcie w dźwięcznym dzwonie, które nawet, jemu samemu nie tajne, wywoływało na usta cierpkie wątpliwości: „człowieku, czyś ty wielki, czy pospolity?", „raz się mam za Achilla, a raz za Tersyta"...

Kto wie, czy tym dysonansem w psychicznej kompozycyi poety, nie pozwalającym mu w głębi duszy uważać się stanowczo za urodzonego do korony wielkich twórców a tylko za wiecznego pretendenta, nie było to, *że więcej jeszcze nienawidził tyranii*, niż kochał *wolność* i że wogóle, wogóle zawiele znienawidził, a za mało ukochał...

G O C K O W S K Y

Motto: „Stoimy u Polski granic,
A mamy obecność za nic“.
Wyspiański.

W rzędzie dwunastu najpopularniejszych postaci z historji coraz już bliższego i wskroś nas przenikającego sąsiada pruskiego, w rzędzie tych figur, o których uczy się z małych książeczek każde dziecko prusackie, obok Wilhelma I, Loizy, W. Kurfirsta, Blüchera, Bismarcka, Moltkego, Wrangla, ósme już miejsce z rzędu w taniej „Vaterländische Unterhaltungs-Bibliothek“ (Breslau, Max Woywod), zajmuje człowiek o nazwisku polskiem: Jan Ernest Gotzkowsky, nazwany tu „największym patryotą Berlina“. To samo nazwisko zaciekawiające widzi się w Berlinie na tramwajach, które, jak się okazuje, suną przez Lipską w stronę ulicy i placu imienia Gotzkowskiego. To samo dalej nazwisko słyszy się jeszcze u rozmaitych kolekcjonistów porcelany, wymawiane z uroczystą powagą w chwili, gdy otwierają najrarytniejszą szafkę z białemi, przeważnie niemalowanemi figurkami i serwisami. To samo wreszcie nazwisko uderza raz jeszcze w katalogach Petersburskiego Ermitażu czy to M. Waagena (r. 1873) czy to A. Somofa (r. 1901), w których, przy przeważnie najlepszych obrazach szkoły niderlandzkiej, a jeneralnie przy pierwszej klasy Rembrandtach, drobnemi literkami naznaczono: Collection Gotzkowsky.

Oczywiście zaciekawienie, kto zacz wzrasta coraz więcej, jeżeli jeszcze przypomni się sobie, że w Księstwie Poznańskiem istnieje rodzina tego nazwiska rdzennie polska. Objaśnić cokolwiek nikt nic nie umie: ani politycy, ani dziennikarze, ani polacy w Berlinie, ani żaden poseł, ani jeden historyk. Co to kogo może obchodzić? Ktoś tam coś zasłyszał, że to był kupiec. Poetą w każdym razie ten człowiek nie był, bo przecież cośby się o nim wiedziało. A jeżeli nie był ani wieszczem, ani wierszem

lub sztuką nie zdobył nieśmiertelności, to niema poprostu o czem mówić. My jesteśmy i chcemy być nadal narodem par excellence poetycznym. Nazwisko sławne tam jakiegoś merkantylisty nie zafrapowało ani razu nawet tych najrealniejszych, najwytrzeźwiejszych z nas, to jest poddanych pruskich. Również innych gości polskich Ermitażu, nie zaintrygował ten dawny poprzedni o polskim nazwisku posiadacz Steena, J. Merisa, Terborcha, Dovego, Wouwermana, van Teuna, Holbeina, Bloema, a wreszcie trzech Rembrandtów: „La femme de Putifar“ (794), „Niewierny Tomasz“ (861), „Turka“ (813)... Ech, bo i co tam znowu takiego kolekcjonista! Artystą w każdym razie nie był, bo coś gdzieś jużby o nim pisano. A jeżeli nie był artystą, to nie może być interesującym, wedle swojego kąta widzenia. My jesteśmy nadal narodem o największym procencie paplających o artyzmie. Tracimy z dnia na dzień materyalne i poziome Królestwo Polskie, ale zyskujemy za to królestwo niebieskiego ptaka poezji.

Jan Ernest Gockowski, fundator trzech wielkich gałęzi przemysłu pruskiego: złotniczego, jedwabniczego i porcelanowego, jedna z najgenjalszych głów finansowych w Europie 18-go wieku, organizator kapitalistyczny w szerokim stylu, ekonomista czystej krwi, poprzednik Bleichröderów i Mendelsohnów, był z pochodzenia polakiem. Urodził się w małej, brudnej mieścinie kaszubskiej, Chojnicach, w województwie malborskiem. Kiedy w roku zeszłym, w tem dziś ładnem, schludnem i kulturalnem miasteczku, zwącem się Konitz, jedną z ulic nazwano jego imieniem, wiele przezacnych głów miasta nie miało dokładniejszego pojęcia, czem zasłużył sobie na ten zaszczyt „pierwszy patrjota Berlina“. Dopiero redaktor Konitzer Tageblattu, p. Schmolke, objaśnił zebranych, jak wielką rolę w ukształtowaniu się państwa pruskiego odegrał ten polski szlachcic herbu Prawdzic, z rodziny piszącej się „z Gośkowy“, z Lutomskimi kilka razy spokrewnionej, a którego imiennicy siedzieli w Płockiem, w Żałach.

Według przypuszczeń, Jan Ernest był prawdopodobnie jednym z 6-ciu synów Wojciecha, ożenionego z Nałęczówną, a wnukiem Józefa Goczkowskiego, burgrabiego z Kcyni. Urodził się w roku 1710. Rodzice w czasach wojennych utracili wszystkie majętności, a w r. 1715 zaraza zabrała nadto ich samych z tego świata. Przed biednym sierotą otwierała się smętna perspektywa. Ulitowali się niedoli chłopca krewniacy, mieszkający w Dreźnie, wzięli go, jak i starszego brata do siebie i tu zajęli się jego edukacyą. Chłopczyna staropolskim obyczajem w 14-tym roku życia nie umiał jeszcze ani czytać, ani pisać. W Dreźnie dopiero pojął te kunszty, ale już po niemiecku. I tu, przykładem starszego brata, wstąpił na praktykę handlową do galanterji. Oczywiście gdyby był z ojczyzny nie wyjechał, genjusz jego kapitalistyczny rozwinąćby się nie mógł, gdyż handlem szlachcicowi „szkaradzić“ się nie wolno było. Nadto skutkiem ustaw z r. 1496, a potem 1565 r., rozwój miast w Polsce zahamowany był w sposób energiczny i skuteczny. Handel i przemysł zrzucono na szkotów, żydów, ormian, włochów, niemców i t. p. „tałatajstwo“.

Rozmnożona jak mszyce drobna szlachta, chadzała obdarto i niechlujno, ale na sznurku wisiał kord, cordium, a łokcia i wagi nie imałby się ani chodaczek, ani szaraczek: rzekomo dla nieufności do mieszczaństwa z żywiołów niemieckich pochodzącego. Istotnie zaś dlatego, że tak tabliczka mnożenia, jak rachunek procentowy, jak wszelkie wogóle spekulacje, z niesłychaną trudnością wchodziły w głowę „pana brata“. Na tle Polski 18 wieku dla pozytywnie twórczych ludzi mało było jeszcze rezonansu. Silne, organizacyjne talenty, typu commandingman, padały zawsze ofiarą biernych, cherlaczych, tchórzliwych, a pseudo-rycerskich środowisk. Zresztą miła ta, skroś rodzima, średniowieczna atmosfera trwa w rozkwicie i dalej. I dzisiaj jeden poeta twierdzi, że Polska to jest „dostojny miraż“ albo „cosik w chmurach“, drugi, że Polska nadal leży „tylko na wsi“, miasta zaś, to teren obojętny, négligeable, a ludzie dorośli zdania te biorą pod rozwagę i nad nimi serjo dyskutują.

Jan Gockowski wespół z bratem założyli w Berlinie z szczęśliwemi rezultatami wielki sklep galanteryjny. Dzięki zaznajomieniu się Jana (jeżdżącego po Niemczech w charakterze komiwojażera) z następcą tronu, powodzenie szybko wzrastało.

Fryderyk, kupując od niego w Rheinsbergu stale biżuterje i poznawszy osobiście jego obrotność i energją, upatrzył go sobie jako tego, który za impulsem królewskim powoła do życia nie egzystujący jeszcze w Prusach przemysł. Nie zraził się jego polskim pochodzeniem, ale odkrywszy w nim przyrodzony instynkt przedsiębiorcy, niezwykłą żywotność kalkulacyjnej myśli, postanowił te dary kupca berlińskiego wyzyskać. I wyzyskał. W 1743 roku zakłada Gockowski pierwszą na wielką skalę fabrykę genueńskiego atłasu, ożeniwszy się z córką jednego z pierwszych kupców tej branży. W r. 1753 na polecenie już króla Fryderyka obejmuje Gockowski w sprężyste dłonie swe kierownictwo dwóch królewskich, świeżo postawionych, ale minjaturowych fabryczek jedwabiu, z kapitałem 500 000 talarów rozszerza je, liczbę robotników zwiększa do 1500. I już eksport jedwabiu tego przynosi do 100 tysięcy talarów rocznie i idzie na Rosję, głównie na Polskę. W jedwab berliński pruskiego przedsiębiorcy Gockowskiego ubiera się Polska Sasów i St. Augusta. Jeżeli zaś kto w byłej ojczyźnie Gockowskiego w tym czasie zakłada fabryki czy browary, z angielska je zowiąc: brevery, szlachta z sąsiedztwa wyśmiewa wyprawiającego brewerje Tyzenhausa, Prota Potockiego, czy też Girarda lub Schielego z taką samą bezmyślnością, z jaką w 16-tym wieku córki szkockich merchants w Krakowie pogardliwie zwano merchami, identyfikując je z dziewicami publicznego procederu. Dziś za te winy ojców pokutują ciężko prawnuki. Za przerwanie tego jedynie w Polsce rzetelnego heroizmu z owych czasów, heroizmu pracy społecznej, brewerjami, cierpimy my dzisiaj. Wszystko się mści.

Ale dopiero w czas wojen Fryderyka II rozwija skrzydła genjusz inicjatywy produkcyjnej u Chojnickiego ex-szlachcica. Pierwszy już między przedsiębiorcami Berlina, łamiący swą gorącą energją lody kompletnej obojętności współobywateli dla wyrobów krajowych, działa swym przykładem Gockowski tak twórczo i potężnie, że w r. 1782 liczy już Berlin 56 manufaktur jedwabiu i atłasu, a 40 fabryk wstążek jedwabnych. Ale jak powiadamy, dopiero w czasie wojen zwycięzkich Fryderyka, rozwija człowiek z Chojnic sprawność swoją finansową

do niebywałej potęgi. Ten, co w czasie pokoju wszystkie angielskie pomysły techniczne przenosił jeden po drugim na grunt berliński i małą skromną stolicę biednego królestwa zwolna zmienia na Manchester i Birmingham, ten sprężysty i nieodpychający ani myśliciel ekonomiczny i najpotężniejszy wówczas pionjer gospodarczy, stworzywszy (jak piszą badacze) podstawę materjalną, na której oparł się system państwowy Prus, wziął teraz w swoje ręce nowoczesną formę pożyczek państwowych przez powołanie do życia giełdy berlińskiej i organizację dostaw dla armii.

Ten sam człowiek, którego gustowi artystycznemu Fryderyk powierza z absolutną ufnością wybór i zakup za 100 000 dukatów obrazów dla „Sanssouci", ten sam „znawca sztuki" i fundator podstaw galerji berlińskiej i Petersburskiego Ermitażu, ten sam, dzięki handlowym i zażyłym stosunkom z rosyanami, uwalnia Berlin dwukrotnie od ciężarów olbrzymiej kontrybucji, wyprasza redaktora „Vossische Zeitung", 68-letniego Krausego od plagi 100 rózg (oznaczonej przez zdobywcę Berlina, rosyjskiego jenerała Totlebena), poczem znów bierze na siebie finansowanie kontrybucji, jaką Lipsk musi płacić Fryderykowi, prowadzi interesy całej grupy finansistów, zyskuje sobie najwyższą sympatję króla polskiego, nadającego mu tytuł tajnego radcy komercyalnego, a jednocześnie absolutne uznanie, szacunek i admirację u swego króla Fryderyka II. Pisze ten często i chlubnie o nim w listach do markiza d'Argens.

W liście z dnia 28-go listopada 1762 r. obsypuje go wprost pochwałami, przyrównywając tylko do „obywatelów starego Rzymu". I w istocie, rachmistrz ten, pozytywista i realista Gockowski rozwija w czasach wojennych niezmiernie gorliwą obywatelską działalność filantropijną. Kiedy czasy wojenne przechodzą, Gockowski z namowy króla zakłada pierwszą na wielką skalę fabrykę saskiej porcelany w Berlinie na Leipziger-Strasse Nr. 4. Od saskich przyjaciół dostaje wszystkie tajemnice i arkana wyrobu, sztab techniczny organizuje z saskich mistrzów malarskich i rzeźbiarskich, od 150 robotników zaczyna, z czasem rozszerza wszystko, zwolna ale systematycznie zbliża się do pierwozworów niemieckich. Fi-

gurki porcelanowe Gockowskiego przeważnie jeszcze dość prymitywne z mieszaniny kaolinu z feldspatem, nie mogą się równać z figurkami frankenthalskiemi czy z Chambrelanami malowanemi, czy z cackami z Bueno Retiro lub du Pagnier, atoli jako jedne z najstarszych w Europie, prototypy dzisiejszych arcydzieł kopenhaskich, są ozdobą kolekcyi Fejsta, zbiorów prof. Darmstaedtera w Berlinie, Dallwitzów, Rotschildów paryskich. W Berlińskiem Kunstgewerbe-Muzeum znajduje się porcelana Gockowskiego w sali Nr. 31, pierwsze piętro, szafa Nr. 260.

Stosunek Fryderyka II do starzejącego się już nieco, potykającego się w spekulacjach Gockowskiego, z czasem chłodnieje. Król pruski wyzyskiwał jego wielkie talenty (tak rzadkie jeszcze w owych czasach), co się zowie; wreszcie uwikłanego w całą siatkę zaplątanych, a sprzecznych sobie gründerstw, w krytycznej chwili wypiera się i z kwitkiem go puszcza. Gockowski dwa razy traci swój majątek, znów odzyskuje, wypływa, znów ryzykuje, zaplątuje się w interesa z rządem rosyjskim, odstąpić musi Rosji, jako odszkodowanie, całą swą kolekcję obrazów. Ci, których on postawił na nogi, w krytycznej chwili jemu podstawiają nogi. Wreszcie po raz ostatni traci wszystko i osiada, życiem przemęczony, na łasce syna. Ten, co według najpoważniejszych źródeł naukowych postawił podwaliny dziś wysysającego nas przemysłu pruskiego, pierwszy civis berlinensis Gockowski, sam umarł omal w biedzie... Dopiero w r. 1865 przypomniał sobie o Gockowskim rząd pruski i w przystępie wielkoduszności wdowie po wnuku Jana Ernesta wyznaczono dożywotnią pensję w kwocie... 200 talarów rocznie.

Wszystko to zapewne wydaje się wam jakąś bajką; przykrą, przesadzoną, nieprawdopodobną, niemożliwą bajką...

Szlachcic polski organizatorem kapitalistycznym, odkrywcą bogactw społecznych, twórcą giełdy berlińskiej, praojcem i patronem tych wszystkich, co z nas, jak pająk z muchy dobijanej, wysysają dziś ostatnie soki? A gdzież dogmat stary o polskiej niezaradności ekonomicznej, gdzież nasz patentowany przez kilkunastu wieszczów przywilej na naród idealistów, na Parjasów, ale „świętych", ale mesjasza „zgniłej Europie" przynoszących?

Gdzież wreszcie lube marzenie, że Polska z wczorajszej szlacheckiej jednej nocy przeobrazi się jak motyl znowu w poczwarę ludową, robotniczą i szlachecką, bez obowiązującej resztę globu ewolucyjnej fazy mieszczańskiej, przemysłowej i liberalnej? Otóż nie. Gockowski nie jest bajką. On jest symptomem, problemem i wyjątkiem w regule ogółowego niedołęztwa, fenomenem, którym rychło zająć się winni poważni pracownicy naukowi: pp. St. Kutrzeba, St. Kempner, Bujak, Bużek, Szelągowski, Ptaśnik... Przypadkiem udało się literatowi natrafić na linję śladów w jego potężnej dla obcych niestety twórczości. Osobisty „Pamiętnik" Gockowskiego, wydany w r. 1768, natychmiast skonfiskowano z powodu dość szczegółowego zdemaskowania sprawy osławionych fałszerzy monet, Ephraima i Itziga „müncjudów" i z powodu lekkich wycieczek w stronę rządu i Fryderyka, którego machinacje monetarne finalnie Gockowskiego pchnęły do ruiny. Wydany po raz drugi w r. 1789 w Augsburgu, znów był ten „Pamiętnik" ścigany i konfiskowany. Jeden z egzemplarzy ocalałych udało mi się po czterech latach poszukiwania odnaleść. Dziś złożony w bibliotece ordynacji hr. Krasieńskich tam oglądać można. Prosta, szczera spowiedź z całego życia tego doskonałego typu rodzącej się świeżo wówczas burżuazji zachodnio-europejskiej, sprawia na czytelniku niezapomniane wrażenie. Okazuje się, że nawet na piaskach bytu polskiego rodzą się pozytywnie genialni ludzie. Autobiografia polskiego Prawdzica, pełna doskonałych z pierwszej ręki szczegółów historycznych, kończy się charakterystycznym okrzykiem rozżalonego do przybranych rodaków finansisty: „So lohnet die Welt!" Życie Gockowskiego opisywali dotychczas: Teodor Hirsch i Franc Otto. Powieść popularną, niby opartą na pamiętniku, a w gruncie rzeczy pełną kłamstw, fałszerstw i przekręcań ad usum dynastyi pruskiej, skoncypował jakiś wywłoka i lizus, hakatystyczny Robert Wagner.

Należy się nam tym Gockowskim zająć gorliwie i naukowo. Takich expatryzujących się emigrantów może być wnet więcej,

o ile duchowa atmosfera ich ojczyzny pierwszej nie przekształci się. Jeżeli w latach bieżących da się młodzieży polskiej, jako wychowawców energji narodowej, takie typy jak Staszyc, Lubecki, Jezierski, Tyzenhauz, Szczepanowski, Steikeller, jeżeli o tych serjo twórczych typach zjawią się prześliczne prace naukowe czy popularne, jeżeli młodzież odwróci nieco rozmarzone oczy od rymowanej idealizacyi życia, a nauczy się strasznej prozie rzeczywistości niewolniczo patrzeć wprost w oczy, możemy być jeszcze uratowani. Przykłady tych bohaterów obowiązku i pracy, tak rzadkich u nas i tak tragicznych, pomogą konsulom społeczeństwa do definitywnego przepędzenia manji narkotyzowania się literaturą i pięknem, manji jaką nie mające nic do stracenia mentory infekcyonują bezkarnie w najinteligentniejszą, więc najwrażliwszą cześć młodzieży. Jeżeli nie chcemy, aby przy rychło już może zmienionej konfiguracji politycznej, wszystko co polskie nie stało się tylko Hinterlandem Prus i takim tylko rynkiem eksportu, jak Zululand, Weihaiwei lub Kamerun, to powstać musi, zda mi się, liga wytrzeźwionych z odurzenia się czcicieli życia, silnych i konsekwentnych ludzi, którzy podejmą się gruntownej rewizyi mesjanicznych gaskonad, niewczesnych grymasów estetycznych i narowów dekadenckich.

ŻYD WIECZNY TUŁACZ W LITERATURZE

I.

W wielkich mytach ludzkości, w tych prostolinijnych dramatach elementarnych przejawów życiowych, i pierwotnych instynktów tkwi jeszcze i dla dzisiejszych ludzi wielka siła przyciągająca. Zdaje się, że doświadczenia, jakie dojrzewająca ludzkość streściła w wielkich symbolicznych figurach starego testamentu, to legend greckich, to indyjskich, czy perskich, nic nie straciły na swej żywotności i cenności. Tak samo dziś, jak dwa tysiące lat nawet temu, pewne mytyczne postacie, pewne legendarne anegdoty etyczne mają zasadniczą tradycyonalną popularność i stają się fundamentem, wyjściem dla nowoczesnej myśli. Legendy te dzisiaj bywają albo psychologicznie pogłębione, pokomplikowane, albo ujęte metafizycznie czy historyozoficznie, albo znowu znaturalizowane, a nawet i ztrywializowane, wogóle przekształcane i opracowywane stosownie mniej więcej do kolorytu czasów i do indywidualnego ustroju nowych formatorów.

Takie symbole pewnych stanów tragicznych, jak Prometeusz, Edyp, Hiob, Dawid, Judyta, Zarathustra, Ahryman żyją dzisiaj w tej samej nieśmiertelności i żyć będą wieki, jako pewne ustalone, skrzepione już formy niedoli, cierpienia, buntu, w które następne pokolenia składają znowu świeżą treść swoich dusz. Do takich postaci, reprezentujących w wielkich zarysach niedolę ludzką, należy i Ahasweros, żyd wieczny tułacz.

Tak Niemiec Neubauer, jak i Gaston Paris zgadzają się na to, że legenda jego nie jest wcale pochodzenia biblijnego. Niema o niej śladu ni w Apostolskich, ni w Kanonicznych Aktach, ani w apokryficznej, ani w patrologicznej literaturze.

Postacie pokrewne pod tym względem, że także skazane na wieczną wędrówkę, są już co prawda w Biblii, ale ma je wogóle każdy naród każdej strefy i różnych czasów. Wiecznie wędrować muszą i Hekate i Kain i Wodan i Karol Wielki, Latający Holender i nasz pan Twardowski, co „odtąd czmycha i czmycha". Skrystalizowana jednakże figura żyda tułacza z pierwszym zalążkiem swej anegdoty pojawia się po raz pierwszy w r. 1237 w „Flores Historarium" mnicha Regera z Wendower St. Albans w Anglii. Tu jeszcze Ahasveros zwie się *Cartaphilus*, jest odźwiernym Piłata, poganinem. Tyle o nim szczegółu, że to *grzesznik, co Chrystusa skrzywdził, za co skazan na wieczną tułaczkę*. To jest więc istotne jądro legendy, nie liczącej więcej nad osiem wieków egzystencyi. Zobaczymy, co z tej notatki angielskiego mnicha rozwinęła z czasem boska fantazya twórców, jak zapiski te pogłębiła, rozszerzyła i uskrzydliła.

Króciutką tę wiadomostkę przepisał z czasem mistrz Matthaeus Parisensis do swojej „Kroniki świata". Już w piętnastym wieku w Italii figura *skazanego na wieczne życie krzywdziciela Chrystusa* jest znaną i popularnie cytowaną, tylko pod nazwą: Johannes Butadeus. Dopiero w pierwszych latach siedemnastego wieku pojawia się po raz pierwszy sam Ahaszweros (imię, przypominające historyę wypraw Xerxesowych) w Niemczech w broszurze (Flugblacie) niejakiego Duduläusa, pod tytułem mniej więcej: „Krótkie opisanie pewnego żydowina nazwaniem Ahaszweros". I tu już mamy cały kościec legendy po raz pierwszy zestawiony. Człowiek, który „skrzywdził Jezusa", był sobie szewcem w Jerozolimie. Skrzywdził Go w ten sposób, że niosącego krzyż na Golgotę i chcącego odpocząć na jego progu odepchnął szorstko. Skazany na wieczną wędrówkę, z czasem żałował tego szorstkiego odepchnięcia, pokutował i nawrócił się. Tyle mówi ludowa książeczka prosta, naiwna, drzeworytowa, jak pierwsze książeczki średniowieczne o królu Salomonie, o Sowizdrzale, o Meluzynie, Genowefie itp. Ale już ta książeczka (jeden jej egzemplarz znajduje się w monachijskiej Hof-Bibliotece), wydana przez szlezwickiego biskupa Eitzena w celach propagandy, rozbudza gorączkowy ruch umysłów w całej chrześciańskiej Europie. Już wywołuje jak czarodziejskim zaklęciem całą literaturę podobną. W r. 1609 wychodzi pierwsza francuska książczyna o Ahaszwerosie w Bordeaux, *a już w r. 1916 w naszym Krakowie*. Podniecona i jeszcze po średniowiecznemu egzaltowana fantazya pozwala „skazańca na wieczne życie" oglądać ludziom po różnych miejscach. Widzą go po kolei w Paryżu, Brukseli, Wormacyi, Rzymie, w Amsterdamie, Lubece, Krakowie, — ba nawet w Azyi, w Moskwie widzi go raz pewien Holender. Na Sycylii spotykają się z nim ciągle. Ma on długą, siwą brodę i kostur w ręce, nie zatrzymuje się nigdzie ni chwili, *nie śmieje się nigdy*.

Notatka mnicha Rogera z Wendower zaczyna zapuszczać silne korzenie i rozrastać się. Wokoło książczyny Duduläusa tworzy się cała przelotna literatura, w bardzo czarnych barwach malująca jerozolimskiego szewca, coraz szczegółowiej opowiadająca o nawróceniu tego zatwardziałego grzesznika, no i oczywiście potępiająca bezwzględnie jego szorstkie odepchnięcie Chrystusa. Już jednak pojawiają się i pewne waryacye tematu. W Belgii grzesznik krzywdzący nie jest szewcem, lecz człowiekiem bardzo bogatym i nazywa się Izaac Laquedem. Ale ciągle jeszcze legenda ta utrzymuje się na powierzchni ludowych anegdot o charakterze religijnym, pospolitym, płytkim i konwencyonalnym, czekając na czarodziejskie dotknięcie ręki geniusza, na tchnienie ducha poety. I słyszy raz o niej młody olimpijczyk, chciwy życia i przekształcenia życia w organizmy artystyczne: Goethe. Jest w młodzieńczej epoce bardzo krytycznego sądu o władcach świata, o kościele, świeckich mocarzach. Równocześnie swym jasnym umysłem pojmuje u współczesnych śmieszność tęsknoty do jakiegoś nagle przekształcającego fizyognomię moralną Europy cudu czy kataklizmu. I wtedy rodzi mu się koncepcya Żyda tułacza, którą rzuca w szkicu na papier... niestety, aby je nigdy nie spotęgować w skończonem, wielkiem dziele.

Otóż szewc jerozolimski to — krótkowzroczny, ciężkomyślący, biedny, przepracowany małomieszczanin, oddany światopoglądowi Jezusowemu o tyle tylko, o ile ten np. nie wywołuje większych turbacyi i niepokojów w mieście, w którym szewc solidnie zarabia. Przeciwstawieniem szewca-filistra, kreatury biernej,

cierpliwej, czekającej jest: Judasz namiętny, twórczy, aktywny, zmuszający Chrystusa swym pocałunkiem do wejścia na drogę propagandy czynu rewolucyjnego. Następuje katastrofa, Chrystus zawodzi messyaniczne nadzieje cierpliwego szewca, nie przychodzi ani „nowy ład“, ani „dzień zapłaty“, ani „tysiącletnie Królestwo Boga na ziemi“. I kiedy trybun ludu idzie pod krzyżem na Golgotę jak najzwyklejszy skazaniec, jęcząc pod ciężarem grubych belek drewnianych, — wtedy rozżalony, zawiedziony wyrobnik wybucha potokiem obelżywych szyderczych słów. Dopiero incydent z chustą Weroniki otwiera mu oczy, lecz już zapóźno; głos z nieba słychać, skazujący niecierpliwego, zgorzkniałego materyalistę na wieczną po ziemi tułaczkę.

W tym Goethoskim szkicu na epopeję są już wszystkie dane na rozwinięcie wielkich perspektyw psychologicznych. Z niego wyjdą już wszyscy twórcy francuscy, niemieccy, angielscy. Zasadniczymi akordami będą więc: tęsknota ludzka za zmianą istniejącego złego porządku rzeczy, tchórzliwość ludzka w zdecydowaniu się na zniszczenie wszystkiego tego, co jest i co z gruntu *złem* jest, elementarne prawo człowieka do szczęścia, przemiana historycznych tradycyonalnych wartości (Judasz człowiekiem czynu), walka z Chrystyanizmem jako abdykacyą ze szczęścia doczesnego, a wreszcie olbrzymie finale ideowe: śmierć to wyzwolenie. Geniusz, więc urodzony poganin Goethe rzuca w tych kilku kreskach szkicowych wielki program fantazyjny i prometejski zarazem. Przed twórcami otwiera się teraz wielka szeroka jasna droga, wiodąca aż do stóp tajemniczo uśmiechniętego Sfinxa. Przekonamy się, jak wiele ten szkic Goethoski suggeruje wrażliwym intellektom twórców. Z naiwnej, wątłej notateczki mnicha angielskiego wyłaniają się teraz wielkie i szerokie koncepcye, gdy ją jako więźbę motywów wskroś ludzkich i wskroś tragicznych przedstawił jasnowidzący geniusz. I teraz, zależnie od tego, na jakie podłoże indywidualne natrafia legenda o *skazanym na dosłowną nieśmiertelnosć człowieku*, zależnie od tego rozwijają się poszczególne jej momenty i motywy psychiczne. Ze wszech miar okazuje się ta postać podatną, bo dla obrobienia przez najprzeróżniejsze organizacye duchowe ma w sobie wielkie,

wolne obszary duszy. Na kanwie *wiecznej wędrówki* po tym najlepszym ze światów (jak orzek Leibnic, według najnowszych badań istotnie pochodzenia polskiego od wywędrowanych Aryan Lubienieckich!!) dadzą się wyhaftować najdziwniejsze allegorye, najzuchwalsze w allegoryi freski.

Zważcie, że wieczny tułacz *musi* w swej pielgrzymce widzieć cały bieg historyi ludzkiej t. j. całe dzieje *grzechu* olbrzymów pochłaniających i depcących miryady drobnoustrojów i *zemsty* małych bakcylów i skorków, toczących wielkich ludzi.

Zważcie po drugie, że w Ahaszwerze materyaliście, spodziewającym się od Chrystusa przekształcenia życia od samych tegoż podstaw, musi być do tego życia fanatyczne przywiązanie, kult rodztwa, radość z kiełkowania, wesołość na widok kwitnących i owoce dających, nadzieja, że może przyjść człowiek-bóg, co nadludzkim napięciem woli swej *śmierć przezwycięży* i zanik zmoże, butwienie i gnicie usunie, drugą formę bytu t. j. nieistnienie z oblicza ziemi wygładzi. Bowiem ten altruista, szewc jerozolimski wierzy w Chrystusa i kocha świat jego idei i kocha w nim nadzieję zniszczenia śmierci, a obrzuca go obelgami dopiero wtedy, kiedy widzi i przekonuje się, że wszystko to było kłamstwem, złudą, rewolucyjnem bez widoków podżeganiem, zniszczeniem znośnego spokoju wegetacyi na rzecz fantasmagoryi, z których tak Pilatus Pontius, jak wszyscy Pretoryanie Tyberyusza kpią i śmieją się. Ahaszweros *krzywdzi* i odpycha Chrystusa fanatyka *nowego życia*, kiedy rozczarowany widzi go idącego na *śmierć*, na zwykły, stary kres wszelkich upojeń, radości, rodzeń, kwitnień.

Zważcie dalej na najgłębiej tragiczny, zgoła pierwszemu motywowi dyametralny: *mus życia* Ahaszwerosa i tegoż musu bezgraniczną grozę. Biedny fanatyk lepszej i wyższej formy bytowania, *nieograniczonego trwania* skazany jest właśnie na to nieograniczone trwanie. Przeżywa życie wszystkich najdroższych, krewnych, blizkich, wreszcie i *spółczesnych!* musi żyć życiem obcych *pokoleń*, innych światów, przy coraz wzrastającem śmiertelnem znużeniu, znudzeniu, obrzydzeniu. I wciąż, wciąż widzi te same małe wzloty i te same opadania na ziemię, te same pychy i te same nicości i ciągle ten sam

kołowrót grzechów i ciągle tę samą pretensyonalną boskość dużych mrówek, dużych pszczół i dużej szarańczy. Daremne wszystkie próby uśmiercenia się! Wyrzuca go woda, nie czepia się go ogień, nie gryzie wąż jadowity, nie spada mu na łeb cegła; dziś, gdyby żył, nie imie się go ni śmierć w wagonie, ni śmierć z ręki Monny Lües. Tak, tak...

Przeżera go ciągłe, nieusypiające obrzydzenie do życia, wstręt mizantropijny, bezkresna wzgarda kongregacyjnej, konstrukcyjnej, lichej pracy. Te same mozoły widzi w 1112-tym i 1812-tym, te same w dziesięć lat po śmierci socyal-demokraty rabbi Jeshua ben Josef Honootzri*) z Nazaretu i te same w roku trzysta dziesiątym. Tak Paweł piszący list do Koryntyan jak Wolter piszący do Katarzyny są mu tylko utalentowanymi literatami; nudzi go wszystko poczwarnie. Ukochanie namiętne życia ukarane jest z podłą nadmierną niesprawiedliwością Mojry: namiętnem *pożądaniem śmierci.* Wiara w moc trybuna zapowiadającego królestwo miłości, w „dobrego pasterza“ ukaraną jest bez żadnej przyczyny przez starego Boga Jehowę, jako *głos z nieba,* skazujący go na to, co właśnie chciał, na wieczne życie; ząb za ząb, oko za oko, życie za życia pożądanie.

I tu już nastręczają się waryacye tych dwóch motywów kardynalnych, tego tańca miłości i śmierci, życia i nienawiści. Okazuje się, jak całkiem w metafizyce spoczywał zalążek mytu Ahaszwera. Myt ten, już począwszy od Goethego, całkiem zantropomorfizowany, staje się wymarzonym doskonałym materyałem dla przerabiania go w kształty różnorodnych systematów myślowych i różnych zmiennych pojęć o zagadce życia i świata.

II.

Figura z broszurki Dudulaüsa nadaje się, jak mało która postać z mytów do allegorycznego, obrazowego bronienia bardzo odrębnych sobie filozoficznych postaw i stanowisk. Staje się więc ten nieznający spoczynku wędrownik wyrazicielem, chorążym monoteizmu a także panteizmu, przedewszystkiem jednak

*) Pełne nazwisko Chrystusa.

będąc herbową postacią pesymizmu. Są oczywiście i całkiem dowolne przeciągania podstawowych zasadniczych znamion Ahaswera, są przerysowania go w paradoksalne; ale głównie, najczęściej u przeważnej części twórców, poważnie się z legendowym motywem porających jest Ahaszweros wyrazicielem absolutnego człowieczeństwa. W dalszych zaś konsekwencyach i przeprowadzeniach motywu: sceptykiem, idealnym materyalistą, panteistą i generalnym oskarżycielem chrystyanizmu; więc antychrystycznym ludzkości rzecznikiem.

Do całkiem jednak dowolnych należy traktowanie jego „skrzywdzenia“ i odpędzania Chrystusa, jako aktu konsekwentnego i żarliwego monoteizmu. Miłość jakoby jedynego Boga ma Ahaszwerowi bezwzględnie nie pozwalać na jakąkolwiek łagodność i względność dla twórcy przewrotu o charakterze jakiegoś jakoby Juliana Apostaty, dla „poganina“ Chrystusa, w dalekich przenośniach zapowiadającego już nawet *trzeciego* boga. Do również dość dowolnych, problemowo-chaotycznych koncepcyi należy np. epopeja Hamerlinga, tłomaczona u nas przez Ordona (w r. 1877): „Ahaswer w Rzymie.“ W tym niezwykle szumnym, przeładowanym, tyradowo-fajerwerkowym poemacie jest Ahaszwer równocześnie fanatykiem spokoju, ukojenia, milczenia i fanatykiem zniszczenia (?). Całkiem niedyscyplinowana fantazya wierutnego dekadenta niemieckiego dyktuje Hamerlingowi scenę, w której Ahaszwer, wróg wszelkich transcendentalnych polotów myśli wychwala Neronowi jego żądze destrukcyjne i pożar Rzymu, jako widome owoce nerońskiego filozoficznego ogarnięcia fenomenu świata. W tem chyba tylko konsekwentnym jest choć do pewnego stopnia tradycyi i logice swojej legendy ten Ahaszwer, że to pierwszy rewolucyonista, kainita. W tem zaś Hamerling odbiegł już kompletnie aż do paradoksalnego jego przeistoczenia, że Ahaswerowi (jak to już wiadomo), obrońcy i rzecznikowi życia przeciwstawia Nerona, nienasyconego fanatyka życia; czyli tylko — comparatywowi przeciwstawia superlatyw. Ahaszwer Hamerlinga pozostaje zatem wspaniałem w swym kolorystycznym patosie przeinaczeniem mytu o wiecznem tułactwie. Również do wykolejonych waryacyi legendy należy zaliczyć te, w których żyd

tułacz występuje jako niezmożony poszukiwacz Boga, w dalszem rozwinięciu chrystyaniczny apostół, nawracający do ewangelii bluźniących młodzieńców, lub przestrzegający groźnie przed wszelkiem przeciwstawieniem się wszechmocy bóstwu. Albo znowu nawrócony żarliwy chrześcian (u A. Schlegla), wędrujący tak długo po świecie, póki jego dawni współwiercy żydowie w ostatnim Judajczyku nie nawrócą się na chrystyanizm (Achim von Arnim, tłomaczenie polskie Reklewskiego).

Tymczasem istotnie wiernym swemu pierwopoczątkowi jest Ahaszweros tam tylko, w tej grupie utworów, gdzie idea jego *walczy* z ideą Chrystusa, gdzie ją niweczy i gdzie za to pokutuje. Ahaszweros jest Ahaszwerem tam, gdzie jako rzecznik skazanej na życie ludzkości rozpoczyna i wiedzie nieprzerwalny, bezlitośny bój na całej linii z Chrystusem, prorokiem niestwierdzonego, nieujętego, supernaturalnego szczęścia i mirażem szczęścia mamiącym rzesze ludzkie zahypnotyzowane, zahaszyszowane nieszczęsne. I do tej kategoryi wielkich dzieł z Ahaszwerem choćby jako boczną figurą, ale reprezentantem wolnej, ziemskiej, niepodległej myśli ludzkiej należy Shelleya: „Królowa Wieszczek“, Edgara Quineta dramat, H. Andersena poemat stuwierszowy i cały szereg drobniejszych rozmiarami nowel czy wierszy, jak: Edouarda Grémer („Petits poèmes“, 1859), wiersz Berangera, epopeja tercynami Niemca Mosena, wiersz czeskiego poety Machara, nowela ekscentryczna J. Ch. Zedlitza i wielu innych, bo nawet królowej... Carmen Sylwy...

Czy w Żydzie wiecznym tułaczu jest zogniskowaną „cała“ „wieczna (?) nienawiść“ do chrystyanizmu lub nawet do katolicyzmu, jak stara się przekonać w swej dramatycznej figurze Ahaszwera Adolf Willbrandt („Mistrz z Palmyry“, 1889), o tem należy wątpić, już choćby konstatując, jak nieproporcyonalnie mało synów Izraela czepiało się tego tematu, tak dla polemiki z chrystyanizmem przecież wdzięcznego: Poprostu na kilkudziesięciu znanych jest tylko dwóch: tj. Czech Seligman Heller, autor olbrzymiej epopei (r. 1886), w której z bardzo wielu tysiączków rymowanych wierszy przebija się (wedle znających *opus*) gorące umiłowanie czystego Chrystusa bez dalmatyki, nadziewanej nań przez collegium rabinów-szarlatanów-kardynałów rzymskich. Drugim żydem, zresztą niesprawdzonym naukowo, był Jeleński Polaczek, który podobno pomagał Suemu w koncypowaniu słynnego antyjezuickiego gularzu, tak lubieżnie pochłanianego przez nasze babki i dziadków (patrz komedyę St. Bogusławskiego „Opieka wojskowa“). Okazuje się więc, że chyba Ahaszweros nie jest takiem zogniskowaniem żydowskiej nienawiści do chrytyanizmu, skoro go żydowscy autorowie, jak wiadomo dość łapczywi na już skrystalizowane tematy, tak sobie bagatelizowali.

Jakżeż tedy jeszcze wygląda Ahaszwer w oświetleniu Aryjczyków czystej krwi? Otóż jest to przedewszystkiem ludzkość sama, w życiu swojem skrępowana na niewolnicę metafizycznych potrzeb i tęsknic. Jest to *Ahas*, upadły anioł zwątpienia, który razem z Chrystusem zstąpił na ziemię, a zaprzecza istności Boga właśnie nawet w tem, co boskie, zaczem to obraz ludzkości *samej w sobie*. U Andersena (tego samego, co bajeczki dzieciom pisał) przeciwstawiony jest Ahasowi nie Judasz (socyal-rewolucyonista Goethego, pchający Chrystusa do proklamowania eksprioprìacyi), a Barabasz morderca słabomózgi, człek nawrócony. W poemacie Andersena Weronika staje się siostrą Ahasa—Verą. Upadły anioł jest rdzennym sceptykiem i odrzuca całą ideę Boga. Andersen, jak i inni autorowie, korzysta z tego, że Ahas zmuszony jest przeżywać różne epoki historyczne i choć nie każe mu być świadkiem kolejno całych dziejów ludzkości, nie odwala z nim bezlitośnie całego repetitorium dziejów (jak to czynią zawsze w grafomanię wpadające epickie Niemiaszki, Mosen i inni), ale zawsze wodzi go dość długo po różnych kontynentach: Chiny, Indye, Egipt, Grecya, wstawia w różne historyczno-przełomowe momenta: Mahomet, Attyla, z Henrykiem w Kanossę, w krucyaty, przy Hussie, Kolumbie... ażeby na tle kolejnych ewolucyjnych ludzkości przemian wykazać, jak ten wieczny tułacz sceptycyzm, *rozum ludzki*, wabiony przez różne kulty religijne, kładnący sobie nadzieje zgniecenia fantomu metafizycznego, w Attyli, w Mahomecie, w Henryku, w Husie — zawsze atoli tajemnymi mocami, niewidzialnymi pętami ciągniony, nawraca pod ten krzyż: symbol *chwilowej* klęski nazareńskiego socyalisty. Znacz-

nie wcześniejszym od poematu Andersena jest dramat historyka Ed. Quineta (1833), jak znowuż od tego wcześniejszą jest tytaniczna eksklamacya przeciw bogom w *Queen Mab* Shelleya (1817) lub jego ballada. *„The wandering Jew“* do tego stopnia ekscytował młodziutkiego Percy'ego, tego Oberona o ogniu wewnętrznym tytanów, że jeszcze będąc szesnastoletnim młodzieńcem, napisał *powieść* o Ahaswerze. Buntowniczość tej postaci magnetyzowała go tak stale, że wreszcie zrzucił ją sobie z bark, powołując Ahaszwera w wielką scenę w Queen Mab, kiedy bogini zaklina cień Ahaszwera na potwierdzenie przed „duchem ludzkości“ (co przespał tak długie czasy) wiarogodności tego obrazu, który właśnie roztacza się oku metafizycznemu z góry, z obłoków, międzygwiezdnych sfer patrzącemu. I Ahaszweros tłomaczy im sens świata, jego genezę... ze złej woli „idei absolutnej“, konieczność i niezwyciężalność wszystkiego złego, podłości, ciemięstwa, obłudy, zbrodni, nędzy, chuci; konieczność szczęścia dla trutniów. Ahaszweros, wierny swej legendzie, złorzeczy, przeklina i dokumentuje, że ten świat, w którym Chrystus ludzko (więc przewrotnie i fałszywie) pojęty zaczyna wszystko już zagarniać pod swe panowanie, z chwili kiedy ostatnia ziemi część zostanie chrześciańską, z tą chwilą niestety nie będzie już miał w sobie ni cienia z ducha Chrystusa, gdyż Chrystus-władca jest już czystym antychrystyanizmem. Pokrewny świat idei odczuwa się z rapsodycznego dramatu germanofila E. Quineta, przyjaciela Heinego. Rzecz więcej znana w Niemczech, niż we Francyi, cała w tonie dytyrambicznym, głęboko uduchowiona, przepojona panteizmem, w technice romantyczno-wichrowata. Quinet allegorysta personifikuje w niej wszystko: ptaki, drzewa, duchy, burzy, demonów, aniołów. Znając szkic Goethego i książeczkę z Epinal, żałosną pieśń o biednym „Juif errant“, daje w swym mistycznym, dytyrambicznym dramacie lekką folgę antypatyi do hierarchii kuryi apostolskiej i do bonzów kardynalskich. Ahaszwer jest tu wcieleniem w jednostkę dobrego ducha historyi, zwalczającego oficyalny chrystyanizm. Żyd wieczny tułacz to rozgoryczony idealista o zawiedzionych nadziejach w możliwość doczesnego szczęścia, to metafizyczny pęd w człowieku, gardzący koncesyami, jakie najszczytniejszy

ideał metafizyczny: Chrystus czyni systematycznie na rzecz konieczności realnych interesów i ułomności ludzkich.

Pomniejsi poeci poruszają przeważnie jedną ze strun bólu wszechludzkiego u tego nieszczęsnego wędrownika. Lenau w jednym poemacie krótkim daje piękną arabeskę na temat Ahaszwera, w której śmiertelnie znużony swem „nieprzemijaniem“ Ahaszweros wreszcie strzela do siebie, a kula odbija się spłaszczona w kształt monety okrągłej, z wyrażonym na niej wizerunkiem: Zbawiciela biednych ludzi. I Bérangera (w piosnce z roku 31) porusza specyalnie ta godna najwyższej litości *znużoność* człowieka, co nie może odejść w spokoju... Może najoryginalniejszą jest koncepcya J. Chr. Zedlitza (r. 1839). U niego Ahaszwer umarł i w grobie musi leżeć świadomym, odczuwającym i współżyjącym wszystkim kolejno pokoleniom ludzkim (sytuacya zewnętrzna powtarza się w jednej skabrycznej noweli Dostojewskiego). I on również spodziewa się ratunku ze swej grobowej kaźni w momentach historycznych napięcia walki z chrystyanizmem. Tymczasem nadzieje zawodzą i biedny, 1839-cio-letni żydowina leży gdzieś w grobie, słysząc i widząc wszystko, co złego, grzesznego, plugawego i zbrodniczego dzieje się na ziemi; i tak... aż póki Królestwo miłości bliźniej nie nastanie...

Im bliżej naszych czasów i doby pozytywnych ideałów, tem Ahaszwer staje się więcej typem tryumfującego życia. U jednych w wiecznem swem poszukiwaniu znajduje tylko fakt: samego siebie, i utwierdziwszy się w analitycznem ogarnięciu swego „ja“, szydzi ze wszelkich polotów transcedentalnych. Wierny ziemi matce — Tetydzie, wrogim stawa się wszelkim nadprzyrodzonym wiarom. Bóstwa szuka w walce, w miłości, w czynie, w potędze i ukoiwszy się i uleczywszy, panteistycznie formułuje bóstwo jako; „stawanie się“ (Carmen Sylva). U innych znowu jest on tylko poszukiwaczem Piękna, albo znowu gorącym apostołem życia (Machar), albo demonem materyalizmu, atletą woli, dążącym systematycznie do pełni mocy i władztwa nad materyą, cyfrą, naukami; albo znowu tym, od którego odwraca się wszystko, którego z powrotem wyrzuca z łona swego ziemia, ponieważ... wespół ze swem

plemieniem żydowskiem opanował z pomocą swego historycznego wszechwiedztwa życie, prasę, naukę, handel, złoto, ideały wolności, no i z pomocą... wolnomularzy dąży do skrzywdzenia, odepchnięcia Chrystusa, do: pancezaryzmu semitów... Trzeba bowiem dodać, że i do antysemickiej tendencyi zdołał przetransponować myt Ahaszwery jakiś pisarzyna, jeden z tych wielu, o których mówi w pewnym niemieckim wierszu burszowskim sam Ahaszwer:

„Pielgrzymowałem po dziejach,
w prozie, w jambach i trochejach.
Nie krzywdziłem tych ichmości,
ścigali mnie bez litości.
Ach, gdzież złożę biedne kości!"

... Literatura belletrystyczna także dość często rozpisuje się o tym człowieku, który *nigdy się nie śmiał*. U starego Dumasa nazywa się on z belgijska Izaakiem Laquedemem. Jako Laquedem występował też w... komedyi francuskiej Craigneza (1812), w Théatre de la Gaieté. Oprócz osławionej powieści Sue'go jest Ahaszwer pierwszą postacią z osławionej powieści sześciotomowej, pełnej rozwścieczonego romantyzmu i kolporterskiej grozy sir Lewisa Wallace'a (autora „Ben Hura") pod oszałamiająco-nęcącym tytułem: „Książę Indyjski albo upadek Konstantynopola". Otchłań to intryg, afer, zdarzeń, figur, oblężeń, sekt, walk, pochodów, tajemnic. O Ahaszwerze jest jeszcze... pewna komedya angielska Andrew Franklina, są już i niemieckie naśladownictwa romantycznego misteryum Quineta. Są także pod imieniem Ahaszwera powieści nowoczesne o kwestyi żydowskiej (Mauthner), jednoaktowy utwór Heijermansa i t. p...

Zdumiewać się musimy, że u nas, w tej drugiej żydów ojczyźnie przybranej niema dotychczas ani jednego pisarza, któryby psychologicznie pogłębił tę postać wiecznego tułacza z uwzględnieniem naszej wspólnej symbiozy, wielu analogii i szerokich perspektyw historyozoficznych. Na całym obszarze literatury polskiej raz tylko z naszej twórczości jawi się Ahaszwer i to jeszcze w r. 1779 u Krasickiego w niezbyt udałej „Historyi na dwie księgi podzielonej"; Ahaszwer, wiecznie

odmładzający się świadek całego biegu historyi, jest tu nietylko świadkiem wszystkiego, co się dzieje za Aleksandra Wielkiego, w Kartaginie, Atenach, Galii w średniowieczu aż do naszego Mieszka i Ryksy, ale i autorem tych dziejów, opowiadającym je. Prócz Ahaszwera Krasickiego postać ta ani jeden raz już nie wyłania się nigdzie. A przecież ten żyd wieczny tułacz właśnie, przeważnie nazywany jest w Europie: polskim!...

KLEJNOTY POLSKIE W ROSYI

I.

Mały, ciemny, posępny pokoik w jednem ze skrzydeł wielkiego, niemile białego pałacu. Sześć kroków wszerz, siedem kroków wzdłuż. Brudnawe szybki okien nie przepuszczają omal ani uncyi słonecznego światła. Po rogach sufitu zaczajone pająki, w kątach podłogi wstrzymywane ludzkiemi krokami chrupanie rozpanoszonych nocami myszy. Ubikacya, pełna starych na pierwszy rzut oka rupieci i gratów: jakoweś szafy, bardzo stoczone, stoły, stołki, komody, papiery. Żywy człowiek zaledwie trzy kroki może zrobić w tym lamusie dziwacznym i zatęchłym, ciasnym i niskim. A na ścianach?

A na ścianach od góry do dołu zawieszone w bezładzie, na przygodnych hakach, bez ram i bez sznurów, ot, na chybił trafił, byle jeden przy drugim, byle się wszystko zmieściło, byle jak najmniej miejsca zabierały, byle się gwoździem nie przedziurawiły: obrazy...

Obrazy tj. ciemne płótna, których się na pierwszy rzut oka nie widzi nawet, nie odróżnia, których się nie chce oglądać wobec mroczności tej ubikacyi. I dopiero cichy, jakby powstydzony, głos oprowadzającego: „wot kartiny polskije“—wstrząsa oglądającego prądem stu wolt!

I wtedy trzeba istotnie nadludzkiego wysiłku, aby się wraz opanować, nie wybuchnąć potokiem gniewnych słów, uśmiechnąć po gentlemeńsku i zacząć spokojnie przegląd tego, co tu rozwieszono.

Jesteśmy bowiem w polskiej *sali* Muzeum Rumiancewskiego milionerskiej i miljonowej Moskwy.

Samo Muzeum — to po prostu anomalia, paradoks i kuriosum w jednem pojęciu razem. Trudno sobie wyimaginować wprost gmach bardziej antimuzealny w swej architekturze, rozkładzie sal kurytarzy, w umieszczeniu okien, schodów drzwi.

To też na normalnym „człowieku z Zachodu“ robi ta „świątnica“ nauki i sztuki wrażenie wprost horrendalne. Czyż jest możliwością, aby w XX wieku, w mieście, które liczy jakich 150.000 europejczyków prawie, a jakich 300.000 ludzi, oswajających się systematycznie z cywilizacyą, aby w takiem mieście, interesującem pełnią kapitału, pełnią kapitalnej, starej, jednolitością imponującej architektury, mogło egzystować tak chaotyczne nagromadzenie skarbów nauki, kultury, sztuki, historyi w takiem konglomeracie nędznych, kiepskich, ciasnych, ciemnych, niskich i wprost głupowato komponowanych ubikacyi? Jeszcze sale, zawierające galeryę obrazów (nawiasem mówiąc, niemożliwej mieszaniny rzeczy świetnych z fabrykatami olejnemi ostatniej marki), jeszcze te sale mają pomieszczenie znośne, aczkolwiek kilkadziesiąt obrazów wisi w kamerach obskurnych przy niechlujnej klatce schodowej. Natomiast sale etnograficznych zbiorów t. j. niejako kolonialne Muzeum Imperyum Rosyjskiego sprawiają widok — dla Rosyan chyba przygnębiający, dla nas wprost upokarzający wobec faktu, że jest to, bądź co bądź, dokument poziomu kulturnego naszych... opiekunów i protektorów...

Ale to już sprawa obojętna, nas tylko mimochodnie interesująca. Kiedyś, może już w bliskiej przyszłości i nas będzie obchodziło intensywniej, czy Muzeum kolonialne słowiańskie pomieszczone jest w spelunkach; dziś wyciągamy z tego tylko konsekwentną argumentacyę w formule: czyli godziło się wycofywać ostatnie resztki zabytków polskich z naszych skromnych zbiorów i kollekcyi, aby, z niemi tak wandalicznie obchodząc się, umieszczać je bezładnie w pierwszej wreszcie z brzegu, najgorszej norze tego iście anomalicznego Muzeum Rumiancewych?... Godziło się?

Zarzutów takich nie powtarzam przy drugiem Muzeum moskiewskiem, którego lwią częścią są także rzeczy polskie, t. j. przy Orużejnej Pałacie, Arsenale Kremlińskim. Tu przynajmniej wszystko rozmieszczono składnie, efektownie i normalnie. Nadto — bardzo wiele rzeczy, zdobytych na polu walki krwią i orężem, stanowi do pewnego stopnia bezdyskusyjne „zasłużone“ trofea w militarnem sanktuarium rosyjskiem. Koło tych zabytków polskich na Kremlu, koło armat z herbami i literami

Potockich i Lubomirskich na podwórzu, koło chorągwi i sztandarów w salach Arsenału przechodzi się spokojnie, z sercem, bijącem normalnie, z powagą passywną, przypominając sobie tylko, że znowuż i sztandary rosyjskie wiszą sobie i w Konstantynopolu, i w Berlinie, i w Wiedniu, a już bardzo licznie w... Tokio.

Zwolna, krok za krokiem idzie się od jednej zbroi polskiej do drugiej, od strzelb do szabli, od sztandarów napolońskich do tronów z Zamku warszawskiego... Owszem, pytamy nawet lojalnie, jak nazywają się ci, którzy tu... tu, w tak europejski, pełen smaku artystycznego sposób ułożyli to wszystko: oto nad całym Kremlem czuwają generał-major Istomin i generał-major kniaź Odoleński Massów; ludzie to chyba o pełnej kulturze, kiedy z takiem pietyzmem kierowali temi pracami „uproszczenia“ sal Arsenału; pan Miletin jest kustoszem. Jemu podobno najwalniej zawdzięczają te sale swój całkiem spokojny i estetyczny wygląd. Od opinii tych to trzech panów będzie w latach przyszłych zdaje się wiele zależało, co Ministeryum Dworu z tego mnóstwa wywożonych, konfiskowanych, legalnie zdobywanych lub pokątnie tylko wysuwanych zbiorów będzie uważało za stosowne zwrócić pogodzonej z Rosyą Polsce. Tylko bowiem starcy i chłopaczki mogły pod tym względem stracić wszelkie nadzieje; ludzie cierpliwi, nie zrażając się wcale nonsensami dnia dzisiejszego, mają głęboko w duszy pewność, że Kreml Wawelowi odda, co jest Wawelskiego, a co jest Polskiego — Polsce.

Wielka część zbiorów, „ofiarowanych“ Muzeum Rumiancewowskiemu głównie przez wieszatiela wileńskiego Murawiewa, rozeszła się do prowincyonalnych Muzeów rosyjskich i tam zatonęła raz na zawsze. Biblioteka uniwersytecka wileńska wraz z krociem tomów innych książnic „wcieloną“ została już organicznie w imponującą *bibliotekę* R. Muzeum. Poszło to wszystko do szaf i na półki — na wieczny odpoczynek. Francuskie, włoskie, polskie, łacińskie książki, przeważnie jeszcze pięknie lub *świetnie* oprawne nadają w ten sposób tej Bibliotece zachodnio europejskiego poloru. Ot, przyjedzie jaki innostraniec, Anglik, Francuz, Niemiec, Katolik — i otże zdumieje się, zobaczywczy, jakie to księgi, jakich autorów czytano w Rosyi

w 17 i 18 wieku. Szczególnie Francuz brat jak będzie mile zdziwiony, zobaczywszy tyle tysięcy tomów swoich klasycznych autorów.

I taki to naród, mający takie biblioteki, ośmielają się ci Polacy nazywać w chwilach złości: barbarzyńcami. *C'est embêtant! Shocking.* Kilkaset portretów i biustów polskich z Muzeum Rumiancewa „przydzielono“ łaskawie do Orużejnej Pałaty, nadając w ten sposób militarnemu Arsenałowi artystycznego poloru i blasku. Niechżeż widzą Francuzy, jak to popierała Rosya w 18 wieku sztukę europejską, ile to gipsów i dobrych portretów, marmurów, bronzów bywało na tak dalekim Wschodzie. Nawet tak chytry człek, jak Angliczanin, nie odróżni nazwisk Oboleńskij od Opaliński, Mierosławski od Mscisławski, a już Sapiegi, Sanguszki, Radziwiłły — to widać z biustów i malowideł musieli być najistniej ruscy ludzie.. przeważnie nawet — podgolone łby...

Dość, że jak w życiu politycznem, historycznem, tak i tu, w życiu muzealnem historycznem, polskość skazaną została na ogniwo, łączące Rosyę z Jewropą, a jedynie i wyłącznie przedmioty sztuki i nauki, z polskich zamków, pałaców i dworów „przydzielone“, nadają tym salom dwóch Muzeów moskiewskich barwy pół-europejskiej. Gdyby nie one, nie te z Polski zbroje i sztandary, medaliony i bronzy, książki, to tak Muzeum Rumiancewych, jak i Orużejna Pałata, miałaby cel wyłącznie etnograficzny i na zachodnio-europejczyka działałyby wyłącznie swych objektów egzotycznościa, pstrością, groteskowością, dziwacznością i często dzikością; Anglik przeciętny nie odróżniałby na razie objektów z Chiwy i Buchary od objektów od Nowgorodu czy Tweru, regalja wielko-książęce mógłby wziąść za ozdoby Tamerlana czy perekopskich Agajchanów. Tymczasem tak stanowczo nie jest.

W tych jednakże dwóch Muzeach dopiero widzi się naocznie i namacalnie, czem wszystkiem, czem upragnionem, czem nieodzownem była i jest ta biedna, zdeptana, złachmaniona i wyssana Polska dla Rosyi. Tu bowiem także, w tej carskiej, tronowej salce Arsenału, za kutemi żelaznemi wrotami, strzeżonemi dziś także przez długobrodych karaułów, widzi się coś, co w rozszerzonych jakby jasnowidztwem oczach rozrasta ci się do rozmiarów oszałamiającego symbolu historyoficznego. Tu w szafce, za grubem szkłem kryształowem, zobaczysz po raz pierwszy jego — *Piotra Wielkiego ubranie polskie!*

Tak, Dymitrze Sergijewiczu Mereżkowski! Tak, mocny i uczony wizyonerze rosyjskich dziejów! Chadzał sobie dość często w polskim stroju Car Piotr Wielki, pozytywista, realista, imperyalista, marzyciel! Mówią o tem liczne źródła cudzoziemskie i wasze. Milczy o tem tylko wasza literatura i sztuka; niema ani jednego rosyjskiego obrazu, tym *Piotrowym strojem polskim* natchnionego, niema, choć jest ich tyle w tem przebogatem i świetnem malarstwie rosyjskiem 2-giej połowy XIX wieku. Niema, choć to motyw i „soborny“, i „gromadzki“, i „bogoczłowieczy“, i nadczłowieczy, i omal „apokaliptyczny“! Niema w waszych muzeach *Cara Piotra w polskim stroju,* choć jest tyle, tyle innych polskich rzeczy!

I to wogóle wielka szkoda, Dymitrze Sergijewiczu, że wasza sztuka i literatura tak mało, tak nic, tak absolutnie nic, tak wyczerpująco nic nie wie o naszej ojczyźnie. I szkoda, że tak mało o naszej ojczyźnie dowiaduje się choćby... choćby, przepraszam bardzo... z waszych Muzeów.

II.

Przygodnie tylko i okolicznościowo dotychczas zajmowano się u nas tymi wszystkimi skarbami kultury i oświecenia polskiego, które w różnych czasach kolejno utartymi, śnieżnymi szlakami wędrowały daleko do Rosji. Tu i owdzie pojawiały się przypadkowo artykuły podróżników, znawców sztuki lub uczonych, odrywających się od specjalnych fachowych poszukiwań i badań dla dania wyrazu zdumieniu swojemu na widok tylu polskich sal bibljotecznych, tylu setek tek z rycinami z Polski, tylu tysięcy polskich inkunabułów lub rękopisów i to nie tylko w stołecznym Petersburgu, ale w Charkowie, w Astrachaniu, nad modrą Kamą. Czas więc obecnie i „sprzyjają“ okoliczności, aby zrobić pierwszą próbę inwentarza tych strat bezcennych, tych szkód niepowetowanych i tych deficytów

narodowych, które zestawione raz dadzą jako tako pełny choć jeszcze nieścisły obraz tego, co utraciliśmy w wieku 18 i 19-ym, a co z powrotem jako bezsporną własność narodową rewindykować w 20-tym wieku musimy.

Inwentarz taki skarbów kultury polskiej, znajdujących się przez całe przeszło stulecie w czasowem posiadaniu Rosji, winien być sporządzony jeszcze skrupulatniej i metodyczniej z ścisłem wyszczególnieniem i rozróżnieniem rzeczy skonfiskowanych podczas wojen a po wojnach, rzeczy zagrabionych całemu narodowi a rzeczy z prywatnego posiadania „przelanych". Po dokonaniu takiej inwentaryzacji trzeba będzie przetłomaczyć tekst regestru na język ogólno-europejski i dyplomatyczny t. j. francuski i w momencie odpowiednim przedłożyć to tym wszystkim, których to może interesować, ewentualnie tym wszystkim, od których w jakimkolwiek stopniu może wyjść presja w kierunku oddania narodowi polskiemu tego, co było i będzie znowu narodu polskiego własnością.

Pamiątki polskie, „monumenta patriae naufragio" nie „erupta", t. j. z huraganów historycznych, jakie nad Polską szalały, nie ocalałe rozrzucone są po całym świecie. „Objekty" polskie, znajdujące się i w miejscowościach, o których się nawet muzealnym kustoszom krakowskim nie śniło. Nie będziemy się tu nimi zajmowali, żywiąc nadzieję, że świeżo w tym kierunku przed wojną rozbudzony ruch miłośników pamiątek ojczystych po wojnie zajmie się tem ze wzmożoną energją i zszedłszy ze zbyt utartych szlaków poszukiwań w wielkich muzeach i światowej sławy księgozbiorach znajdzie też nadspodziewanie wiele i w bardzo prowincjonalnych i w bardzo oddalonych przybytkach sztuki i wiedzy. Mimochodem tylko stwierdzimy, że np. moc pamiątek polskich jest w posiadaniu książąt Sachsen - Koburg-Gotha, dziedziczonych po jednym ze znanych kollekcjonistów tego mecenasoskiego rodu, księciu Erneście, bracie Leopolda I belgijskiego; moc pamiątek w prywatnem posiadaniu dynastji angielskiej w spadku po księciu Au. Fryderyku Sussex, bracie Jerzego IV i przyjacielu polaków; dość wiele w pałacach austryjackiej arystokracji Windischgraetzów, Kińskych, Larisch-Moennich Lobkowitzów itp.; sporo w całkiem prowincjonalnych

zgoła bagatelizowanych muzeach miejskich miast pruskich, saskich i śląskich. Wszystkie te pamiątki z wyłączeniem objektów znajdujących się w niektórych muzeach wiedeńskich i berlińskich, nabyte są przeważnie drogą kupna, kollekcjonowania, dziedziczenia i jako takie mogą mieć dla nas tylko „pretium affectionis" bez myśli o zwrocie. O ile zaś coś z tego kiedyś wróci do polskich muzeów czy arsenałów czy Bibljoteki Narodowej w Warszawie, to wróci tylko z dobrej woli i pańskiej fantazji arystokracji centralno - europejskiej, która w ten sposób ofiarując Polsce ułomki z pańskich stołów, dałaby istotne dowody, że w walce z Rosją wojuje o ideały kulturalne i dla obrony tych ideałów pomaga polakom w stawaniu kulturalnych fortec na rubieżach i okrainach Wschodniej Europy.

Tymczasem więc zajmiemy się tu tem tylko, co w różnych czasach z polskich pałaców, dworów i zamków przeniosło się bezwłasnowolnie w głąb centralnej Rosji. Trzy są historyczne daty pod tym względem dla kultury polskiej pogromowe i złowrogie r. 1795, r. 1832, r. 1864, podczas których odbywa się zorganizowana ekspropjacja naszych skromnych zresztą, ciułanych z takim zaparciem się Sezamów Sarmackich.

Jeszcze prawdopodobnie znacznie przed pierwszą z tych dat w czas pierwszych wizyt rosjan w Krakowie na konfederatach trzechkrotnie zdobytym wycofano z krakowskiego Wawelu t. zw. Rafaelowskie arrasy, t. j. gobeliny w liczbie sztuk czternastu. O wartości ich można mieć wyobrażenie, jeżeli się zważy, że z kompletu 18 sztuk trzy zawiózł w prezencie Ossoliński jeszcze papieżowi Urbanowi VIII do Rzymu, gdzie też dotąd wiszą w Appartemento Borgia. Arrasy te, czyli jak w Polsce mówiono „szpalery", przedstawiające Peristromata Diluvii (Klęski Potopu), roboty któregoś z uczniów Rafaela, wisiały na Zamku od czasów Zygmunta Augusta, a kilkakrotnie w czasach wielkich potrzeb wojennych zastawiane były w Gdańsku, poczem znów wracały na swoje miejsce. Że te kobierce złototkane wywieziono z Krakowa jeszcze znacznie przed r. 1794, świadczy o tem to, że Katarzyna II ofiarowała je w prezencie Potemkinowi do Pałacu Taurydzkiego, a Potemkin umarł jeszcze w r. 1791. Znaczy się więc, że wywiezione zostały albo po pierwszem

zdobyciu Krakowa przez Apraksina i Igelströma, albo po drugiem zdobyciu przez Ebschelwitza, albo przy trzeciem przez Stackelberga.

Sama imperatorowa zatrzymała wtedy dla siebie pamiątki również dla nas drogocenne, bo: różę złotą, ofiarowaną królowej Marysieńce przez papieża, czapę kunsztownej roboty, dar Innocentego 11-tego, szkatułę misterną, dar Joachima Brandenburskiego dla Zygmunta I, miecz koronacyjny Jana III, a wreszcie słynny Szczerbiec, t. j. miecz koronacyjny wysoce artystyczny niemieckiej roboty, przypisywany jako własność Chrobremu, przedmiot sztuki płatnerskiej, mający dla nas bezcenną symboliczną wartość, miecz który nawiasem mówiąc potem gdzieś „zniknął", tak, że musiał być powtórnie odkupiony przez Dwór Rosyjski od handlarza sztuki Bazylewskiego.

Wszystkie te tu wyliczone skarby koronne Republiki Polskiej znajdują się dziś w Gatczynie i w Ermitażu. Autentyczność ich i geneza została poświadczona przez obecnego konserwatora sztatsrata v. Lenza, a wszystkie według niniejszego przypuszczenia wywiezione były jeszcze znacznie przed pierwszą, pogromową datą dla kultury polskiej, t. j. przed r. 1794.

III.

Rok 1795 t. j. rok właściwej likwidacji państwowości polskiej jest też straszną datą dla polskiej kultury. Wyjeżdża przedewszystkiem z Warszawy Bibljoteka Załuskich z ulicy Daniłowiczowskiej. Zbierana z niesłychanym mozołem przez dosłownego anachoretę i dziwaka w angielskim guście ks. biskupa Kijowskiego, ma rozmiary tak niebywałe i wartość tak wyjątkową, że papież Benedykt XIV wydaje specjalną bullę ekskomunikującą każdego, ktoby chciał naruszyć jej całość. Biedny biskup, który 7 lat spędzić musiał na wygnaniu w Kałudze, nie przeczuwał, umierając i zapisując ją narodowi, co za los czeka ten olbrzymi śpichlerz duchownych pokarmów. Wywiezieniem kieruje dawny rezydent rosyjski baron von Asch.

Niestety jednakże nie tylko Bibljoteka Załuskich przeniesioną została do Petersburga. Równocześnie bowiem wywiezione wielkie archiwum prezydenta miasta J. Zakrzewskiego, archiwum koronne metryk, mennicę, archiwum poselstwa francuskiego oraz między innemi zdobyczami wojennemi kolekcję tych bronzowych i marmurowych biustów, które obecnie znajdują się na Kremlu w rycerskiej sali Orużejnoj Pałaty, a przedstawiają w naturalnej wielkości i więcej niż poprawnem wykonaniu: Jana Zamoyskiego, Stefana Czarneckiego, Stanisława Jabłonowskiego, Pawła Sapiehę, Stan. Lubomirskiego, Pawła Działyńskiego, Michała Paca, Jędrzeja Załuskiego, Adama Naruszewicza, Jerzego Ossolińskiego, Korybuta Wiśniowieckiego, Jana Wielopolskiego, Stanisława Małachowskiego, Jerzego Mniszka, Jana Heweliusza, Marcina Poczobutta, Jana Szembeka, Piotra Kochanowskiego, Andrzeja Lipskiego, Stanisława Konarskiego. Słynna kollekcya kopersztychów Stan. Augusta, przez samego króla własnoręcznie nalepianych, zbierana przez lat 30, kollekcja, której mu tak zazdrościł Fryderyk II, o której wzmianki znajdują się w ówczesnych pamiętnikach tak swojskich jak obcych, w tym czasie również jechała z królem do marmurowego więzienia w Petersburgu. Po śmierci króla została włączoną do Gabinetu Sztychów Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych, którego też dotychczas stanowi pierwszą podstawę i lwią część z przydanymi kollekcjami, w późniejszych latach z Polski „przenoszonymi". Bibljotekę prywatną króla przejęto po jego śmierci również i obecnie większa jego część znajduje się w mało przez polaków odwiedzanej i znanej Bibljotece Departamentu wyznań obcych. Równocześnie z tem „zakładaniem" księgozbiorów petersburskich idące raptowne zbogacenie Gatczyny, Oranienbaumu i pałaców cesarskich obrazami głównie niderlandzkich mistrzów, nie należy w tym wypadku jeszcze przypisać legalnemu poaneksyjnemu złupieniu Warszawy, gdyż obrazy te pochodziły głównie z zakupu berlińskiej kollekcji Jana Ernesta Gockowskiego, znanego przemysłowca i kunsthändlera oraz z warszawskiej kollekcji Brühlów.

Na ten sam rok nieszczęsny 1795 przypada w Krakowie znowuż zwiedzenie zamku i katedry przez pruskich generałów Hoyma, Langa i von Rützа i związana z tem legenda, jakoby

ci dowódzcy przed wyjściem z okupowanego czasowo Krakowa skonfiskowali polskie klejnoty koronne. Legenda ta opierała się na zeznaniach hr. F. Łubieńskiego, który rzekomo miał je widzieć i poznać w r. 1797 podczas koronacyi w Królewcu oraz na kilkakrotnych zapewnieniach wyżej wzmiankowanego ks. Au. Fryd. Sussex czynionych J. U. Niemcewiczowi. Zwiedzający w r. 1881 zamek Wawelski cesarz Fryderyk na zapytanie szczerze i jasno postawione przez bibljotekarza Jagiellońskiego Żegotę Paulego, odpowiedział wprost, że jest nieprawdą. Wyjątkową szlachetność tego tak przedwcześnie zgasłego monarchy pozwala nam sprawę tę uważać za rozstrzygniętą: klejnotów polskich koronnych w Berlinie nie było i niema.

W międzyczasie od r. 1795 do 1834 lata krytyczne dla dobytków kultury polskiej zachodzą znów przy końcu epoki napoleońskiej. Polska jest wielkim terenem zmagań się olbrzymów militarnych, ofiarą tego padają miasta, dwory, zamki, pałace. W r. 1813 przypada kolej na Nieśwież, gdzie królewsko-magnacka, jedna z najbogatszych wogóle w Europie rodzin książąt Radziwiłłów wiekami składała drogocenne przedmioty sztuki i komfortu. Choć część Bibljoteki Nieświeskiej wywieziono do stolicy nadnewskiej jeszcze w r. 1772, mszcząc się na księciu Panie Kochanku za sprawę Tarakanowej i popieranie Konfederacyi Barskiej, to jednakże teraz dopiero ma miejsce prawdziwy pogrom Nieświeża. Wyjeżdża cała Bibljoteka, olbrzymi zbiór pierwszych druków litewskich i ruskich, archiwum Radziwiłłów, wśród tego wszystkiego kruk nad kruki: rękopis Długosza. Wyjeżdża wreszcie jeden z największych w Europie zbiorów numizmatycznych, by znaleźć schronienie i stać się ozdobą municypalną... Charkowa.

Na nieco późniejsze już czasy przypada też zakupno przez cesarza Aleksandra, a nie konfiskata (jak ciągle błędnie powtarza szeroka publiczność) Belwederu i Łazienek. Pierwszy sprzedaje właścicielka Teresa Kicka w r. 1818 w stanie bardzo opłakanym. Łazienki zaś odstępuje Romanowym Wincentowa Tyszkiewiczowa w r. 1817 za mocną sumę 1,800,000 złotych polskich z budynkami o gołych ścianach, bez obrazów, bez mebli, bez oranżeryi. Wszystko to bowiem, co stanowiło

ozdobę i luksus artystyczny trzech pałaców Łazienkowych aż do ostatnich czasów, było według niniejszej hypotezy zwiezione już później, poustawiane i pozawieszane za pierwszego i za drugiego wielkiego księcia Konstantego. Wszystko to atoli pochodziło nie z prywatnego posiadania rodzin Holsztejn — Gottorp i Anhalt — Zerbst dekorujących w ten sposób nowo nabyte pałace, ale właśnie ze zdobyczy w różnych czasach „przelewanych", i „przenoszonych" z Warszawy do Petersburga. Wszytkie straty z magazynów kultury europejskiej w Polsce bledną i maleją w zestawieniu z tem, co ze stanu posiadania swojego straciła Polska w latach następnych po 1831 i 1863.

IV.

I przychodzi znów rok 1863 a z nim powstanie, tak niecierpliwie oczekiwane i gorąco upragnione przez możną i wpływową partję biurokracji w Petersburgu i jej krewniaków i popleczników w Warszawie i gdzieindziej. I znów powstanie to z trudem niesłychanem zwalczone i zgniecione przez dowódców, których... nazwisk zestawienie na niezwykle interesujące naprowadza refleksje. Wielkorządcą nadwiślańskiego kraju zostaje zasłużony militarysta rosyjski Teodor Remberg Berg von Zagwitz. I znów zwycięzcy wodzowie i zasłużeni dygnitarze otrzymują w nagrodę w samem Królestwie 156 donacji majorackich, z czego 69 dla generałów i statsratów pochodzenia nierosyjskiego. Tym razem z Warszawy niema już nic do wywiezienia... omal nic. Jeszcze bowiem za Paszkiewicza wysłano ztąd w r. 1853 ostatnie partje pak, w których miało być 683 obrazów a 286 „tkanin". Jeszcze stary kniaź Erywański polecił przelać do swego majątku do Homla Thorwaldsena księcia Poniatowskiego, czego zwrot obiecał w ostatnich czasach dziedzic Homla p. Bałaszow.

Tego zaś Thorwaldsenowskiego Księcia Marszałka Francji, pojętego przez twórcę w duchu epoki klasycystycznej, jako jednego z tych greckich wodzów Milcyadesów, co to „ukochani przez bogów umierają młodo", specjalnie nam żałować godzi się i zważy, że jest to jedno z najbardziej udanych dzieł duńskiego mistrza (jak niektórzy nawet twierdzą, znając je jeno z reprodukcji) Thorwaldsenoski standard - work.

Już daleko łatwiej bylibyśmy przeboleli zarekwirowanie naprzykład pomnika Sobieskiego, tego horrendzkiego barokowego curiosum, które całkiem słusznie, wychodząc z punktu widzenia artystycznego usunięto w późniejszym czasie z Łazienek i przeprowadzono na ulicę Agrykoli. Przy tej sposobności natrącając tu o niegodny i nieetyczny pomnik tego króla wszechświatowej ongiś w 17-tym wieku sławy, pamiątki osobiste i rodzinne specjalnie poszukiwane specjalnie też porozrzucane są po całym świecie. Z tego co wiemy bowiem: archiwum familijne Sobieskich znajduje się w Berlinie, jedna przepyszna zbroja królewska w Dreźnie, druga w wiedeńskiej Ambrosjanie, tabakierki w prywatnych zbiorach Berlińskich i Paryzkich, a wóz tryumfalny „kolebka" t. j. kolasa, w której jechał pierwszy wybawca Wiednia w tryumfalnym pochodzie przez ulice stolicy naddunajskiej, zawędrowała aż na Pomorze i tam służy jako kazalnica w kościele w Raddarz, majątku hrabiów Klejstów.

Podczas samego powstania pada ofiarą zniszczenia wspaniała galerja obrazów Mieroszowskich w Pieskowej Skale, spalona przez rosyjskiego generała von Medema.

Na Podolu, Wołyniu i Ukrainie gdzie co można było już i zabrano i rozdrapano. W Wiśniowcu Mniszchów, w tem liście medycejskim Tusculum światłego i europejskiego rodu, rezyduje już rosyjska familia hr. Tollów; część wspaniałej Biblioteki i europejskiej sławy galerję przewożą do Paryża, gdzie po śmierci ostatniego sfrancuziałego doszczętnie hr. Andrzeja Leona Mniszka wszystko sprzedaje się na licytacji publicznej. Bezecna lekkomyślność kresowej magnaterji polskiej i jej utracjuszostwo obłędne w Paryżu za Napoleona i Eugenji idzie tu ręka w rękę z tendencją rządową wysadzania z ziemi i exmittowania elementu polskiego. Gotówka za indemnizację po roku 1864 jeszcze więcej przyczynia się do rozpalania pańskich fantazji i bezprzykładnego rozrzutnictwa potomków królewiątek. Branickim, Sanguszkom i Czetwertyńskim konfiskuje rząd dobra za udział w powstaniu lub sympatyzowanie z niem.

Wtedy to przepada Antopol Czetwertyńskich a Bohusławszczyznę przedtem jeszcze sprzedają potomkowie hetmana Branickiego „udziałom", by finansowo podtrzymać agitację antyrosyjską we Francji. Wtedy to Dermanszczyzna Lubomirskich przechodzi do Engelhardtów, hr. Worcellowa odstępuje klucz Kaszowiecki Abbazie, Grocholscy olbrzymie włości sprzedają sprytnemu mużykowi Tereszczence, Rzyszczewscy klucze Wereszczacki i Żukowiecki, Jełowiccy wspaniały Aresztów, Radziwiłłowie klucz Berdyczowski, Ilińscy dobra pod Ostrogiem, Lubomirscy klucz Dubieński, Potoccy Daszów, Tulczyn, Zofjówkę. Biorąc te straty polskie w ziemi ze stanowiska centralno-europejskiego, przy dzisiejszych metodach eksploatacji ziemi są to straty nie miljonowe ale dosłownie miljardowe.

Ponieważ jednakże w nieszczęsnem powstaniu z r. 1863 silniejszy udział procentowo i moralnie brała demokratyczna szlachta litewska niż (z kilkunastoma wyjątkami) magnaterja polska z Czerwonej Rusi, przeto też cała namiętność kolekcjonowania nowych wielkorządców Polski zwraca się teraz i koncentruje na Litwę. Zniesienie tu Unji i przeprowadzenie jej likwidacji przez Pawła E. Kotzebuego otwiera szerokie perspektywy dla nowych nabytków muzealnych i bibljotecznych. Podczas, gdy Berg zamyka w Królestwie 114 klasztorów, na Litwie Murawjew przeprowadza również żelazną ręką wielki plan petersburski zdławienia katolicyzmu i polonizmu w Zachodnim Kraju. Praktyczne przeprowadzenie tego wytępienia katolicyzmu, rozpoczęte jeszcze przed powstaniem przez generała rosyjskiego Schneidra, teraz po powstaniu dokonują prawa ręka Murawiewa generał Kaufman i lewa ręka adjutant Komarow (późniejszy redaktor Swieta). Wedle tego programu szlachta polska musi być ogłodzona i wysadzona z siodła. Kiejdany Czapskich oddają Totlebenowi, Kalnoberze Czapskich Weliczce, Dzierżany Glinka — Janczewskim, Hanuszyszki Satkiewiczów Olsufjewom, Rudobietki Lappów baronowi Wranglowi (zięciowi Katkowa); wypędzają Witkiewiczów z Poszawiec, Wańkowiczów z Ślepianki itd. itd., właśnie wybierając tych wszystkich, których dwory ogniska cywilizacji europejskiej i gospodarstwa nowoczesnego promieniowały na okolice światłem i ciepłem polskiej kultury.

Równocześnie z tem zamykają 26 katolickich klasztorów i rozpoczynają masowy wywóz zagrabianych bibljotek w głąb

Rosyi. Wyjeżdża Bibjoteka kapituły wileńskiej, bibljoteki 22 szkół średnich, wyjeżdża 12 bibljotek prywatnych i 26 bibljotek klasztornych w sumie przybliżonej (według Korniłowa) 125 000 tomów, 165 inkunabułów. Wyjeżdża pokaźny zbiór numizmatów wileńskich. „Teraz książki z Litwy płynęły do Rosyi rzeką“, stwierdza zapalony bibliofil w starosyjskim stylu pan Korniłow...

Istotnie rzeki książek polskich płynęły z Królestwa, z Litwy, z Wołynia na Wschód i wpływały najniespodziewaniej i przedewszystkiem najniepotrzebniej do miejscowości takich, w których jako przedmioty, nie dające się zjeść nawet w stanie rozgotowanym, stanowczo mijały się ze swoim celem. Faktem jest bowiem, że jak chorągwie polskie wojenne wisiały i wiszą np. w wiejskich cerkwiach wołogrodzkiej gubernii, tak znowuż rękopisma polskie, druki kalwińskie, ba nawet aryańskie znajdują się w Seminaryum Prawowiernym aż w... Astrachaniu.

„Gdzie nasze nie przepadało“ jest wobec tego przysłowiem i mądrością narodową daleko daleko bardziej polską jak rosyjską!

Z pierwszymi wydaniami francuzkich klasyków na marokinie i z elzewirami z herbami Wielhorskich, Ilińskich spotykali się podróżnicy i badacze polscy tak często w najobskurniejszych pół animalicznie bytujących osadach najgłuchszej, najgłębszej Rosyi, jak znowuż bardzo często podróżnicy nasi i obcy spotykali się ze starymi, stojącymi w muzeach, przed arsenałami, pałacami, kanakami, armatami, na których wyryte lśniły w słońcu herby Potockich, Zamoyskich, z napisami: „Johannes Zacharias fecit me Varsavia“.

Na zapytanie skąd się mogły wziąć moździerze i puszki z regimentów polskich... na Bałkanach, odpowiadano im, że ofiarował w prezencie wtedy a wtedy, ten a ten Car oswobodziciel...

Długą zaiste i okólną drogę robiły moździerze i puszki w polskiej Warszawie odlewane, zanim dostawały się aż na... oswobodzone Bałkany...

V.

Od czasu ostatniego masowego wywozu po r. 1863 nie wywożono już oficjalnie z Polski omal niczego. Coprawda nie było już nic do wywożenia. Na zewnątrz pod względem kulturalnym zrównano nas już z poziomom ogólnie obowiązującym w Cesarstwie, owszem raczej nawet obniżono poniżej tego poziomu. Bądź co bądź podróżnicy europejscy, zwiedzający pryncypalniejsze miasta w Rosji, mogli teraz już podziwiać piękną broń, siodła i czapraki w Moskwie, mogli zdumiewać się na widok dziwnych instrumentów astronomicznych, nad którymi kiedyś ślęczeli Poczobut czy Śniadecki, mogli z nabożeństwem słuchać opowiadań o olbrzymiej wartości gobelinów przez oprowadzającego ich po salonach gatczyńskich dworskich, cycerona, mogli nawet w Charkowie znajdywać nadspodziewanie druki florenckie czy padewskie w bajecznych oprawach ze słoniowej kości czy w kordubańskiej skórze. Skąd są te maleparta, do kogo pierwotnie należały, nikt się tam nie zapytał, zresztą gdyby nawet zapytał, zapewne nie umianoby go objaśnić. Nieliczni tylko specyaliści mogliby pouczyć innoziemca podróżującego, jak to na tych księgozbiorach expolskich sprawdza się dziwnie prastare powiedzenie Terentiusa Maura: habent sua fata libelli. Nieliczni oficjaliści rosyjscy jak np. prof. Librowicz mogliby cudzoziemcowi powiedzieć rzecz rewelacyjną, że pierwsze książki ruskie drukowało się przez długie czasy w polskich tłoczniach na Litwie, że pierwsze promienie nowożytnej cywilizacji wogóle szły w Rosję tylko z dziś zdeptanej Sarmacji. Z nielicznych dopiero katalogów i reportów rosyjskich rzeczoznawców muzealnych hr. Münnicha, br. Wrangla Bruniego, Steinheila i Semowa oraz z wydawnictw Cesarskiego Tow. Miłośników Starożytności zostającego pod protektoratem W. Księcia Leuchtenfrunckiego, mógł się kto ciekaw dowiedzieć, jak to systematycznie „przesiewane“ polskie kollekcje i zbiory przyczyniły się pierwsze do nadania i wewnętrznego zachodnio-europejskiego poloru obu stolicom rosyjskim, do wytworzenia pierwszych ognisk wiedzy i piękna.

Po roku więc 1864, powtarzamy, nie zaszedł już ani jeden fakt oficyalnego en masse wywożenia klejnotów starej Polski

do Rosji. Nie znaczy to jednakże, aby czasem nie zdarzały się objawy recydywistyczne w tym kierunku. Jeszcze za panowania Hurki wszechwładna połowica jego Marja Andrejewna z domu hrabianka von Salius, wrząca dość świeżej daty patryotyzmem wielkoruskim, od czasu do czasu coś jeszcze znajdywała ze starych antyków na strychach zamkowych i w rupieciarniach skonfiskowanych pałaców. Jeszcze resztki mebli wywieziono z Puławy, jeszcze na Żmudzi operował po klasztorach i zakrystjach kościelnych jenerał Klingenberg. Z Chełma, z kościoła parafjalnego wywieziono kosztowne srebrne antepedjum z przed głównego ołtarza, przedstawiające dziękczynne nabożeństwo obozowe Jana Kazimierza po wiktorji odniesionej pod Beresteczkiem. Jeszcze w r. 1883 z zamku wywieziono przepomniane aparaty i instrumenta astronomiczne; jeszcze w r. 1895 wycofano z Łazienek Rembrandta i von der Holsta, a przedtem Wouwermana dwa obrazy przedstawiające Walkę Polaków ze Szwedami i Walkę Polaków z Turkami.

W każdym jednak razie wypadki te wstecznego powrotu do dawnych nałogów kollekcjonistycznych w staro-biurokratycznym stylu przytrafiają się już sporadycznie. Ubytek natomiast ogólnie-narodowego stanu posiadania kulturalnego ma jeszcze inną formę już całkiem legalną wypływającą konsekwentnie z częstych marjażów arystokracji polskiej z rosyjską. W ten sposób np. wspaniała bibljoteka hrabiów Chreptowiczów w Szczorsach przechodzi wraz ze zbiorami do rodziny Buteniewów razem ze Szczorsami. W ten sposób Potoccy tracą Kaniowszczyznę; panny Potockie kolejno w różnych czasach i z różnych linji wychodzące za mąż za Bachmetiewa, Sołtykowa, Kisielewa, Naryszkina, Woroncowa, wnoszą swym mężom posagi magnackie, a z nimi piękne klucze i pałace, a w pałacach skarby sztuki, klejnoty meblarstwa angielskiego, kollekcje porcelan polskich i zagranicznych. Cała fortuna książąt Ogińskich wysoce wyrafinowanego kulturalnie rodu polskiego rozpada się na części i ginie. Równie tragicznie i powieściowo rozsypuje się land-lordeckie latyfundjum książąt Czetwertyńskich. Równie tragicznie resztki Radziwiłłowskie drogą marjażu z rosyjskimi Wittgenstejnami przechodzą w posiadanie czysto-niemieckiego

rodu książąt Hohenlohe. A razem z tem usuwającem się z pod nóg czarnoziemem, który mógł w mocnych rękach trzymany i nowocześnie gospodarowany wyżywiać nie krocie, ale miljony polskich kolonistów zmuszonych do emigracji, amerykańskiej i parjasoskiej tułaczki po całym globie, razem z tą przerażająco szybką w swem tempie utratą terytorjalnego stanu posiadania na Litwie i Rusi, idzie też zagaszenie ognisk kultury zachodniej na polskim Wschodzie, idzie zaguba skarbów polskiej sztuki i kultury pozostających w posiadaniu prywatnym, idzie utrata klejnotów polskich mniej znanych publicznie, nie podlegających kontroli opinji ogółu, nie zinwentaryzowanych w ogólnym majątku narodowym, ale jeżeli nie większych, drogocenniejszych, bogatszych od wziętych z Warszawy, z Wilna, z Puław, to w każdym razie równych im i równie ważnych.

Jeżeli dziś autentyczne meble Chippendale znajduje się często gdzieś u zbogaconych Kułaków na Litwie, jeżeli najpyszniejsza sewrska porcelana zdobi czasem salony jakiegoś jenerała Kajdanowa czy policmajstra Satrapienki, jeżeli w gabinecie przyjęć kijowskiego magnata cukrowego Halporina czy Brodzkiego prawnuk hetmana Rzewuskiego spostrzega portrety przodków, jeżeli dzisiaj egzemplarzy najstarszych polskich „farfurów“ trzeba szukać w guberniach riazańskiej czy kazańskiej, jeżeli kryształowe puhary z Trąbami Radziwiłłów znajdują się w posiadaniu rodziny Marmeladowów czy Smerdjakowów, jeżeli w najpiękniejsze okazy litych pasów słuckich ubiera na bal kostjumowy francuską tancerkę młody kupiec moskiewski Aljosza Karmazynow czy Karawanow, jeżeli gdzieś w najzapadlejszym Kaukazie pochylony nad olbrzymim foljałem Bibiji Łacińskiej archimandryta Porfirjusz spostrzega w nabijanej rubinami bezcennej oprawie nieznanego sobie Orła Polskiego z Litewską Pogonią... to wszystko to, wszystko to ongiś zdobiło polskie dwory i kasztele na Litwie i Podolu, wszystko to wliczało się do regestru bogactw kulturalnych tego narodu, którego ziemia dziś przedstawia jedne wielkie pustynne cmentarzysko. Omal wszystko, cośmy mieli ze złota i klejnotów, rozdziobały nam kruki i wrony. Jeżeli chcemy widzieć najstarsze polskie sztandary i bandery, musimy je oglądać w Cerkwi

Kazańskiej lub w Muzeum Artyleryjskiem... Jeżeli chcemy widzieć arcydzieła polskich sztycharzy, musimy je oglądać w Cesarskim Gabinecie Sztychów, który jest zarazem największym p o l s k i m gabinetem sztychów...

I dlatego to dzisiaj należało sobie o tem wszystkiem przypomnieć summarycznie. Jest to także sen o potędze, o potędze naszej dawniej kulturalnej równorzędności ze wszystkiemi państwami Zachodu. Bogactwa te w jakiejś części i w jakiejś formie do nas wrócić muszą. Bezprzykładna w całej nowożytnej historji grabież mienia całego jednego narodu popełniona przez drugi naród musi w interesie całej cywilizacji europejskiej być przedewszystkiem skonstatowaną, ściśle określoną, do europejskiej wiadomości podaną, nie jak dotąd formalnie zatajaną. Obowiązkiem naszym jest upomnieć się o zwrot tego i tylko tego, co się nam należy. Obowiązkiem Europy tak Centralnej jak i Koalicyjnej jest zwrot ten nam przyznać i stuletnią krzywdę dwudziestomiljonowego narodu możliwie wynagrodzić. Od tego odstąpić nam nie wolno i nie godzi się. Rosja zaś dzisiejsza bez pamiątek i bibljotek polskich już się obejdzie.



TREŚĆ.

Satyra staropolska	str.	5
Balzac w Polsce i w Niemczech	„	35
Szekspir po polsku	„	43
Teatr irlandzki	„	59
Biblia Belgów	„	71
Verhaeren	„	79
Kultura Czechów	„	95
Sieur de Beaumarchais (Przed premierą)	„	117
Goethe a życie praktyczne	„	123
Aleksander Świętochowski, Jubilat	„	133
Angielskie przekłady Jana Kasprowicza	„	147
Wiktor Alfieri	„	161
Gockowsky	„	177
Żyd wieczny tułacz w literaturze	„	187
Klejnoty polskie w Rosyi	„	203

